www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 38 (1080)
14-20.09.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Janusz Dobieszewski
Rosja według Walickiego

Dr Paweł Grzesiowski
Pół roku życia z wirusem

Tomasz Jastrun
Dom pisarzy w czasach zarazy

Polskie testy na COVID-19
leżą w magazynach

Solidarna Polska

Rekiny czy leszcze

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
38 >
9 771509 311003

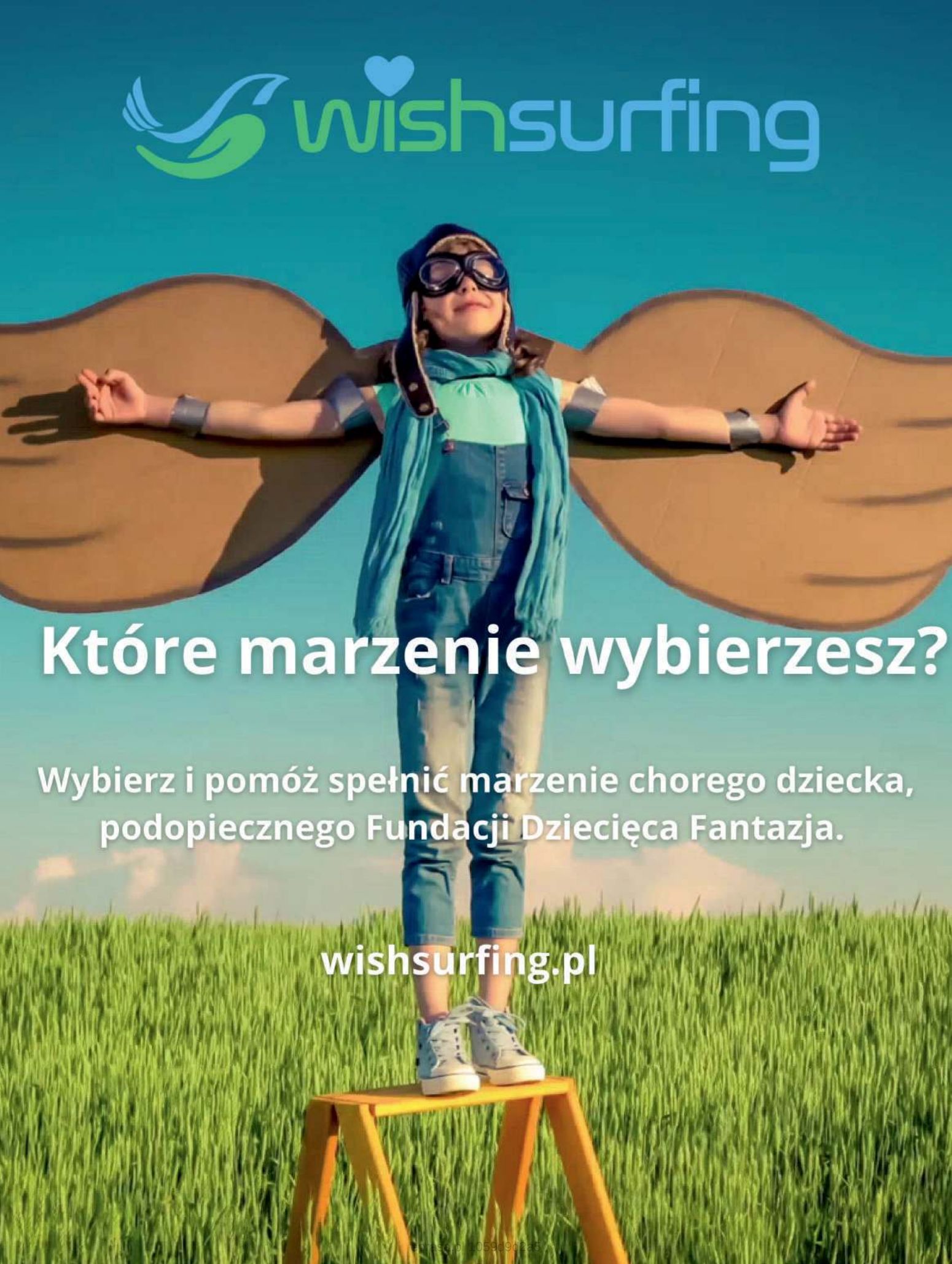
wishsurfing
Które marzenie wybierzesz?
Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.
wishsurfing.pl

CYTATY

HANNA KRALL,
pisarka
Opowiadając o Zagładzie, pisze się coś, co jest niewyrażalne, czego nie da się opisać.
„Polityka"

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy
Ostatnia kampania wyborcza uświadomiła, że inna lewica, ideowa, też istnieje.
„Plus Minus Rzeczpospolita"

ABP WACŁAW DEPO, metropolita częstochowski
Pod hasłami jakiejś „nowej solidarności" grasuje wirus chaosu intelektualnego i moralnego.
Częstochowa, apel jasnogórski

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI
Abp Wiktor Skworc, metropolita katowicki, powinien zawiesić swoją działalność do czasu wyjaśnienia sprawy.
„Polska The Times"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Mińsk bez Majdanu

Bywały lata, że często jeździłem nad Bug, w rejony Terespola i granicy w Brześciu. Poznałem piękny kościół w Kodniu i prawosławny klasztor w Jabłecznej. To z niego wywodzą się abp Abel, biskup polowy Jerzy i przeor Atanazy, dziś też biskup. Okolice nadbużańskie to jedyny w swoim rodzaju pejzaż. Ale tym, co mnie najbardziej tam ciągnęło, byli miejscowi mówiący z charakterystycznym zaśpiewem. Spracowani, a jednocześnie pogodni, ciekawi nowin, ale trwający przy swoich obyczajach. Białorusini, którzy tam przyjeżdżali, byli podobni. Często na handel, ale też towarzysko, by trochę pobiesiadować. Po polskiej czy białoruskiej stronie. Wspominam o tym, bo obserwując to, co się dzieje na Białorusi, myślę przede wszystkim o tych ludziach. Co z nimi będzie? Gdzie ich rzuci kolejna zawierucha, na którą nie mają wpływu?

Łukaszenka rządzi Białorusią przez 26 lat. Bardzo twardą ręką. Politycy zużywają się i nowe pokolenia Białorusinów mają go dość.

Kończy się więc pewna epoka. Łukaszenka będzie próbował uniknąć losu wygnańca albo jeszcze gorszego, ale wszystko, co może osiągnąć, to współudział w załatwieniu sukcesji, akceptowalnej dla większości społeczeństwa. I jakieś gwarancje na bezpieczną emeryturę dla siebie.

Taki scenariusz byłby korzystny dla wszystkich. A najbardziej dla tych, którzy boją się powtórki tego, co było na Ukrainie. Marzenie głupków – Majdan w Mińsku, a później w Moskwie. Pamiętam polskich polityków i dziennikarzy z czasów Majdanu, jak opiewali niebiańską i czarną sotnię i pomarańczową rewolucję. Pamiętam, jak oszukiwali ludzi nierealnymi obietnicami. Teraz niektórzy latali po Mińsku, bredząc to samo, co w Kijowie.

Białorusini wiedzą, jak skończyła się rewolucja na Ukrainie. Znają skutki wojny domowej. Boją się, że u nich może być tak samo. Niestety, zwykle naród ma niewielki wpływ na tragiczny w skutkach bieg wydarzeń.

Cenę za geopolitykę płacą zwykli ludzie. Pomoc z zewnątrz sprowadzi się do oświadczeń i not protestacyjnych. Puste gesty. Rację ma noblistka Swiatłana Aleksijewicz, że „istnieje zagrożenie, że stracimy własne państwo". Obronić jak największą niezależność państwa i nie dopuścić do wojny domowej to główne zadanie wszystkich stron konfliktu na Białorusi. Bo jak nie, to może być jeszcze gorzej. Nietrudno sobie wyobrazić rządy bardziej dyktatorskie.

Łukaszenka opisywany jest jako ostatni dyktator w Europie. Orbán na Węgrzech nie jest oczywiście dyktatorem. To po prostu demokrata nowego typu.

A to, co było wokół wyborów prezydenckich w Polsce, to pewnie wzorzec, który chcemy podarować Białorusi? I w gratisie jeszcze nasz model Trybunału Konstytucyjnego? Lub doświadczenia z mediami w służbie partii władzy?

DZIĘKUJEMY! I PROSIMY!

Dzięki hojności naszych Czytelników prenumerata PRZEGLĄDU trafiła już do 44 bibliotek i czytelni. Ale lista nie jest zamknięta. Zgłosiło się ponad 100 placówek. Chcą czytać, ale nie mają pieniędzy. Może ufundujecie nasz tygodnik jakiejś bibliotece? Albo tej, którą sami wskażecie?

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka"
Fundacja Oratio Recta
Nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Za życzliwość serdecznie dziękujemy!

Pełna lista bibliotek na www.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 1059d9d2a5

W NUMERZE

KRAJ

8 **Co wiemy o testach na COVID-19**
Daleko do sukcesu

12 **Rekin, delfin czy leszcz?**
Czy Kaczyński odstrzeli Ziobrę?

16 **Domowe biuro przez całą dobę**
Dla kogo praca zdalna

20 **Rząd odchudza, czyli nikt nic nie wie**
Zwolnienia w administracji publicznej

24 **25 godzin jazdy bez odpoczynku**
Transportowy biznes z busami

48 **Przerabiać na rozumne kopyto**
Lista lektur do rekonstrukcji

OPINIE

28 **Janusz Dobieszewski**
Walicki – Rosja, Rosja – Walicki

ZDROWIE

32 **Koronawirus pół roku później**
– rozmowa z dr. Pawłem Grzesiowskim

59 **Owocowa broń na nadciśnienie**
Zaprzyjaźnić się z aronią

ZAGRANICA

35 **Więcej niż trzydziestu**
Izraelskie kobiety przeciw gwałtom

38 **W drodze po przeżycie**
Migracje klimatyczne

HISTORIA

40 **Jak władze sanacyjne uciekały z Polski**
Legenda Zaleszczyk

KULTURA

44 **Iwicka 8 drży w posadach**
Wspomnienia Tomasza Jastruna

50 **Teatr okrojony**
Wirtualny sezon 2019/2020

54 **Qulturalia**

66 **Satyrykon – Legnica 2020**

SPORT

56 **Telewizyjna Liga Narodów**
Problemy trenera Brzęczka

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Mińsk bez Majdanu

10 **Jan Widacki**
Bijące serce partii

23 **Roman Kurkiewicz**
Polaków „bez praw" portret własny

47 **Tomasz Jastrun**
Jak pohulać?

53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Na głodzie

55 **Wojciech Kuczok**
Na tropie zachwytu

16
KRAJ

DOMOWE BIURO PRZEZ CAŁĄ DOBĘ
Dla kogo praca zdalna

32
ZDROWIE

KORONAWIRUS PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ
– rozmowa z dr. Pawłem Grzesiowskim

35
ZAGRANICA

WIĘCEJ NIŻ TRZYDZIESTU
Izraelskie kobiety przeciw gwałtom

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. ADOBESTOCK, GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS, ANNA ABAKO/EAST NEWS, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, LUCYNA NENOW/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 1059d9d2a5

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Prof. Witold Modzelewski
Czy ekspert może być rusofobem

Urzędy pracy przed szczytem zwolnień

Włochy
– kupić dom za 1 euro

Wojna o Białoruś

Wreszcie jest rzetelna analiza na temat Białorusi! Już straciłem nadzieję, czytając te kalki TVN-owskich czy TVPiS-owskich wykwitów neoliberalnych „myślicieli”.

Wiktor Bielec

•

Polskiej elicie zależy na destabilizacji Białorusi, bo przedsiębiorcom zapewni to falę taniej siły roboczej. Tak jak w przypadku Ukraińców.

Andrzej Janusz

•

Stabilna Białoruś jest zgodna z polską racją stanu. Czy poparcie polskiej klasy politycznej dla projektów, których celem jest destabilizacja wschodniego sąsiada, to wynik głupoty, czy wpływu obcej agentury, trudno powiedzieć.

Przemysław Jocz

Nauka religii, czyli czego?

Szkoły wyznaniowe dla każdej religii powinny być organizowane przez poszczególne Kościoły zarejestrowane w Polsce, o ile wyrażą taką chęć. Szkoły publiczne powinny być wolne od religijnej indoktrynacji i przekazywać jedynie wiedzę opartą na podstawach naukowych, włączając religioznawstwo. Ale dla Kościoła katolickiego oznaczałoby to wymierne straty finansowe. Musiałby przynajmniej częściowo pokryć koszty, a uczący religii księża i katecheci nie mieliby podstawy do pobierania od państwa wynagrodzenia.

Jacek Doliński

To nie tak miało być

A właśnie mamy to, do czego dążyła Solidarność. Klerykalizm, dziki kapitalizm, wymiana elit na swojaków, nepotyzm, tani antykomunistyczny populizm, władza ludzi marnie przygotowanych do sprawowania funkcji publicznych.

Maciej Lich

Ani spokojna, ani wesoła

Dawniej z każdego spaceru przynosiłam butelki szklane lub plastikowe i wrzucałam do naszych pojemników. Teraz nie, bo nasze własne śmieci ledwo się mieszczą w pojemnikach do segregacji. Przestałam więc sprzątać po turystach i lokalnych pijaczkach. Śmieci są wszędzie: w wyrobisku po wydobyciu żwiru leżą odpady z warsztatu samochodowego. Zgłoszenie na policję pozostaje bez rezultatu. Zniknęły skupy makulatury, powstały firmy odbierające kartony itp., ale za opłatą, więc kartonowe opakowania z hurtowni czy sklepu wędrują do żwirowni. Na zarośniętym sosnami polu (właścicielka mieszka na drugim końcu Polski) walają się pozostałości po imprezach plenerowych lokalnych degustatorów, śmieci z ich samochodów, pozostałości po remoncie. W lesie to samo. W dodatku przybył nowy rodzaj śmieci: maseczki i rękawiczki. Ludzie – bez względu na wiek – śmiecą bezmyślnie i z upodobaniem.

Maria Łakomy

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prawda jest oczywista, tu bije serce narodu. Dożynki Jasnogórskie, 6 września.

FOT. ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC/FORUM

eprasa.pl 1059d9d2a5

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Adam Bodnar z podniesioną głową kończy bardzo aktywną pięcioletnią kadencję rzecznika praw obywatelskich. Stał na straży konstytucji i praworządności. Do jego biura wpłynęło 270 tys. skarg i ponad 6 tys. wniosków o wniesienie skargi nadzwyczajnej. W czasie spotkań regionalnych odwiedził 165 miejscowości. **Działał bardzo konsekwentnie, mimo że PiS obcięło mu budżet** i traktowało jako opozycję.

Tak się przechodzi do legendy. **Wiesław Uchański prezesuje Wydawnictwu Iskry od 33 lat.** Nominację dostał od prof. Aleksandra Krawczuka, ówczesnego ministra kultury. Profesorowi, dziś 98-latkowi, gratulujemy tak trafnej decyzji i życzymy dobrego zdrowia.

Kamil Majchrzak, lewicowy dziennikarz i działacz antyfaszystowski, jest pomysłodawcą upamiętnienia w centrum berlińskiego Charlottenburga **żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego,** którzy w maju 1945 r. zdobywali tę dzielnicę. Zginęło wówczas 2 tys. żołnierzy, a 8 tys. odniosło rany.

Dr hab. Krzysztof Wasilewski, autor wielu publikacji na naszych łamach, został prorektorem ds. kształcenia Politechniki Koszalińskiej. Gratulujemy.

Lekarze ze Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu dokonali przeszczepu płuc choremu na COVID-19, którego do operacji przygotowano w Centrum Terapii Pozaustrojowych Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Krakowie.

Tylko 1,8 mln szczepionek na grypę trafi do pacjentów do końca października, 200 tys. dopiero zimą, w grudniu. A reszta chętnych do szczepień? Musi się zadowolić blablaniem urzędników Ministerstwa Zdrowia.

Ks. Roman Kneblewski, odwołany z parafii w Bydgoszczy, **ksenofob, antyszczepionkowiec, nacjonalista, mianujący się kapelanem narodowców, nie znalazł zrozumienia w Watykanie, który podtrzymał decyzję bp. Jana Tyrawy o odwołaniu.**

Andrzej Przyłębski, ambasador RP w Niemczech, wykorzystał uroczystość odsłonięcia w Berlinie tablicy pamiątkowej honorującej żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego **do zaprezentowania IPN-owskiej wersji historii wojny.**

Hanna Gill-Piątek, posłanka wybrana z łódzkiej listy SLD, przeszła do ruchu Polska 2050 Szymona Hołowni. Bardzo aktywna i lewicowa w działaniu i poglądach **będzie tam ze swoim światopoglądem ciałem obcym.** Ale Hołownia, w przeciwieństwie do Czarzastego, to jakaś nadzieja.

1080 przypadków we Wrocławiu i 793 w Poznaniu. Tyle aktów przemocy fizycznej wobec kobiet odnotowała policja przez dwa miesiące (marzec-kwiecień). A ile było niezgłoszonych? Koszmar, który ignoruje rządząca prawica – i Kościół.

PRZEBŁYSKI

TVN 24 na zakręcie

Oglądacie TVN 24 i co widzicie? Niby ta sama stacja, a coraz częściej was zadziwia. Nie jest to złudzenie! Nowe porządki wprowadzają amerykańscy właściciele. Koncern medialny Discovery, metodą salami, przycina programy niewygodne dla rządzącego PiS. Z TVN ciągle ktoś odchodzi. Trump już nie jest przedmiotem totalnej krytyki. A będzie tych zmian więcej. Bo nadzór nad spółką przejęła Katarzyna Kieli, szefowa Discovery w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Zastąpiła Piotra Koryckiego, który nie był wystarczająco elastyczny.

TVN milszy władzy może stracić część widzów (dziś 7,66% rynku). Ale rząd w nagrodę może odblokować strumień reklam spółek skarbu państwa i Amerykanie wyjdą na swoje.
Widzowie będą częściej oglądać wspaniałą amerykańską demokrację. I krytykę Rosji oraz Chin.

Generał Praga z miotłą

Stojąc w kolejce na granicy, np. z Ukrainą, możemy zobaczyć, jak pracuje Straż Graniczna. Mundurowi prezentują się nieźle. Dużo gorzej jest, niestety, za kulisami. A najgorzej na górze. Obecny komendant Tomasz Praga to wynalazek eksmarszałka Kuchcińskiego i fragmencik tzw. układu podkarpackiego. Kuchciński wyciągnął go z kancelarii Bieszczadzkiego Oddziału Straży Granicznej. Praga dostał fotel komendanta głównego plus dwie gwiazdki generalskie.

Efekt? Afera goni aferę. A komendant lata z miotłą do zamiatania brudów pod dywan.
Tak jest z przemytem, na którym złapano 20 osób ze Straży Granicznej. Wracali z misji w Macedonii i wpadli na serbsko-węgierskim przejściu granicznym. Tak jest też z aferą lubelską. Zblatowani z miejscowym ortopedą funkcjonariusze wyłudzili na lewych zwolnieniach milion złotych. Oszuści dalej pełnią funkcje w Związku Zawodowym Funkcjonariuszy Straży Granicznej. A szef tego związku mjr Marcin Kolasa to dopiero zgrywus i numerant. Za syf u siebie oskarża tygodnik „Nie", który to opisał.

Poszukiwanie nieznanego autora

Bratanica prezesa Kaczyńskiego ma stały felieton w organie braci Karnowskich. Sztywne w formie wypracowanka nie porywają głębszą myślą. Marta Kaczyńska-Zielińska tak przynudza, że uśpiła czujność sekretarzy redakcji tygodnika. Ale nie naszego informatora, który przysłał wycinek jej felietonu „Nauka historii". Dajemy fragmencik. Może ktoś to przetłumaczy?

„Inflacja podręczników, informacji zawartych w internecie, a zwłaszcza ogromna liczba niezweryfikowanych publikacji bez oparcia w rzetelnie zredagowanym szkolnym kompendium wiedzy nie dają możliwości zbudowania spójnego obrazu przeszłości i wychowania kolejnych roczników młodzieży rozumiejącej swoją tożsamość".
Chyba nikt tego nie czytał przed drukiem. Podpisana pod tekstem pewno też nie.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 1059d9d2a5

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie są niezbędne zmiany w prawie o ochronie zwierząt?

PROF. ANDRZEJ ELŻANOWSKI,
zoolog, Polskie Towarzystwo Etyczne

Wszystko, co zapowiedział prezes PiS, jest pilnie potrzebne, a najbardziej palące ze względu na niewypowiedziany ogrom cierpienia są zakaz prowadzenia ferm futrzarskich i radykalne ograniczenie uboju rytualnego. Jednak nawet najlepsza ustawa nie będzie działać, dopóki nadzór nad jej przestrzeganiem będzie sprawował tylko resort rolnictwa, z powodu nieuniknionego konfliktu interesów pomiędzy produkcją mięsa i mleka a dobrostanem zwierząt. Dlatego kluczową zmianą systemową, którą przynajmniej częściowo realizuje projekt PiS, jest umocowanie nadzoru nad ochroną zwierząt w MSWiA, co zapewni współdziałanie policji i kontrolę niezależną od Inspekcji Weterynaryjnej. Naglące są także zmiany w systemie zapobiegania bezdomności i działaniu schronisk. Planowana reforma ogranicza prawo prowadzenia schronisk do samorządów i organizacji pożytku publicznego – to krok konieczny, ale niewystarczający, bo nadal w dużej części Polski będzie brakować takich placówek. W każdym powiecie powinno być schronisko, zajmujące się nie tylko przyjmowaniem zwierząt, ale też organizujące ich sterylizację i znakowanie, a za jego stworzenie i funkcjonowanie odpowiedzialne byłoby starostwo, obciążające kosztami gminy proporcjonalnie do zamożności lub liczby mieszkańców.

MARIA APOLEIKA,
Psie Sucharki

Niezwykle pilne jest zablokowanie pseudohodowli, w których w koszmarnych warunkach produkowane są dziesiątki tysięcy psów. Najwyższa pora skończyć także z hodowlą zwierząt laboratoryjnych, na początku psów i kotów, które poddawane są wiwisekcji, służą jako „materiał dydaktyczny" dla studentów i obiekty badań. Konieczne jest również uniemożliwienie działalności kombinatom schroniskowym, czerpiącym ogromne zyski kosztem zwierząt. Czas zmienić zasady współpracy schronisk z gminami, a także położyć nacisk na ograniczanie rozmnażania, masową sterylizację oraz faktyczny i respektowany obowiązek oznaczania zwierząt. Na bardzo długiej liście spraw, które trzeba załatwić na poziomie ustawodawczym, znajduje się ponadto zakaz transportu żywych zwierząt hodowlanych, zakaz hodowli oraz sprzedaży koni na mięso oraz zakaz sprzedaży zwierząt domowych poza hodowlami. Pamiętajmy przy tym, że zmiana prawa jest tylko niezbędnym początkiem – konieczne będzie przyuczenie całej machiny instytucjonalnej, od dzielnicowych po sędziów, by było ono egzekwowane.

MARTA KORZENIAK,
Otwarte Klatki

Ustawa o ochronie zwierząt wymaga gruntownej nowelizacji. Jedną z najważniejszych zmian jest wprowadzenie zakazu hodowli zwierząt na futro. Miliony zwierząt cierpią w fermach futrzarskich w imię zysku wąskiego grona osób. Na futro hodowane są głównie zwierzęta dzikie – norki, lisy, jenoty – które w naturalnym środowisku przemierzają codziennie duże odległości. W fermach spędzają całe życie w ciasnych klatkach, których podłoże rani ich łapy. Nienaturalne środowisko i strach przed człowiekiem powodują duży stres, przez co zwierzęta stają się apatyczne, atakują się nawzajem lub popadają w tzw. stereotypię. Hodowla zwierząt na futro powoduje ich ogromne cierpienie i powinna odejść do historii.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 1059d9d2a5

Co wiemy o testach na COVID-19

Handel testami kwitnie, a nowoczesne polskie testy leżą w magazynach

Marek Czarkowski

Według danych Ministerstwa Zdrowia każdego dnia w 185 autoryzowanych przez nie laboratoriach wykonywanych jest średnio 20 tys. testów genetycznych RT-PCR. Zlecają je lekarze lub inspektorzy nadzoru sanitarno-epidemiologicznego w przypadku pacjentów, u których wystąpiły objawy SARS-CoV-2. Albo gdy miało się kontakt z osobą zakażoną. By wynik był wiarygodny, musi upłynąć siedem dni.

Jeszcze w marcu br. prywatne laboratoria zaczęły oferować takie badania. Cena testu genetycznego RT-PCR początkowo przekraczała 1000 zł. Z czasem spadła do 500-600 zł. Pojawiły się też tańsze testy serologiczne – zwane kasetkowymi. W niewielkiej ilości krwi pobranej od pacjenta wykrywały one przeciwciała IgM oraz IgG świadczące, że badana osoba dwa-trzy tygodnie wcześniej miała kontakt z koronawirusem. Ich cena była znacznie niższa. Dziś oscyluje wokół 40-60 zł.

W internecie zaroiło się od osób prywatnych i spółek zajmujących się sprzedażą wysyłkową testów. Interes wydawał się pewny. Wiosną społeczeństwo polskie było wystraszone, a to zapowiadało duży popyt. Teoretycznie testy te można było sprzedawać jedynie lekarzom, przychodniom i laboratoriom, ale kto by się tym przejmował. „Zrób test po wakacjach", „Test kasetkowy koronawirus – cena 53 zł", „Domowe testy na koronawirusa", „Zadbaj o siebie i bliskich, kup test" – reklamowano w sieci. Dziś wiemy, że ich wiarygodność nie zawsze była najwyższa, a dystrybucją zajmowały się osoby niemające nic wspólnego z branżą medyczną ani laboratoryjną. Bywało, że ich krajową produkcję prowadzono w warunkach urągających wszelkim normom. Nikt tego nie kontrolował, podrobienie certyfikatów i opakowań nie stanowiło zaś problemu.

Według informacji wiceministra zdrowia Sławomira Gadomskiego przedstawionej w odpowiedzi na interpelację posłanki Magdaleny Filiks (PO) testy serologiczne zostały poddane weryfikacji w Narodowym Instytucie Zdrowia Publicznego – Państwowym Zakładzie Higieny i okazało się, że „nie ma rekomendacji WHO lub ECDC, ani wiarygodnych badań dotyczących przydatności badań serologicznych wykonywanych poszczególnymi testami w laboratoryjnej diagnostyce zakażeń wywoływanych przez SARS-CoV-2". Także prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, stwierdził, że „nie jest mu znana żadna publikacja naukowa na temat skuteczności testów antygenowych w kierunku rozpoznawania koronawirusa SARS-CoV-2".

Aż 20% testów genetycznych RT-PCR daje wyniki fałszywie ujemne.

Co kupujemy?

W kwietniu resort zdrowia zakupił w koreańskiej spółce PCL Inc. za 29 600 000 dol. milion takich testów antygenowych. 1 lipca posłanka PO Barbara Dolniak złożyła interpelację w tej sprawie. Pisała, że ich skuteczność „jest wątpliwa i ostatecznie nie są one wykorzystywane do badań", oraz bezskutecznie domagała się od ministra zdrowia wyjaśnień. Co gorsza, w wątpliwość podawana jest skuteczność testów genetycznych RT-PCR. Pod koniec czerwca naukowcy z Johns Hopkins Medicine z Baltimore opublikowali badania, z których wynikało, że aż 20% daje wyniki fałszywie ujemne. Jeśli do początku września wykonano w Polsce ponad 2 mln takich testów, to co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób zostało źle zdiagnozowanych. Mówimy o badaniach w certyfikowanych laboratoriach! Przy czym nie wiemy, ile takich płatnych testów przeprowadzono na zlecenie osób prywatnych. I jaka była ich skuteczność.

Jeśli w publicznej służbie zdrowia dochodziło do nieprawidłowości w związku z walką z pandemią SARS-CoV-2, władze starały się nie nadawać temu rozgłosu. Do takich zdarzeń doszło na Śląsku. W sierpniu związkowcy z Solidarności w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym nr 3 w Rybniku informowali o oszustwach oraz fałszowaniu dokumentów, do czego miało dojść podczas wykonywania testów na koronawirusa. Pracownicy szpitala mieli być zmuszani do poświadczania nieprawdy. Wymazy zaś mieli pobierać pracownicy niewymienionej z nazwy fundacji, którzy nie byli wyposażeni w specjalistyczne kombinezony, a jedynie w maseczki. Pobierając próbki od pacjentów, nawet nie zmieniali rękawiczek! Próbki w tym szpitalu mieli też pobierać żołnierze Wojska Polskiego. Zdaniem Piotra Rajmana, przewodniczącego Solidarności w tej placówce, „to jeden wielki biznes, wyprowadzanie pieniędzy z systemu ochrony zdrowia, przekręt jakich mało".

W mediach społecznościowych pojawiły się wpisy zdenerwowanych górników, których poinformowano o dodatnich wynikach przeprowadzonych przez sanepid testów, mimo że… nikt ich nie badał! Przypomnę, że w tym czasie poddano masowym testom załogi śląskich kopalń. I dziennie wykrywano po 700-800 przypadków zakażeń.

Także w sierpniu z powodu błędnego raportowania w szpitalu wojewódzkim w Kielcach resort zdrowia od łącznej sumy przeprowadzonych w kraju badań musiał odjąć aż 230 tys. testów genetycznych PCR, czyli ponad

eprasa.pl 1059d9d2a5

W kwietniu w laboratorium Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu zaprezentowano pierwszy polski test na obecność koronawirusa – MediPAN COVID test.

10%. To wersja oficjalna. Plotki mówiły o „lewych" testach i liczonych w milionach złotych nienależnych dochodach, które trafiły do prywatnych kieszeni. Wszak początkowo NFZ płacił laboratoriom 450 zł za każde wykonane badanie, a dopiero pod koniec kwietnia obniżył cenę do 280 zł.

Polska w ogonie Europy

Nad Wisłą bardzo oszczędnie gospodaruje się testami genetycznymi RT-PCR. Na początku września br. według portalu Euroactiv nasz kraj był na 23. miejscu wśród państw Unii Europejskiej, z liczbą 75 091 wykonanych badań na milion mieszkańców. Tradycyjnie wyprzedziliśmy Bułgarów, Węgrów i Chorwatów. Nawet w białoruskim kołchozie rządzonym przez ostatniego dyktatora w Europie wykonuje się ich więcej – 168 409 na milion obywateli.

Najlepiej z pandemią poradziło sobie 48 898 pastuchów z Wysp Owczych. Do początku września przeprowadzono tam 102 850 testów! Ponad dwa na osobę – włączając niemowlęta i staruszków. Bohaterem narodowym farerskiej społeczności stał się weterynarz Debes Christiansen, szef Narodowego Laboratorium Chorób Ryb. Na początku stycznia ostrzegł on rząd przed wirusem, który pojawił się w Chinach. Urzędnicy polecili, by przystosował laboratorium, w którym badano choroby łososi, do badania mieszkańców wysp. W wywiadzie dla brytyjskiego „Guardiana" Christiansen zapewnił, że podlegli mu pracownicy byli świetnie przygotowani i opracowali własne testy! „Jedyne, co trzeba było zmienić, to część składników. W naszej pracy są one bowiem dostosowane do badania wirusów i bakterii występujących u ryb. Zmieniłem tylko trzy składniki charakterystyczne dla badania koronawirusa", wyjaśnił weterynarz. W połowie maja premier Bárður á Steig Nielsen ogłosił, że kraj jest wolny od pandemii i nikt nie umarł.

Polskie firmy bez szans

Już w kwietniu specjaliści zauważyli związek między liczbą przeprowadzonych testów a liczbą wykrytych przypadków nosicielstwa koronawirusa SARS-CoV-2. Im więcej testów, tym więcej zarażonych. I odwrotnie. Tak też tłumaczył to minister Łukasz Szumowski.

> Co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób zostało źle zdiagnozowanych.

Rekordową liczbę 35 tys. wykonanych testów genetycznych opartych na technice PCR odnotowano 11 i 31 lipca. Niewiele mniej, 34 tys., osiągnięto 1 września. Średnio od początku marca przeprowadzano 20 tys. badań dziennie. By – uwzględniając wielkość populacji – skutecznie walczyć z pandemią, należałoby dziennie wykonywać 60-80 tys. testów. A to oznacza koszty! Nad Wisłą brakuje weterynarzy, którzy w domowych warunkach wymyślą coś skutecznego. Są za to naukowcy i prywatne firmy gotowe podjąć wyzwanie. I politycy chętnie grzejący się w blasku cudzej chwały.

Na początku kwietnia ówczesny minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin ogłosił, że wspiera zespół Instytutu Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu kierowany przez prof. Marka Figlerowicza, który opracował polską, bardzo skuteczną metodę wykrywania SARS-CoV-2, co zostało potwierdzone przez Państwowy Zakład Higieny. 11 kwietnia minister Gowin zapowiedział, że za tydzień ruszy produkcja pierwszych 150 tys. zestawów do badań. Według szacunków pracowników instytutu koszt jednego testu miał wynieść 53 zł. Czyli kilkakrotnie mniej niż oferowane w tym czasie przez pośredników zagraniczne testy. Produkcją – na zlecenie zespołu poznańskiego – zajęła się radomska spółka Medicofarma. Dwie inne rodzime firmy miały dostarczyć jej niezbędne komponenty.

Radomianie wzorowo wywiązali się z zadania. Mało tego! Wyprodukowali zestawy znacznie lepsze, niż zakładano! Poznańscy naukowcy stale je udoskonalali, a pracownicy Medicofarmy na bieżąco wprowadzali zmiany. Finał: pod koniec lipca 150 tys. nowoczesnych polskich testów, intensywnie promowanych przez Gowina… pokrywało się kurzem w magazynach. Połowa trafiła do Centralnej Bazy Rezerw Sanitarno-Przeciwepidemicznych w Porębach koło Zduńskiej Woli, druga połowa została w magazynie Medicofarmy. Ostatnio coś drgnęło i testy z Centralnej Bazy zaczęły trafiać do laboratoriów. Dlaczego tak późno?

Na początku pandemii Ministerstwo Zdrowia i inne instytucje państwowe ruszyły na zakupy. Nie zważając zbytnio na cenę. Agencja Rozwoju Przemysłu kupiła łącznie 151 500 testów DiaPlexQ Novel Coronavirus wyprodukowanych przez koreańską spółkę SolGent Co. Ltd. I jeszcze 200 tys. „testów w kierunku COVID-19" od niewymienionych z nazwy podmiotów. Łącznie – wraz z izolatorami – kosztowały one ARP nie

FOT. PAP/JAKUB KACZMARCZYK

eprasa.pl 1059d9d2a5

mniej niż 44 090 774,92 zł. Ta informacja jest niepełna, gdyż od połowy maja większość zakupów związanych z pandemią realizuje Centralna Baza Rezerw Sanitarno-Przeciwepidemicznych w Porębach. A tam wszystko jest tajne.

Dobrze to ilustruje przypadek poznańskiej firmy Argenta Sp. z o.o. Dziennikarze portalu Onet.pl podali, że kupowała ona w Turcji testy, „płacąc ok. 34 zł za sztukę. Tymczasem Ministerstwo Zdrowia odkupowało je, płacąc Argencie średnio 128 zł za sztukę". Posłowie Krzysztof Gawkowski (Lewica) i Adam Szłapka (Nowoczesna) pod koniec maja i na początku czerwca złożyli interpelacje w tej sprawie. Gawkowski do dziś nie doczekał się odpowiedzi. A Szłapka dowiedział się od wiceministra zdrowia Waldemara Kraski, że „Firma Argenta Sp. z o.o. Sp.k. ma podpisaną umowę z Centralną Bazą Rezerw Sanitarno-Przeciwepidemicznych w Porębach koło Zduńskiej Woli (CBR)". Mecenas Maciej Ślusarek z kancelarii Leśnodorski, Ślusarek i Wspólnicy, reprezentujący wyżej wymienioną firmę, skierował na ręce reaktora naczelnego portalu Onet.pl oraz wydawcy, spółki Ringier Axel Springer, przesądowe wezwanie z wnioskiem o opublikowanie sprostowania, kwestionując podane przez dziennikarzy fakty. Spór pewnie skończy się w sądzie.

Dziś polscy producenci nie mają szans. Obok Medicofarmy testy, o nazwie SARS-CoV-2 SensDx, produkuje warszawska spółka SensDx. Jej twórcy przekonują, że ich zestaw wykrywa aktywne białko koronawirusa i jest bardzo precyzyjny. Jednak SensDx nie wiąże przyszłości z sektorem publicznym. Woli sprzedawać testy prywatnym odbiorcom. Także spółka BioMaxima ma w ofercie szybkie testy wykrywające przeciwciała IgG oraz IgM, a więc mniej precyzyjne niż testy genetyczne RT-PCR.

Po dymisji ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego jego następca Adam Niedzielski ogłosił nową strategię.

Górników poinformowano o dodatnich wynikach testów, mimo że… nikt ich nie badał!

Już nastąpiły duże zmiany związane z wykonywaniem testów w kierunku SARS-CoV-2. Najwięcej kontrowersji wzbudził pomysł, by decyzję o poddaniu pacjenta badaniom podejmował lekarz rodzinny po jego zbadaniu.

Jacek Krajewski, prezes skupiającego lekarzy rodzinnych Porozumienia Zielonogórskiego, nazwał to rosyjską ruletką i oświadczył, że rola lekarza podstawowej opieki zdrowotnej nie obejmuje leczenia pacjentów z koronawirusem. Jego zdaniem oznacza to ogromne zagrożenie dla osób pracujących w przychodniach. Wszak lekarze pierwszego kontaktu nie są wyposażeni w specjalne kombinezony i maski jak ratownicy medyczni. W wyniku negocjacji z ministerstwem uzgodniono, że lekarz rodzinny będzie mógł zdecydować o poddaniu pacjenta testowi po rozmowie telefonicznej.

Nowa strategia już sprawiła, że spadła liczba przeprowadzanych testów, a w konsekwencji liczba wykrytych zakażeń. Nie oznacza to, że pokonaliśmy pandemię. Przeciwnie, będziemy wiedzieli mniej niż dotychczas. Co gorsza, znaczna część społeczeństwa oswoiła się z zagrożeniem i zrezygnowała z zachowania dystansu społecznego oraz noszenia maseczek w sklepach, autobusach czy tramwajach. Na efekty nie będziemy długo czekać. Zwłaszcza gdy zwykła grypa dołączy do do COVID-19.

Marek Czarkowski

Tak w PRL nazywano Milicję Obywatelską. Bijącą pałą gumową (bodaj w trzech rozmiarach) w czasie tłumienia manifestacji, na „ścieżkach zdrowia", czasem też w czasie przesłuchań.

Po roku 1990 zrobiono wiele, aby policję, która powstała z przekształcenia milicji, uczynić apolityczną. Dokonano głębokich zmian kadrowych, usunięto tych, którzy zbyt gorliwie wykonywali zadania „bijącego serca partii", ustawowo wprowadzono nową filozofię funkcjonowania. Już pierwszy artykuł ustawy o policji głosi, że „tworzy się Policję jako umundurowaną formację służącą społeczeństwu i przeznaczoną do ochrony bezpieczeństwa ludzi oraz do utrzymywania bezpieczeństwa i porządku publicznego". Nie jednej partii, nie rządowi nawet służącą, ale społeczeństwu! Policjanci przed podjęciem służby składają ślubowanie, w którym przyrzekają „służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją porządek prawny, strzec bezpieczeństwa obywateli (...), pilnie przestrzegać prawa, dochować wierności konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej, przestrzegać zasad etyki".

Policjantom nie wolno prowadzić działalności politycznej ani należeć do partii. Przy realizacji czynności takich jak legitymowanie, zatrzymywanie, a nawet obezwładnianie, mają jak najmniej naruszać dobra osobiste ludzi, wobec których te czynności podejmują.

Wydawało się, że trwale już zmieniono stosunek policji do społeczeństwa i społeczeństwa do policji. Cieszyła się ona wysokim zaufaniem społecznym, wyższym niż Kościół katolicki. Od 1990 r. minęło 30 lat. W policji wymieniło się całe pokolenie.

Ale policja, aby mogła wykonywać zadania, a więc strzec naszego bezpieczeństwa i porządku publicznego, a także konstytucyjnego ładu, musi mieć uprawnienia. Wśród nich także do użycia środków przymusu bezpośredniego, a nawet broni palnej. Rzecz w tym, by tych uprawnień używała tylko w ściśle określonych granicach prawa, w dodatku z rozwagą i umiarem.

Ostatnio policja nie ma dobrej prasy. Używana do przywracania, a choćby tylko utrzymywania

Odszedł

Edward Mikołajczyk

Nasz Przyjaciel, Wielka Postać mediów.
Redaktor o unikatowej osobowości i wielu talentach.
Zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych".
Błyskotliwy erudyta i znawca telewizji.
Jako współprowadzący legendarnego Studia 2
na zawsze zapisał się w historii TVP.
Jego pasją była też piłka nożna. Pełniąc funkcję rzecznika prasowego PZPN, był na Mistrzostwach Świata w Meksyku.
Nasz tygodnik ubogacił cyklem felietonów „Szołkejs".

Córce i Bliskim Edwarda bardzo współczujemy

Jerzy Domański i zespół „Przeglądu"

eprasa.pl 1059d9d2a5

Z Galicji

Jan Widacki

Bijące serce partii

porządku w czasie rozmaitych manifestacji politycznych bądź społecznych, pikiet czy demonstracji, na początku rządów PiS zachowywała się na ogół dość powściągliwie, niekiedy nawet budząc sympatię protestujących. Tak było przy usuwaniu osób blokujących wjazd na Wawel prywatnym samochodom prominentnych działaczy PiS, z Jarosławem Kaczyńskim na czele, którzy łamiąc wszelkie przepisy i zakazy, uzurpowali sobie uprawnienia kolumny rządowej. Ale nawet wtedy, choć mundurowi policjanci zachowywali się wobec blokujących z kulturą i podziwu godną cierpliwością, inni, niemundurowi, wykonywali wobec manifestujących czynności operacyjno-rozpoznawcze, nawiasem mówiąc przy zwalczaniu wykroczeń niedozwolone. Nie robili tego z własnej gorliwości, ktoś im wykonywanie tych nielegalnych w tej sytuacji czynności nakazał.

Zdarzały się także pojedyncze, niemające nic wspólnego z polityką przypadki przekraczania przez policjantów uprawnień, znęcania się nad zatrzymanymi, nielegalnego wykorzystywania wobec nich paralizatorów. Te ubolewania godne zachowania wobec zatrzymanych zdarzają się wszędzie na świecie. Każdy taki wypadek wzięty z osobna nie ma nic wspólnego z polityką. Jednak sprawa staje się polityczna, gdy, jak w naszych ogólnie znanych przypadkach, przełożeni zamiast wyciągnąć konsekwencje, kryją podwładnych policjantów przestępców.

Wszystko to obniża prestiż policji w społeczeństwie. Ostatnio zaś coraz częściej mamy do czynienia z nierównym traktowaniem przez policję uczestników manifestacji. Jest tolerancyjna wobec faszyzujących narodowców, a brutalna wobec tych, którzy przeciw owym faszyzującym narodowcom protestują. Nie wiem, z czego wynika taka postawa: czy z autentycznych przekonań policjantów, którym bliżej do narodowców niż innych manifestujących? Możliwe, ale nie sądzę, by tak było. Z wyraźnego nakazu politycznych nadzorców? Czasem pewnie tak. Ale nie tylko. Najczęściej chyba z chęci przypodobania się tym nadzorcom.

Policjanci coraz częściej wykorzystywani są przez władze.

Tak czy inaczej, policjanci coraz częściej wykorzystywani są przez władze, zdominowane przez jedną partię, do konfrontacji z jej przeciwnikami. O to jednak w pierwszej kolejności trzeba mieć pretensje do tych, którzy tak ich wykorzystują, nie do policjantów. Oni wykonują rozkazy, są podlegli dyscyplinie i o ile rozkazy nie są zbrodnicze (a jeszcze nie są!), mają obowiązek je wykonywać.

Ta niechęć, zrodzona z politycznego wykorzystywania przez władze, będzie coraz bardziej utrudniać policji normalne wykonywanie jej zadań. Policja, jak pokazała wieloletnia praktyka na świecie, tam tylko działa skutecznie, gdzie ma oparcie w społeczeństwie. Teraz najwyraźniej to oparcie z winy rządzących traci. Dochodzi do tego, że przypadek tak ewidentny jak głośne ostatnio zatrzymanie bezczelnie lekceważącego polecenia policjantów i stawiającego im opór posiadacza dzieci i hulajnogi wywołał oburzenie części opinii publicznej, dziennikarzy i polityków. Otóż policjanci postąpili zgodnie z prawem. Mieli prawo, więcej nawet, obowiązek tak postąpić. Polecenia umundurowanego policjanta, nawet jeśli uważa się je bezprawne, należy wykonać, a dopiero później dochodzić swoich praw i racji. Twierdzenie, że nie wolno było mężczyzny stawiającego opór policjantom skuć na oczach dzieci, jest po prostu niemądre. To, że zastosowanie wobec niego środków przymusu było konieczne, jest poza dyskusją. A czy w tej konkretnej sytuacji można było tę czynność wykonać z mniejszą dolegliwością dla zatrzymanego i jego dzieci? Nie – i tu dyskusja powinna się zakończyć. Inaczej trzeba by przyjąć, że towarzystwo dziecka czyni nietykalnym złodzieja, którego chcemy zatrzymać na gorącym uczynku, chuligana demolującego lokal itd. Nie przesadzajmy. Inaczej policjanci będą się bali podjąć jakąkolwiek interwencję. Przed wojną premier i minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj-Składkowski, odpowiadając na interpelację, powiedział: „Policja biła, policja bije, policja będzie biła". Dopowiedzmy: rzecz tylko w tym, by „biła" (czytaj: stosowała środki przymusu bezpośredniego) wtedy i tylko wtedy, gdy jest to konieczne dla ochrony porządku i bezpieczeństwa, w sytuacjach i w granicach przez prawo opisanych i określonych. Bo wtedy „bije" w naszym, społecznym interesie.

■

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1059d9d2a5

Rekin, delfin, czy leszcz?

Czy Kaczyński odstrzeli Ziobrę?

Robert Walenciak

Rekin, delfin czy leszcz? Czy Kaczyński odstrzeli Ziobrę? To chyba najważniejsze dziś pytania w polskiej polityce. Bo o tym, że Ziobro rzucił wyzwanie pisowskiemu establishmentowi, więc i samemu Kaczyńskiemu, media piszą od tygodni. A od tego, jak się skończy ta fronda, zależy nie tylko układ sił na polskiej prawicy, ale i sama polityka. Bo Zjednoczona Prawica stoi przed problemem, jak rozegrać trzy lata bez wyborów, za to na pewno z kryzysem gospodarczym. Ale zacznijmy od początku.

Hasło: rekonstrukcja

Gdy Jarosław Kaczyński rzuca hasło „rekonstrukcja rządu", musimy być przygotowani, że kryje się za tym coś więcej niż zwykła wymiana ministrów lub połączenie kilku resortów w jedno. Niedawno przecież rozczłonkowano MSZ, podzielono jego kompetencje i nikt nawet nie mrugnął. Wymieniono ministrów zdrowia i spraw zagranicznych i też mało kto tym się przejął. Nie, to nie była „rekonstrukcja". A skoro tak, to Kaczyński zapowiedział coś znacznie większego, coś, co prawicą może wstrząsnąć. Czyli co?

Pisaliśmy o tym kilka tygodni temu w PRZEGLĄDZIE – gdy Kaczyński przeprowadzał pierwszą rekonstrukcję, też trwała miesiącami, ciągnęła się przez całe lato, a w jej efekcie ze stanowiskami pożegnali się Antoni Macierewicz i Beata Szydło. Odsunięcie ich na bok mogło zagrozić stabilności układu rządzącego. Macierewicz, mimo że miał stanowisko wiceprzewodniczącego PiS, mógł liczyć na własne struktury, Kaczyński miał więc powody się bać, że minister obrony zacznie budować własną formację, mijającą PiS z prawej strony. Beata Szydło była ulubienicą aparatu PiS. Operacja ich neutralizacji była zatem politycznie niełatwa. Ale się powiodła!

Dziś mamy podobną sytuację. Jarosław Kaczyński musi zneutralizować Zbigniewa Ziobrę, bo inaczej będzie miał wojnę we własnym ugrupowaniu. Albo się z nim dogadać – ale wtedy będzie musiał poświęcić Mateusza Morawieckiego, którego Ziobro systematycznie atakuje. Albo-albo. Rekonstrukcja rządu jest więc operacją wymierzoną w ministra sprawiedliwości. I w zależności od tego, jak się zakończy, będziemy mogli oceniać układ sił w Zjednoczonej Prawicy.

Zdjęcie z wakacji

Na przełomie sierpnia i września furorę w internecie zrobiły zdjęcia Jarosława Kaczyńskiego z wakacji – spędzanych tradycyjnie pod opieką Joachima Brudzińskiego. Na pierwszym widniał Kaczyński w otoczeniu kilku mężczyzn, wyglądających na przebierańców. Ewidentnie zmęczony, kontrastował z ich szczęśliwymi obliczami. Wiadomo, zdjęcie z prezesem, wakacyjne, to w PiS jak szlachecki glejt. Drugie zdjęcie przedstawiało Kaczyńskiego za sterem łodzi.

> Rekonstrukcja rządu jest operacją wymierzoną w ministra sprawiedliwości.

Ale ważniejszy był podpis, dzieło Brudzińskiego: „Śpijcie spokojnie, stery Polski w dobrych rękach". To zdjęcie miało być sygnałem dla polityków PiS, że Kaczyński trzyma w rękach stery jeśli nie Polski, to przynajmniej rządzącej większości, a najbliżej tych rąk jest Brudziński.

Przy okazji niejako poszła w świat wiadomość, że na zbliżającym się kongresie PiS wiceprzewodniczącym partii ma zostać Mateusz Morawiecki, Antoni Macierewicz najprawdopodobniej zaś straci to stanowisko. I te zdjęcia, i te przecieki pokazały nam, jak wygląda sytuacja w PiS. Że z jednej strony mamy coraz starszego, coraz mniej energicznego Jarosława Kaczyńskiego, a z drugiej coraz gorętszą walkę o pozycję numer 2 na prawicy, w przyszłości zaś o pozycję jego następcy.

Chętnych, by być tuż za Kaczyńskim, jest tam sporo. Na pewno należy do nich Joachim Brudziński, europoseł, który ma wielkie wpływy w pisowskim aparacie. Także Mateusz Morawiecki, który premierem został z woli prezesa i choć na początku był przez działaczy kontestowany, powoli, konsekwentnie umacnia swoją pozycję. Swoje ambicje ma na pewno Mariusz Błaszczak, ważną postacią jest Mariusz Kamiński. Nie zapominajmy też o Andrzeju Dudzie. Do tego grona zamierza doszlusować Zbigniew Ziobro.

Czy jest życie poza PiS?

Ziobro nie jest w PiS. Został z partii wyrzucony w listopadzie 2011 r., razem z Jackiem Kurskim i Tadeuszem Cymańskim. Powód – Ziobro po serii porażek PiS z Platformą rzucił rękawicę Kaczyńskiemu. Spotkała go więc kara. „Po szóstych przegranych z rzędu przez PiS wyborach zdecydowaliśmy się przedstawić wizję i plan do zwycięstwa, dziś spotkaliśmy się za to z decyzją o wyrzuceniu z partii", żalił się. Choć pisowski aparat specjalnie go nie żałował. „Miał być delfinem, chciał być rekinem, a został leszczem", szydził Adam Hofman, ówczesny rzecznik PiS.

Ziobro nie zamierzał tych kpin puszczać mimo uszu. Potem był już twardszy, jego Solidarna Polska walczyła z PiS o miejsce na prawicy. Nie przebierał więc w słowach. „Kaczyński nigdy nie był moim politycznym ojcem ani autorytetem – mówił w 2013 r. – Nie był nigdy moim guru. Prezes nabiera do mnie sympatii tylko wtedy, kiedy kamery są wokół, a po ich wyłączeniu traktuje nas jak powietrze. Wyborcy prawicy powinni

eprasa.pl 1059d9d2a5

Jarosław Kaczyński musi zneutralizować Zbigniewa Ziobrę, bo inaczej będzie miał wojnę we własnym ugrupowaniu.

ocenić brak szczerości Jarosława Kaczyńskiego. PiS buduje gorsze standardy niż PO". Rok później, podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego, gdy promował boksera Tomasza Adamka, mówił: „Nie ma mowy o powrocie na łono PiS nawet w przypadku porażki. Wady Jarosława Kaczyńskiego uniemożliwiają współpracę. On dzieli ludzi".

Podobne, krytyczne opinie o Kaczyńskim wygłaszał Jacek Kurski: „PiS jest jak kolonia karna. Jarosław Kaczyński powinien być jak dyrygent. W ręku batuta, wsłuchany w skrzypce, w świetne brzmienie wiolonczeli. Ale batuta pomyliła się dyrygentowi z batem. PiS w obecnej formule nie wygra żadnych wyborów. W PiS nie ma refleksji nad porażkami, tłumi się krytykę i dyskusję nad popełnionymi błędami, nie wyciąga wniosków. Z wyborów na wybory jest tak samo, tyle że jeszcze bardziej".

Ostatecznie PiS poradziło sobie z Solidarną Polską. Tak jak Platforma poradziła sobie z Nowoczesną, a SLD z Socjaldemokracją Marka Borowskiego lub, ostatnio, z Wiosną Roberta Biedronia. Ludzie od Ziobry zostali wpuszczeni na listy PiS, dostali się do parlamentu, najpierw w 2015 r., a potem rok temu. Sam Ziobro otrzymał fotel ministra sprawiedliwości. Czy znaczy to, że Kaczyński zapomniał Ziobrze jego wiarołomstwa? Że jest pod jego wielkim wpływem?

Nie – w 2015 r., idąc po władzę, Kaczyński przystał na projekt Zjednoczonej Prawicy, poszerzając PiS o ziobrystów i gowinowców; oczywiście wiedział, że wpuszczając ich na swoje listy, przepłaca. Ale załatwiał sobie w ten sposób dwie sprawy. Po pierwsze, miał pewność, że nie straci głosów, które poszłyby na Solidarną Polskę i Porozumienie Gowina. Po drugie, uzyskiwał wielki marketingowy atut – cała prawica razem.

A czy musiał po wyborach obdarowywać Ziobrę stanowiskiem ministra? Bo to wyglądało, jakby darował mu wszystkie winy. Pewnie nie musiał. Ale Kaczyński lubi stawiać na czele ministerstw „twardzieli", którzy bez mrugnięcia okiem zrealizują powierzone im zadanie. Zgodnie z tą zasadą Ministerstwo Obrony dostał Antoni Macierewicz, a telewizję Jacek Kurski. Mariusz Kamiński – służby specjalne, a Jacek Sasin – jak saper rzucany jest na najgorętsze odcinki. Ziobro wrócił więc do Ministerstwa Sprawiedliwości z zadaniem spacyfikowania wymiaru sprawiedliwości i podporządkowania sędziów partii rządzącej.

Szeryf czy wódz rewolucji?

Mija pięć lat walki o sądy i można śmiało orzec, że partia rządząca w tej batalii ponosi klęskę za klęską. Mając pełnię władzy, Ziobro nie podporządkował sobie sądów, ba, sprawa praworządności (czy raczej jej braku) została umiędzynarodowiona i jest stałym elementem debat w Brukseli.

Pod względem skuteczności działania Ziobro w wojnie o sądy poniósł porażkę. Oczywiście ta wojna nie jest zakończona, pisowski walec nieuchronnie przetacza się po kolejnych obszarach i z punktu widzenia zwolennika niezależnej władzy sądowniczej trudno tu być optymistą. Można jednak uznać, że Ziobro w wojnie o sądy nie wykazał się specjalną inteligencją ani umiejętnościami politycznymi. Ale te umiejętności pokazał na innych polach. Zwłaszcza w wojnie o sympatię skrajnie prawicowej części obozu rządzącego. Tu robi postępy. W pierwszych latach Solidarnej Polski główne tematy, które ta partia poruszała, były w sposób dość monotonny związane z Ministerstwem Sprawiedliwości – dominowała walka z korupcją albo z niskimi wyrokami. Ludzie Ziobry też nie budzili specjalnych emocji – Marzena Wróbel, Arkadiusz Mularczyk, Jacek Kurski, Andrzej Dera to nie były postacie, które mogłyby przyśpieszyć bicie serca prawicowego wyborcy.

Kaczyński zapowiedział coś, co prawicą może wstrząsnąć.

Teraz jest zupełnie inaczej. Ziobro nie jest już tylko szeryfem. Dziś kreuje się na lidera najbardziej ideowej części rządzącej prawicy. Narzuca ton i szuka wroga. I go wskazuje. To są środowiska LGBT, to Unia Europejska i jej system wartości. „Trwa walka o zabicie cywilizacji zachodniej, której fundamenty to etyka chrześcijańska, filozofia grecka i prawo rzymskie – alarmuje Patryk Jaki. – Przez lata w Europie i na świecie widzieliśmy próby niszczenia najważniejszego fundamentu – etyki chrześcijańskiej". W ten sposób to, co dla żulii jest zwykłym „biciem pedała", dla Jakiego jest walką w obronie cywilizacji zachodniej. Podobnie jak ochrona księdza pedofila.

eprasa.pl 1059d9d2a5

U boku ministra pojawiło się też grono młodych polityków. Okazało się bowiem, że to Solidarna Polska jest najlepszą trampoliną do kariery. Patryk Jaki walczył o prezydenturę Warszawy, a teraz jest w Parlamencie Europejskim. Michał Woś, urodzony w roku 1991, jest ministrem. Wiceministrami są inne młode wilczki – Jan Kanthak, Janusz Kowalski, Jacek Ozdoba, Sebastian Kaleta. Nawet od ich nazwisk ukuto termin Ka-Ka-O. Na tym tle Marcin Warchoł i Michał Wójcik (lat 40 i 48) wyglądają jak seniorzy.

Młodych ziobrystów łączy oprócz wieku jedno: wypowiadają swoje opinie o ideologii LGBT, zagrożeniu chrześcijańskiej cywilizacji, agresywnym lewactwie i konieczności obrony rodziny w sposób autorytarny. Tak, żeby zaostrzyć spór. To ich sposób na zaistnienie w politycznym świecie. Teoretycznie nie jest to nic nowego. Wcześniej takich młodych ludzi, pełnych zapału i oddania dla wodza, wykorzystywał Jarosław Kaczyński. Historia PiS to także historia Michała Kamińskiego, Adama Bielana, Adama Hofmana, Marcina Mastalerka, Jana Dziedziczaka, Krzysztofa Łapińskiego, Bartłomieja Misiewicza… Ich późniejsze losy były różne. Ale przeszli w PiS podobną drogę. Ten patent wykorzystuje Ziobro.

Dziś Ziobro jest więc już kimś innym, niż był w latach 2005-2007. Owszem, można uznać, że jest szeryfem, ale już od czegoś innego. Ma całościową wizję przyszłej Polski, państwa związanego z Kościołem, jak Hiszpania gen. Franco lub Portugalia Salazara, ma struktury i ludzi. O wiele bardziej aktywnych niż przeciętni działacze PiS.

Pytanie tylko, kiedy to dotarło do Kaczyńskiego. Kiedy się zorientował, że Ziobro nie jest już człowiekiem od jednego tematu, którego – jak zrobi swoje – będzie można odsunąć na bok, lecz pretendentem do szefowania polskiej prawicy?

Kiedy Kaczyński zorientował się, że Ziobro jest pretendentem do szefowania polskiej prawicy?

Gra Zbigniewa

Uznajmy, że zorientował się wcześniej od nas wszystkich. Ale dopiero niedawno doszedł do wniosku, że może to zagrozić jedności prawicy. Dlaczego? Parę miesięcy temu byliśmy świadkami buntu Jarosława Gowina, który nie zgodził się na wybory prezydenckie w terminie 10 maja. Zostały więc przełożone, Kaczyński nie miał wyjścia, bo Gowin groził, że posłowie z jego ugrupowania będą głosować razem z opozycją i to opozycja miałaby w Sejmie większość. W tym czasie Ziobro i jego 19 posłów zachowali wobec PiS pełną lojalność. Ba! Ziobro ją deklarował i miał zaproponować Kaczyńskiemu, że SP powróci do PiS, że obie partie się zjednoczą. Ale ta oferta została odrzucona. Jak to rozumieć? Dlaczego Gowin robi wszystko, żeby być niezależny od PiS, a Ziobro chce się z PiS jednoczyć?

To oczywiście efekt ich kalkulacji i miejsca na scenie politycznej. Gowin również chciałby odgrywać kluczową rolę, ale widzi ją jako rolę lidera formacji wychodzącej poza PiS, obejmującej część PO, a także kukizowców i PSL. Ziobro ma inny plan. Chciałby wrócić do PiS i tam, już jako wiceprzewodniczący, budować swoją pozycję. Solidarna Polska to tylko 19 posłów. Gdyby był w PiS, mógłby zbudować własną frakcję i przyciągnąć do siebie kolejnych parlamentarzystów.

Wie to Kaczyński, dlatego nie ma zamiaru wpuszczać Ziobry do PiS. Bo oznaczałoby to wojnę o władzę nad partią. Ziobro w walce o pozycję nie byłby osamotniony. Jego hasła i twarde podejście do opozycji podobają się wielu w partii władzy. Sympatyzuje z nim Beata Szydło, którą pisowskie doły wciąż kochają, a która wreszcie chciałaby się odegrać na Morawieckim.

Powrót Ziobry do PiS oznaczałby zatem wojnę wewnątrz partii. Z Joachimem Brudzińskim, z Mateuszem Morawieckim. Ba, w pewnym momencie z samym Kaczyńskim – i o tym prezes wie. Oznaczałby również zwrot w polityce partii rządzącej. Kaczyński, a także premier Morawiecki, mając w perspektywie trzy lata bez wyborów, chcieliby pewne konflikty zamknąć, bo wiedzą, że PiS one nie służą i rządzenia krajem nie ułatwiają. Tymczasem Ziobro chce je zaostrzać. Chce mobilizować do walki.

Wojna z Ziobrą jest więc sporem nie tylko o władzę, ale i o kształt polityki. Może nie jest to spór o strategiczne kierunki – bo i Ziobro, i Morawiecki chcieliby, aby prawica władzy nie oddała, ale o taktykę jak najbardziej. O to, czy PiS będzie szło na miękko czy na twardo.

Ziobro wrócił do Ministerstwa Sprawiedliwości z zadaniem spacyfikowania wymiaru sprawiedliwości.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Siły na zamiary

Ziobro też o tym wie. Sam fakt, że Kaczyński nie wpuścił go do PiS, jest dla niego jednoznacznym sygnałem, że prezes widzi dla niego rolę w drugim szeregu. Dlatego walczy i ma pewne sukcesy.

Rzecz bowiem w tym, że Kaczyński zakodował w partii pewne prawdy, które łatwo wykorzystać. Otóż, po pierwsze, każdy tam wie, że za nadgorliwość nikt nie poniósł w PiS kary, natomiast za wątpliwości czy rozmowy z opozycją – jak najbardziej. Po drugie, Kaczyński wychował członków partii w posłuszeństwie, by wypełniali polecenia, specjalnie nad nimi się nie zastanawiając. To uczyniło z PiS maszynę sprawną, ale nieodporną na zachowania twarde i radykalne. Gdy więc Ziobro mija PiS z prawej strony, oni nie wiedzą, jak z nim polemizować. No bo jak można nie kochać Kościoła? A Ziobro kocha bardziej, z ks. Rydzykiem na czele. Jak można nie czcić „żołnierzy wyklętych"? Jak można nie wspominać Lecha Kaczyńskiego? Do tego to on najzajadlej tropi wrogów prawicy – i Platformę, i LGBT, i rozmaite postkomunistyczne układy. Jak można kręcić na niego nosem?

Poza tym oskarża Morawieckiego, że ukrywa w gronie współpracowników ludzi PO. W domyśle – że jest, jako były doradca Tuska, przesiąknięty Platformą. Albo uległy wobec UE i nie oponuje wystarczająco energicznie wobec zapowiedzi, że transfery środków z Unii do Polski będą uzależnione od stanu polskiej praworządności. A przecież, jak woła Jaki, „to bitwa o polską suwerenność".

Ale Ziobro ma do dyspozycji nie tylko słowa. Przez te kilka lat zdołał zbudować bardzo sprawną maszynę władzy. Po pierwsze, ma do dyspozycji podległą prokuraturę. A jest ona w polskich warunkach nader poręcznym instrumentem. Może służyć do zbierania haków, zarówno na wrogów z PO, PSL czy Lewicy, jak i na przyjaciół z PiS. I nikt nie wątpi, że Ziobro tych haków ma wystarczający zasób. W mediach od dawna można przeczytać, że prowadzone są śledztwa, w których „przewijają" się nazwiska ludzi bliskich Morawieckiemu (np. sprawa GetBeck); te śledztwa mogą być prowadzone z wykorzystaniem całego dostępnego instrumentarium albo przez jednego, zapracowanego prokuratora.

Prokuratura może więc jedne sprawy pomijać, umarzać, przewlekać, a drugie traktować z całą powagą i zaangażowaniem. Do działaczki KOD, która rozklejała Matkę Boską w tęczowej aureoli, policja jest kierowana o godz. 6 rano, Margot urasta do rangi niemal terrorysty, a powieszenie tęczowej flagi traktowane jest jako atak na naród. A z drugiej strony? W 2017 r. 14 kobiet blokowało marsz narodowców. Były przez demonstrujących bite, lżone i opluwane. Tymczasem prokuratura umorzyła postępowanie wobec tych, którzy kopali, opluwali i wyzywali blokujące przemarsz. Takie zachowanie „nie naruszyło interesu społecznego", a miało na celu „okazanie niezadowolenia", brzmiało uzasadnienie umorzenia.

Innym przykładem jest sprawa tzw. wież Kaczyńskiego i nierozpoczętej inwestycji PiS przy ulicy Srebrnej. Austriacki biznesmen Gerald Birgfellner złożył w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury, ale to on ma nieprzyjemności, a nie prezes, który nie zapłacił mu za wykonaną pracę.

> W wojnie o sądy nie wykazał się specjalną inteligencją ani umiejętnościami politycznymi.

Kasa, misiu, kasa

Innym narzędziem władzy Ziobry są pieniądze. Dysponuje on Funduszem Sprawiedliwości, specjalnie utworzonym jako pomoc dla ofiar przestępstw i w przeciwdziałaniu przestępczości. W ubiegłym roku było to 454 mln zł. Tymczasem Ziobro traktuje ów fundusz jako partyjne kieszonkowe. Płyną z niego pieniądze do mediów – rocznie kilkanaście milionów złotych na promocję jego działań. Środki z funduszu politycy Solidarnej Polski wykorzystują też w inny sposób. Ziobro właśnie z niego przyznał gminie Tuchów (która ogłosiła się strefą wolną od LGBT i z tego powodu straciła wsparcie unijne) ćwierć miliona złotych. Żeby umacniać rodzinę. Z tego funduszu zasilane jest imperium ks. Rydzyka. Finansowane są również prawicowe media.

Jak pisaliśmy, fundusz zasponsorował 20 wkładek w tygodniku „Do Rzeczy". Projekt nazywa się „Przeciwdziałanie przestępstwom dotyczącym naruszenia wolności sumienia popełnianym pod wpływem ideologii LGBT" i zwyciężył w konkursie organizowanym przez Fundusz Sprawiedliwości. Odbiorcą środków jest Fundacja Strażnik Pamięci, której szefem jest Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy", a projekt zakłada publikację 20 dodatków do pisma przez cztery lata.

Z tego funduszu politycy czerpią środki na budowanie pozycji w swoich okręgach wyborczych. Nie tak dawno głośna była sprawa Michała Wosia, ministra, posła z Raciborza. Otóż fundusz sfinansował raciborskiej państwowej szkole zawodowej remont sali gimnastycznej. Dał 1,1 mln zł. Jak to uzasadniono? „Jeśli młodzi z Raciborza będą aktywni fizycznie, spadnie ryzyko popełniania przez nich przestępstw". Sam Woś, niespełna 30-latek, buduje w podległym mu Ministerstwie Środowiska kolejny partyjny przyczółek. Podlegają mu Lasy Państwowe, które mają rocznie 10 mld zł przychodu. I mogą sponsorować dosłownie wszystko – imprezy, uroczystości, działania gmin. Woś to wie, wymienia tam dyrektorów (z pisowskiego nadania) na swoich.

> Dziś Ziobro ma wizję Polski związanej z Kościołem, budowanej na kształt Hiszpanii gen. Franco lub Portugalii Salazara.

Ziobrowcy są też obecni w spółkach skarbu państwa. Tam ich interesów pilnuje Janusz Kowalski, wiceminister w Ministerstwie Aktywów Państwowych kierowanym przez Jacka Sasina. Niedawno ich niektóre aktywa wyliczyła „Polityka". Wymieniając Pawła Śliwę w zarządzie PGE, Marcina Szczudłę, męża posłanki SP, w zarządzie PGNiG Obrót Detaliczny, Bartłomieja Litwińczuka w zarządzie PZU Życie, Macieja Zaborowskiego w radzie nadzorczej PZU oraz żonę Ziobry, Patrycję Kotecką, w zarządzie Link4. Ale, dodajmy, są to już

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 1059d9d2a5

resztki po wcześniejszym imperium. Bo w grze o spółki skarbu państwa skuteczniejszy od Ziobry jest Mateusz Morawiecki. Który w ostatnich miesiącach odebrał mu kontrolę nad PZU, Pekao i PGNiG, zastępując prezesów z nadania Ziobry swoimi ludźmi.

Proces ograniczania wpływów Ziobry już więc trwa. Tylko że dzieje się to w sposób mało widoczny dla zwykłego śmiertelnika.

Czy to już koniec?

Jak szarża Ziobry się skończy? Ma on w rękach realne atuty, trudno zatem się spodziewać, że Kaczyński odstrzeli go jak Jacka Czaputowicza, pewien, że nikt po nim nie zapłacze.

O! Tu jest inaczej. Popularność Ziobry na prawicy, wśród polityków, działaczy i wyborców jest autentyczna. Ci ludzie nie zrozumieliby, dlaczego tak dobry towarzysz jest usuwany na bok. Ma wpływy w prokuraturze i w sądach – i to jest potężny potencjał. Poza tym ta aura „męczeństwa" byłaby też dla Ziobry politycznym potencjałem – gdy Morawieckiemu powinie się noga, a PiS zacznie w sondażach dołować, on byłby naturalnym zbawcą, jego powrotu by się domagano. I Kaczyński, i Brudziński, i Morawiecki, jeśli chcą Ziobrę wyeliminować, muszą go wpierw w oczach swoich wyborców odmitologizować.

Ziobro oczywiście to wie, ucieka zatem do przodu, wywołuje kolejne konflikty, kreuje zagrożenie, wojnę cywilizacji itd. Stan wojny jest dla niego jak powłoka z teflonu – bo w czasie wojny generałów się nie wymienia, tylko ich podziwia. Dlatego będzie raczej podgryzany. Ma 19 posłów – pewnie część dostanie propozycję powrotu do PiS. Być może podobne propozycje zaczną otrzymywać jego współpracownicy. By za chwilę okazało się, że są w PiS twardsi od Ziobry obrońcy Kościoła i chrześcijaństwa, a on jest sam jak palec, więc od jego gróźb nic już nie zależy.

Dlatego rekonstrukcja rządu buksuje, w sprawie Ziobry liderzy PiS milczą, milczy prawicowa prasa, z której niczego o wojnie w Zjednoczonej Prawicy się nie dowiemy; dlatego mamy podchody, które szybko się nie skończą. Bo Ziobro nie jest już leszczem. Choć do delfina też sporo mu brakuje.

Robert Walenciak

Domowe biuro przez całą dobę

Praca zdalna w domu już nie kojarzy się tylko z przywilejem

Anna Brzeska

– Praca zdalna jest super. Można tyrać w robocie, której się szczerze nie znosi, nie wychodząc w ogóle z domu! – mówi Maciej, doświadczony copywriter pracujący zdalnie od lat. To oczywiście żart, bo Maciej kocha swój fach. Ale osoby, które na skutek pandemii wylądowały ze służbowymi laptopami w domach, doświadczają wielu trudności. I wcale nie jest im do śmiechu.

Jak to możliwe, że narzekamy? Dawniej praca w domu kojarzyła się z przywilejem dla nielicznych – z domostwem na Roztoczu czy Podhalu, w którym znany pisarz lub malarz siedział na tarasie z kubkiem kawy w dłoni, „pracując koncepcyjnie" nad nowym dziełem. W tym czasie zwykli śmiertelnicy tłoczyli się w autobusach i pociągach – w najlepszym razie tkwili w samochodowych korkach – w codziennej męce śpieszenia się do zakładów pracy.

„Rynek pracy zdalnej a oczekiwania pracowników" przeprowadzonego przez firmę Kantar TNS i start-up Remote-how (przygotowujący personel i firmy do pracy zdalnej) w 2018 r. w Polsce umożliwiała ją pracownikom tylko jedna trzecia firm. Na dodatek pracowali oni w ten sposób średnio osiem i pół dnia w miesiącu. Zadowolonych z takiego sposobu wykonywania obowiązków było aż 90%.

Kapcie i szlafrok to niekoniecznie raj

COVID-19 odwrócił ten porządek. Według ankiety przeprowadzonej wiosną przez Konfederację Lewiatan praca zdalna została wdrożona w 88% przebadanych firm – z kolei z badań firmy rekrutacyjnej Devire wynika, że na taką formę zdecydowało się 67% przedsiębiorstw, które dotychczas jej nie stosowały. Masowość pracy zdalnej, a nierzadko także przymusowość i przede wszystkim konieczność wykonywania jej

W pracy stacjonarnej wszystko jest proste – idziemy do biura i zastajemy rzeczy, których potrzebujemy, by pracować.

Gdy jednak na dobre rozkręcił się internet, luksus łagodzenia codziennej orki niewyskakiwaniem z ulubionych kapci i piżamy zaczął też obejmować niektórych specjalistów – z branży informatycznej, dziennikarzy, samodzielnych księgowych, architektów i innych, których pracę dało się rozliczać zadaniowo. W miarę rozwoju technologii telekomunikacyjnych możliwość pracy w domu, choćby okazyjnej, stopniowo uzyskiwało coraz więcej pracowników korporacji różnych branż. Wciąż jednak kojarzyła się raczej z nagrodą dla wybranych niż ze standardem. Według badania w obecności dzieci spowodowały, że coraz częściej mówi się o niej w kontekście problemu.

Tak o przejściu na tryb zdalny i początkach pandemii opowiada Joanna pracująca w jednym z brytyjskich urzędów: – Lubiłam pracować zdalnie przed lockdownem. Samotna praca z domu raz lub dwa razy w tygodniu, kiedy dzieci były w placówkach, była miła i relaksująca. Krótkie przerwy wypełniałam domowymi powinnościami. Niestety, zdalna praca samotnej matki z dwójką dzieci stała się drogą przez mękę i przyczyną kilku załamań nerwowych. Nie umiałam

eprasa.pl 1059d9d2a5

przyzwoicie wywiązać się z żadnej powinności. Dzieci, przyznaję, były zaniedbane, nabrały wielu kiepskich nawyków. Do tego doszły mała ilość i niska jakość wykonanej płatnej pracy oraz zapuszczony dom. Byłam zmęczona i zestresowana do granic możliwości. Jeszcze bardziej przytłoczyła mnie samotność. I niestety moim wieczornym nawykiem i łatwą ucieczką od rzeczywistości stało się kilka lampek wina. Na szczęście w porę zauważyłam problem.

Weronika, mieszkanka polskiej wsi, koordynatorka projektów w wydawnictwie naukowym: – Pracuję zdalnie, bo pandemia. Biuro zamknięte na trzy spusty. W mojej okolicy internet dostarcza tylko jeden dostawca, połączenie nie jest stabilne. Zasięg sieci komórkowych ginie. Nie mogę rozmawiać przez telefon, mieszając zupę – jak chwali się wielu zwolenników pracy zdalnej – bo w kuchni nie mam zasięgu. Praca zdalna to też dla mnie dodatkowe koszty, których pracodawca nie pokrywa. Znacznie wzrosły rachunki za prąd, a kiedy jakiś współpracownik upiera się, żeby mu wysłać umowę pocztą tradycyjną, jadę na pocztę 18 km. Wszelkie problemy sprzętowe, technologiczne muszę rozwiązywać samodzielnie. Nie mam narzędzi do pracy, bo pracodawca ich nie zapewnił. Korzystam z prywatnego komputera, telefonu, internetu, abonamentu itd. Warunki lokalowe mam średnie, z tego powodu sama bym się na pracę zdalną nie zdecydowała.

Weronika również porusza kwestię obciążeń psychicznych związanych z pracą zdalną: – Mam poczucie, że 24 godziny na dobę jestem w pracy i przypłacę to depresją. Stosunki między pracownikami i zespołami pogorszyły się, ludzie się nie widują, a czasem w ogóle się nie znają, przestają grać do jednej bramki. Komunikacja jest słabsza, mamy utrudniony dostęp do wiedzy. W biurze, gdy się siedzi z kimś w jednym pokoju, można usłyszeć, jak ten ktoś rozmawia przez telefon. Mimochodem przyswajamy wtedy jakieś informacje, nabywamy kompetencje – bardzo mi tego brakuje.

Na powrót do biura nie ma na razie nadziei. – Oszczędności powodują, że firma nastawia się na pracę zdalną bez względu na sytuację epidemiologiczną – wyjaśnia Weronika.

Ania z kolei ma problemy z koncentracją: – Swój „kącik biurowy" mam w kuchniosalonie. Gdy nad czymś pracuję i oko mi ucieknie w prawo, myślę: no tak, muszę umyć gary. Jak wstaję do toalety, przechodzę przez miejsce, w którym kładę matę do ćwiczeń, więc przychodzi myśl: poćwiczę teraz, bo potem może nie być czasu. Gdy patrzę w okno, zjawia się pomysł, by pójść na rower lub pobiegać. Krótko mówiąc, milion pokus i rozmemłany dzień.

Frustrację Ani pogłębia niezrozumienie ze strony jej bliskich, którzy – jak stwierdza – z określenia „siedzę w domu i pracuję" zapamiętują tylko „siedzę w domu". – Dzwonią niezależnie od dnia i godziny, ich paczki też zwykle odbieram ja, bo przecież „siedzę w domu". Problemy pogłębia poczucie, że pracuję na okrągło. Co gorsza, średnio u mnie z regularnością.

Psycholog i psychoterapeuta Krystian Rubacha, koordynator inicjatywy „Psychologowie dla społeczeństwa", w ramach której podczas pandemii można bezpłatnie kontaktować się ze specjalistami telefonicznie lub online, tłumaczy: – W moich rozmowach z osobami, które na skutek pandemii zaczęły pracować zdalnie, pojawiają się najczęściej dwie trudności. Pierwsza to poczucie stałego bycia w pracy, a przez to przeciążenia nią. Bo z jednej strony taki tryb pozwala nam ugotować obiad w trakcie firmowego spotkania, ale z drugiej włączony komputer dostarcza nam informacji z pracy także po południu czy późnym wieczorem. Odwrotnością tego problemu jest kłopot ze zmobilizowaniem się, czyli skłonność do rozwlekania zadań, odkładanie ich, przerywanie. W pracy stacjonarnej wszystko jest proste – idziemy do biura i zastajemy tam te rzeczy, których potrzebujemy, by pracować – i nic więcej. Już sama przestrzeń organizuje nam funkcjonowanie.

Nie mogę rozmawiać przez telefon, mieszając zupę, bo w kuchni nie mam zasięgu.

Psycholog wskazuje poza tym problem z organizacją komunikacji na platformach do wideokonferencji: – Wiele osób zauważa, że praca online zajmuje im więcej czasu niż spotkania „na żywo". Tak jest z pracą dydaktyczną – to co wcześniej było naturalne, w pracy zdalnej wymaga przygotowania się.

Nie brakuje szefa, ale kolegów tak

Wyzwania związane z pracą zdalną już w początkach pandemii

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 1059d9d2a5

(w kwietniu 2020 r.) zbadała dr Anna Dolot z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Okazało się, że ponad 40% badanych (grupa respondentów liczyła 327 osób pracujących zdalnie) chciałoby pracować zdalnie w wymiarze jednego lub dwóch dni w tygodniu również po ustaniu pandemii. Osób, które chciałyby pracować zdalnie przez trzy-cztery dni w tygodniu, było jednak tylko 12,5%. A nieco ponad 5% mogłoby pracować zdalnie przez cały tydzień roboczy. Podobny był odsetek osób, które w ogóle nie chcą pracować zdalnie – 5,5%.

Najczęściej wskazywanymi korzyściami z pracy zdalnej w trakcie pandemii były: oszczędność czasu (np. na dojazdach), dostosowanie pracy do osobistych potrzeb, godzenie obowiązków zawodowych i osobistych oraz dostosowanie pracy do potrzeb najbliższych. Jako minusy wskazywano najczęściej (i to zdecydowanie!) brak bezpośredniego kontaktu ze współpracownikami i zacieranie się granicy praca-życie osobiste. Na trzecim miejscu znalazło się poczucie bycia cały czas w pracy, na czwartym trudność w skupieniu się, związana z obecnością innych domowników. Brak kontroli ze strony przełożonego wskazała jako trudność najmniejsza część badanych.

Jakie mogą być długofalowe skutki społeczne pracy zdalnej? Krystian Rubacha: – Wiele zależy od tego, w jaki sposób jest ta praca zorganizowana, czy jesteśmy zachęcani, by nawiązywać kontakty z innymi pracownikami, choćby przez połączenia wideo, i wspierać się wzajemnie. To jednak złożony temat i odpowiedź na to pytanie z pewnością wymaga świeżych badań. Poziom emocji wywoływanych przez pandemię zmienia się w miarę jej trwania i stan naszej psychiki zależy także od tego, z jakiego rodzaju restrykcjami musimy się mierzyć poza pracą. Wiosną, gdy zostaliśmy uziemieni w domach, okazało się, jak ważna dla równowagi psychicznej była nie tylko możliwość kontaktu z żywymi ludźmi w pracy, ale też w ogóle wychodzenia z domu czy uprawiania sportów. I nawet jeśli ktoś nie doświadczył trudności materialnych albo lęku związanego ze zdrowiem własnym lub bliskich, mógł odczuwać frustrację wynikającą z lockdownu. Kilkakrotnie rozmawiałem z singlami, którzy nagle poczuli, jak bardzo są samotni, kiedy nie mają kontaktu z przyjaciółmi. Teraz restrykcje są o wiele mniejsze, co więcej – przyzwyczailiśmy się już do pewnego poziomu zagrożenia związanego z pandemią i ono po prostu przestało na nas robić wrażenie. Dlatego, badając wpływ pracy zdalnej na psychikę, należałoby zrobić to w obecnej rzeczywistości, gdy większość dzieci jest w szkołach i przedszkolach, a obostrzenia związane z pandemią nie są już tak dotkliwe.

Wiele osób zauważa, że praca online zajmuje im więcej czasu niż spotkania na żywo.

Jak unaoczniły wyniki badania dr Anny Dolot, praca zdalna to nie tylko problemy. Większość osób zapytanych przeze mnie w internetowych grupach o blaski i cienie pracy zdalnej wskazuje też korzyści. Do tych, które wymienia badaczka, można dorzucić poczucie niezależności, możliwość przygotowania i zjedzenia w domu codziennie świeżego posiłku. Dla niektórych istotne są oszczędności poczynione na garderobie czy kosmetykach do makijażu.

Ważną kwestię porusza Beata, mama autystycznego dziecka: – Dla mnie największym plusem jest możliwość terapii domowej i sprawowania opieki nad synem, który z powodu dziurawej administracji postępowania w orzecznictwie nie ma zabezpieczenia w postaci zasiłku pielęgnacyjnego. Dla mnie praca zdalna to jedyna szansa na „normalne" funkcjonowanie mojej małej rodziny.

Inne mamy (choć zdarzają się i ojcowie; nierówność płci występująca również w łączeniu pracy zdalnej z opieką nad dziećmi, potwierdzona badaniami socjologów, to odrębny temat) wskazują, że praca w domu daje im szansę spędzać więcej czasu z dziećmi, nawet jeśli wspólna zabawa czy rozmowa to tylko krótkie momenty podczas przerw w pracy.

Jak sobie radzić?

Osobom takim jak Weronika, borykającym się z brakami sprzętowymi, rady psychologów czy trenerów raczej nie pomogą – nie zmuszą bowiem opornych pracodawców do większej dbałości o pracowników. Tu pozostaje najwyżej lektura Ustawy z dnia 19 czerwca 2020 r. o dopłatach do oprocentowania kredytów bankowych udzielanych przedsiębiorcom dotkniętym skutkami COVID-19 oraz o uproszczonym postępowaniu o zatwierdzenie układu w związku z wystąpieniem COVID-19. Wynika z niej, że narzędzia i materiały potrzebne do wykonywania pracy zdalnej musi zapewnić pracodawca – przynajmniej jeśli chodzi o osoby zatrudnione.

Trenerskie wskazówki nie poszerzą też małych kawalerek ani nie rozwiążą kwestii konieczności sprawowania opieki nad dziećmi. Warto jednak szukać sposobów radzenia sobie z tymi trudnościami, na które mamy wpływ. Iwo Szapar, ekspert od pracy zdalnej z firmy Remote-how, podkreśla, że praca zdalna to temat rzeka, ale wymienia „złote zasady": – Jeśli chodzi o problem oddzielenia czasu prywatnego od pracy, po pierwsze, dobrze jest podzielić nasz dzień w kalendarzu na bloki. Jeśli więc zwykle pracujemy od godz. 9 do 17, możemy wpisać w kalendarzu, że między 9 a 10.30 odpisujemy na mejle, później robimy kolejną rzecz itd. Do kalendarza powinniśmy wpisać także zaplanowane przerwy

Nagle zmarł

Jan Leszczyński

Długoletni pracownik „Sztandaru Młodych" i „Przeglądu"
Pan Janeczek, jak o nim mówiliśmy, formalnie był kierowcą,
a faktycznie Przyjacielem i dobrą duszą.
Zawsze pomocny i życzliwy, wspierał nas w trudnych sytuacjach.
A jego mądrość życiowa pomagała widzieć problemy
w realnym świetle.

Żonie Ani, synowi i córkom z rodzinami
Serdecznie współczujemy

Jerzy Domański z bardzo licznym gronem przyjaciół
z „Przeglądu" i „Sztandaru Młodych"

eprasa.pl 1059d9d2a5

w pracy, by były one widoczne dla szefa i współpracowników. Wtedy nikt nie powinien do nas dzwonić czy pisać na komunikatorze.

Problem z „wyjściem z pracy zdalnej" najczęściej jednak pojawia się o godz. 17. Jeśli korzystamy z różnych komunikatorów do kontaktu ze współpracownikami albo mamy wciąż otwartą skrzynkę mejlową – i wiadomości wciąż do nas płyną – kusi nas, by pozostać dostępnymi. Dlatego tak ważne jest, by stosować się do kalendarza i o godz. 17 wyłączać powiadomienia o przychodzących wiadomościach. Każda organizacja powinna mieć tę zasadę wpisaną w swoją politykę pracy zdalnej: o tej i o tej godzinie nie ma już obowiązku odpisywania na mejle. Drugi ważny element – gdy dzień się zaczyna, przesyłamy przełożonemu plan dnia z krótką informacją, nad czym będziemy pracować. Na koniec dnia raportujemy, co udało nam się zrobić. Warto wpisać tu również rzeczy, które zdarzyły się w ciągu dnia niespodziewanie, nie były zaplanowane. Raportując, nie tylko informujemy szefa, co robiliśmy, ale też jasno komunikujemy, że już pracę zakończyliśmy.

Jeśli chodzi o problem izolacji, ekspert z Remote-how zaznacza, że inicjatywa w dużej mierze zależy tu od pracodawcy – czy organizuje np. wirtualne spotkania przy kawie, lunche, na których rozmawia się choćby o prywatnych zainteresowaniach pracowników. Jednak sami pracownicy również powinni dbać o tworzenie wewnętrznej społeczności. – I tu kolejna ważna kwestia – nie można zakładać, że praca zdalna i wirtualne spotkania mają w stu procentach zastąpić te realne – podkreśla Iwo Szapar.

Zachęca poza tym, byśmy pracując zdalnie, wychodzili z domu: – Warto choć raz na jakiś czas popracować z kawiarni czy choćby z naszej działki pod miastem. Korzystajmy z wolności danej przez pracodawcę.

Jeśli chodzi o koncentrację uwagi na zadaniach bądź przeszkadzających domowników, ekspert znów wskazuje istotność kalendarza: – Udostępnijmy go bliskim czy współlokatorom. Jeżeli jest w nim jasno napisane, że np. między godz. 12 a 13 mamy bardzo ważną rozmowę, łatwiej nauczą się nam nie przeszkadzać, niż gdy będziemy ich uciszać już w trakcie naszego spotkania. Zastosujmy też starą i sprawdzoną technikę pomodoro – to praca w 25-minutowych interwałach, z pięcioma minutami przerwy po każdym i dłuższą przerwą po określonej liczbie interwałów. Chodzi o to, byśmy podczas danego interwału skupili się wyłącznie na jednym zadaniu, odłożyli telefon, mieli otwartą jedną aplikację czy program. Inną ważną rzeczą, która mnie samemu bardzo pomogła – i może pomóc wszystkim, którzy łatwo się rozpraszają bodźcami dźwiękowymi – to dobrej jakości słuchawki wyciszające. Jeśli już mowa o sprzętach, przejście na pracę zdalną może się wiązać z pokusą, by pracować z laptopem w łóżku. Jednak pamiętajmy, że prędzej czy później spowoduje to kłopoty z kręgosłupem – potrzebujemy dobrego krzesła. Jeżeli nie mamy środków, by je kupić, powinien to zrobić pracodawca – lub udostępnić nam to, którego używaliśmy w biurze.

Te detale to jedynie wierzchołek góry lodowej i garść najprostszych porad, ale w sieci można szukać innych, dotyczących konkretnych problemów, na blogach poświęconych doradztwu zawodowemu. Jednym z nich jest blog Justyny Fabijańczyk Cyfrowi Nomadzi. Autorka skupia się głównie na radzeniu osobom chcącym pracować jako tzw. wolni strzelcy, ale znajdziemy tam np. tekst poradnikowy „10 błędów, które popełniasz w pracy zdalnej". W sieci mamy poza tym bazę wiedzy Social Tigers, zawierającą spis zebranych przez użytkowników narzędzi do pracy zdalnej. Pojawiają się też grupy na Facebooku zorientowane wokół takiej formy pracy, np. „Remote School – pracuję i zatrudniam zdalnie". Szczególnie polecam jednak grupy społecznościowe skupiające przedstawicieli danych zawodów – to najlepsze miejsce, by wymieniać się doświadczeniami z ludźmi, którzy zajmują się tym, co my. Kto wie, może choć w części zastąpią nam „utraconych" kolegów z pracy?

Jeśli borykamy się z trudniejszymi problemami i czujemy, że praca zdalna działa na nas destrukcyjnie, warto pamiętać o bazie specjalistów spod parasola inicjatywy „Psychologowie dla społeczeństwa".

Anna Brzeska

Korzyści z pracy zdalnej: oszczędność czasu na dojazdy, dostosowanie pracy do osobistych potrzeb.

O SOLIDARNOŚCI, KTÓRA NAS DROGO KOSZTOWAŁA

Ludzie pierwszej Solidarności zostali wystawieni do wiatru, do czego wstyd im się przyznać. O tym jest ta książka.

Bronisław Łagowski

53 zł

Nowa książka

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 53 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Rząd odchudza, czyli nikt nic nie wie

Tysiące ludzi może stracić pracę przez zapowiadane zwolnienia w administracji publicznej

Beata Igielska

Zwalniają? Znaczy, będą przyjmować – czy stara zasada Lejzorka Rojtszwańca zadziała i tym razem? Rząd wykoncypował, że skoro administracja działała sprawnie mimo okrojonego przez COVID-19 składu, etatów jest za dużo. Debatuje więc nad projektem stosownej ustawy. Wcześniej przyjął uchwałę, w której zobowiązał szefa KPRM „do uzgodnienia z właściwymi członkami Rady Ministrów rozwiązań związanych ze zmniejszeniem zatrudnienia w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz urzędach obsługujących członków Rady Ministrów". Dotyczy to m.in. urzędów obsługujących organy administracji rządowej w województwie, jednostek podległych i nadzorowanych przez premiera, ministra kierującego działem administracji rządowej lub wojewodę, a także ZUS, KRUS czy NFZ. W rządowym komunikacie czytamy: „Działania dotyczące zmniejszenia zatrudnienia wiążą się z negatywnymi skutkami gospodarczymi wywołanymi przez pandemię COVID-19, które wpływają na wzrost deficytu budżetu państwa". To tłumaczenie jest niemal identyczne ze sformułowaniem zawartym w kilkakrotnie nowelizowanej Ustawie z dnia 2 marca o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, innych chorób zakaźnych oraz wywołanych nimi sytuacji kryzysowych.

Przerost zatrudnienia w całej administracji rządowej jest oceniany na ok. 4%.

Nic prostszego: kiedy PKB spada, „podniesie się prestiż zawodu urzędnika państwowego", jednym dając podwyżki, drugich zwalniając.

Zaplanowana na jesień rekonstrukcja rządu ma się zbiec z odchudzaniem administracji. Niektóre źródła mówią o zwolnieniach aż 20% urzędników, czytaj: ok. 37 tys. osób pójdzie na bruk. Inne podają, że pracę straci ok. 2,5 tys. ludzi. Oberwą też służby cywilna i dyplomatyczna. Trzykrotnie w tej sprawie głos zabierał rzecznik praw obywatelskich. Na jedno z jego pism kancelaria premiera odpowiedziała okrągłymi zdaniami, z których niewiele wynika. Analiza danych Ministerstwa Finansów pokazuje, że wydatki na administrację publiczną od lat utrzymują się na stałym poziomie, a zatrudnienie w latach rządów PiS wzrosło o niespełna 2%.

Żeby obsługa obywatela była lepsza

Administracja w całej powojennej historii nie była ulubienicą zwykłych obywateli. Siedzą i piją kawkę, na papieroska chodzą, nieroby. Internauta Nazir pod artykułem o szykujących się zwolnieniach dał upust wściekłości: „Już dawno należało zwolnić 50% nierobów w urzędach, biurach, bo mieli ciepły układ za rządów sitwy PO i PiS, gdy inni Kowalscy muszą pracować w Biedronkach i być gorzej traktowani niż emigranci ze wschodu". Konrad zaś oczekuje, że starsi posłowie będą solidarni ze zwykłymi obywatelami: „Mam nadzieję, że jak będą zwalniać urzędników w wieku 65+, to jako pierwsze mandaty poselskie złożą osoby w tym wieku".

Gdy tworzono więcej ministerstw, mówiono: żeby obsługa obywatela była lepsza. Dziś, kiedy mówi się o redukcjach etatów, znów sięga się po to hasło. Czy ktoś jeszcze wierzy, że zgodnie z zapowiedziami rząd zlikwiduje przerosty zatrudnienia w ministerstwach? Który dyrektor czy jego zastępca będzie do zwolnienia? Poza tym czy do tego, żeby odchudzić ministerstwa, naprawdę potrzebna była specustawa? Przerost zatrudnienia w całej administracji rządowej jest oceniany na ok. 4%. Cięcia mają objąć m.in. osoby uprawnione do emerytury. Polski rząd jest najliczniejszy w Unii Europejskiej: gabinet Mateusza Morawieckiego tworzy 23 ministrów, kierujących 21 resortami – 113 osób. Tylko o 13 mniej niż w 2018 r., kiedy premier zapowiadał uszczuplenie obsady. Tymczasem pod względem liczby zatrudnionych jest w ścisłej czołówce rządów po 1989 r. Podobnie jak gabinet Beaty Szydło, w którym również zasiadało 23 ministrów, w tym pięciu bez teki.

Za rządów PO kilkakrotnie mówiło się o reformie administracji publicznej, nie zaczęto jednak od analizy jej obowiązków i stanęło na niczym. Nikt nie zastanawia się, że w Polsce mamy manię produkowania aktów normatywnych. W Dzienniku Ustaw rocznie widnieje 2 tys. pozycji! Gdy jest taki przerost przepisów, obywatelowi żyje się trudno. Baty za to, że niczego nie można załatwić od ręki, zbierają zaś często urzędnicy. Kto by

Administracja publiczna dzieli się na państwową i samorządową. Państwowa rządowa to: ministerstwa, urzędy centralne i terenowe (wojewódzkie), ZUS, KRUS; państwowa nierządowa to m.in.: PIP, KRRiTV. Niezależnym organem władzy państwowej jest NIK. Także RPO nie podlega rządowi. Z danych GUS wynika, że pod koniec 2019 r. w administracji publicznej pracowało 455 505 osób. W 2014 r. – ponad 444 040 osób, w 2016 r. – 447 173. Za rządów PiS do 2019 r. wzrost zatrudnienia wyniósł 8332 osoby – 1,8%. Pracowników administracji samorządowej za rządów PiS (2016) było 181 115. Do 2019 r. zatrudnienie wzrosło o 5533, tj. o 3% – do 186 648 osób.

eprasa.pl 1059d9d2a5

ZUS przytłacza ilość zadań nałożonych przez rząd: dodatek solidarnościowy, bon turystyczny. Ktoś to musi obsłużyć.

dodatkowo panował nad zakresem ich obowiązków? Warto zauważyć, że to wszystko dzieje się w kraju, w którym w szkole podstawowej nie ma ani jednej godziny prawa. Pewnie więc skończy się jak zwykle – zostaną zwolnieni urzędnicy niższego szczebla i sprzątaczki. Pójdą za tym dramaty rodzin.

Związkowcy chcą wiedzieć

Dlaczego Solidarność milczy, skoro przed wyborami prezydenckimi drukowała ulotki: „Poprzyjmy tego kandydata, który nam gwarantuje obronę naszych praw pracowniczych", skoro dobrze oceniła tarczę 4.0? Internauta Union tłumaczy: „Związki zawodowe w służbie cywilnej to nie więcej niż 10% pracowników (a może i dużo mniej). Jak się należy do związku, trzeba by mieć kolosalnego pecha, żeby zostać zwolnionym. Dlaczego więc związki mają się bić o tych, którzy nie płacą składek, a tylko wysuwają żądania?".

Beata Wójcik, przewodnicząca Związku Zawodowego Pracowników ZUS: – Dziwi mnie zachowanie Solidarności. U nas ludzie są zaniepokojeni i rozgoryczeni. Na przełomie maja i czerwca pracowali nawet w weekendy. I teraz za to poświęcenie, za to, że jako jedyna chyba instytucja nie baliśmy się spotykać z ludźmi mimo pandemii – skarbówka się zamknęła – ludzie mogą zostać zwolnieni. ZUS przytłacza ilość zadań nałożonych przez rząd: dodatek solidarnościowy, bon turystyczny. Ktoś to musi obsłużyć. Mimo pracy w nadgodzinach mamy zaległości np. w wypłatach zasiłków chorobowych. Ludzie czekają na nie miesiącami. W zapowiadanych zwolnieniach chodzi tylko o kasę, rząd chce zaoszczędzić na likwidacji stanowisk. W maju, przed podwyżkami wynoszącymi 350 zł brutto na etat, przeciętne wynagrodzenie u nas, bez kadry kierowniczej, wynosiło 4344 zł brutto, z kadrą – 4550 zł brutto. Nie mamy dodatku stażowego.

Ludzie widzą, że nawet świetny, merytoryczny pracownik jest zwalniany.

Beatę Wójcik denerwuje argument rządu, że w pandemii 50% załogi było na zwolnieniach. Przecież 80% pracujących w ZUS to kobiety. Na nich spoczywa obowiązek zajęcia się dziećmi. Gdzie tu polityka prorodzinna? Do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów 28 sierpnia wysłała pismo z pytaniami o konkrety. 7 września otrzymała nic niewnoszącą odpowiedź sygnowaną przez ministra Michała Dworczyka, że zwalnianie jest przedmiotem analiz i konsultacji rządowych, a ostateczne decyzje nie zostały podjęte. 3 września w ZUS zorganizowała telekonferencję z udziałem Mariusza Jedynaka, członka zarządu, z przedstawicielami organizacji związkowych. Usłyszeli, że nie ma on polecenia i nie prowadzi działań związanych z redukcją zatrudnienia, to jedynie plotki. Nie będzie też obniżek pensji, bo przyszłoroczny budżet dla ZUS jest przewidziany w dotychczasowej wysokości. W Zakładzie jednak będą robione przeglądy zatrudnienia.

Dowiedzieć się czegoś chce Leszek Miętek, członek prezydium OPZZ, przewodniczący zespołu polityki gospodarczej i rynku pracy. Dlatego zwołał ów zespół na czwartek, 10 września. Zaprosił premiera albo kogoś z jego kancelarii odpowiedzialnego za reformę. – Na razie nie wiemy nic wiążącego. Jaki będzie kierunek zwolnień? Czy chodzi o stanowiska polityczne, czy urzędnicze? Jak to wpłynie na jakość usług świadczonych przez administrację publiczną? – mnoży pytania Miętek.

Cięcia mają objąć m.in. osoby uprawnione do emerytury.

Na spotkaniu zespołu pojawili się ministrowie Marlena Mąlag i Michał Dworczyk. Mówili, że wszystko jest na etapie opracowania, nie ma żadnych decyzji. Reforma na pewno będzie konsultowana ze związkami. Czyli nadal nic nie wiemy.

Gdzie są analizy?

Tomasza Kaczyńskiego, przewodniczącego związków zawodowych NIK, martwi brak jednoznacznych danych na temat efektów przewidywanych zmian. Co prawda, tarcza antykryzysowa po poprawkach nie dotyczy jego instytucji, bo ktoś w porę się zorientował, że byłoby to pogwałceniem konstytucyjnej niezależności NIK, nie zmienia to jednak faktu, że nowy prezes wprowadza nowe porządki, czytaj też – swoich ludzi. Pracownicy w wieku emerytalnym odchodzą. Czy z własnej woli? Albo prezes stwierdza, że w NIK jest za dużo administracji i obsługi.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl 1059d9d2a5

Sprawozdania NIK z wykonania poszczególnych części budżetu pokazują, że na 16 ministerstw istniejących w 2015 i w 2019 r. zatrudnienie w latach 2015-2019 zwiększyło się o 14%. Przeszło trzykrotny wzrost zatrudnienia widać w Ministerstwie Cyfryzacji. W Ministerstwie Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej w 2015 r. pracowało 70 osób, a w 2019 – 179.

W 2015 r. na administrację publiczną przeznaczono 4,5% budżetu, w 2019 r. – 4,4%. W 2019 r. na administrację publiczną z budżetu państwa wydano 15,4 mld zł plus 2,9 mld zł na urzędy naczelnych organów władzy państwowej, kontroli i sądownictwa, w sumie 18,3 mld zł, co stanowiło 4,4% wszystkich wydatków budżetowych. Projekt nowelizacji budżetu na 2020 r. przewiduje 18,8 mld zł (16 mld na administrację publiczną; 2,7 mld na urzędy centralne).

– Podstawowe pytanie: czy za zapowiedziami rządu stoją jakiekolwiek analizy, czy chodzi o cel finansowy i stwierdzenie: oto zwolniliśmy np. 20 tys. ludzi. Już nie będą pić kawy. Tylko że ci ludzie są często kompetentni, mają przygotowanie prawne, godzą się pracować za niewielkie pieniądze. Za jakiś czas zacznie się przyjmować, trochę „naszych", których trzeba przyjąć, trochę tych, którzy akurat są pod ręką, i uczyć ich od początku. Urzędy pracy zapełnią się zaś kompetentnymi ludźmi. Częsty wniosek pokontrolny NIK: niedoinwestowane wydziały, zbyt małe zatrudnienie. Kto by się przejmował dobrą obsługą obywatela? Poza tym dziś kompetencja nie jest miernikiem utrzymania pracy. Ludzie widzą, że nawet świetny, merytoryczny pracownik jest zwalniany – mówi Kaczyński.

OPZZ od początku nie akceptuje przepisów wynikających z tarcz antykryzysowych. W opublikowanym stanowisku czytamy: „Obawy OPZZ dot. zagrożeń dla pracowników wynikających z antypracowniczych rozwiązań kolejnych wersji tarcz antykryzysowych (…). Zwolnienia mogą dotyczyć także m.in. pracowników zatrudnionych w państwowych funduszach celowych, ZUS, KRUS i NFZ. (…). Uważamy, że największym wyzwaniem dla państwa w czasie pandemii jest zahamowanie odpływu wysoko wykwalifikowanych pracowników z sektora publicznego oraz zapewnienie należytego poziomu realizacji zadań administracji publicznej. Warto przypomnieć, że 12. postulat sierpniowego przełomu 1980 r. mówił »Wprowadzić zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej«".

Internautka Franciszka myśli podobnie: „Ja bym to może rozumiała, gdyby był audyt, gdzie ludzie są potrzebni, a gdzie jest ich za dużo. Ale nikt nic nie sprawdza. To będzie zwykła czystka osób niewygodnych".

Na razie nie wiemy nic wiążącego. Jaki będzie kierunek zwolnień? Chodzi o stanowiska polityczne czy urzędnicze?

Ciemna karta, jak w pokerze

– Boję się, że samorządy wykorzystają sprzyjający czas, by ciąć nam pensje lub zwalniać. Od miesięcy nie ma nowych naborów, wakaty po emerytach nie są obsadzane. Umowy czasowe nie są przedłużane, ich zasadność ma być poddawana „gruntownej analizie". Dodatki motywacyjne zostaną obcięte lub zlikwidowane. I mówimy o stolicy, a co dopiero będzie się działo w małych gminach? – zastanawia się anonimowy urzędnik ze stołecznego ratusza.

Marek Wójcik ze Związku Miast Polskich uważa jednak, że samorządy nie muszą się bać zwolnień. Prawie we wszystkich gminach wiszą ogłoszenia o pracę. Ludzie się nie garną, bo płace słabe, w tle wizja cięć. U innych pracodawców można w ciągu tygodnia zarobić dwa, trzy razy więcej niż w administracji w ciągu miesiąca. Ba, nawet przy kasie w hipermarkecie można zarobić więcej. Biorąc pod uwagę wszystkich, łącznie z kierownictwem, w gminach średnio mówimy o kwotach 4,5-5 tys. zł brutto, w urzędach marszałkowskich 8 tys. brutto. Solidnie wykształcony prawnik, inżynier budownictwa, architekt wypina się na takie płace. Tymczasem przedsiębiorcy chcieliby być obsługiwani przez fachowców.

– Nie chcielibyśmy podzielić losu niedoszacowanych służb, inspekcji i straży, np. sanepidu, inspekcji budowlanej, straży leśnej, rybackiej. Niskie wynagrodzenia zniechęcają do pracy w tych instytucjach, więc połowa etatów czeka na zapełnienie. Jeśli oczekujemy wysokiej jakości obsługi od administracji, ludzie muszą godziwie zarabiać – podkreśla Wójcik.

W Polsce obowiązują dwie zasady zwolnień. Pierwsza: jak nie ma na kogo zwalić winy za bałagan i niekompetencję, tnie się urzędników; druga to zasada Lejzorka z jej uściśleniem: usunąć trzeba tylu, bo tylu mamy naszych. Oczywiście odchudzenie administracji pewnie jest potrzebne. Ale nie robione pod publiczkę, bez analiz, wyznaczenia celów. Tymczasem cięcia administracji publicznej to nie jest prosta operacja. Ustawa musi być zgodna z porządkiem prawnym, z konstytucją. Zresztą wciąż jej nie ma, mimo zapowiedzi. Kogo zamierza zwalniać rząd? Sprzątaczki, sekretarki? Gdzie indziej powinien szukać środków na zasypanie dziury budżetowej. Widać, że władze nie mają planu. Trudno sobie wyobrazić, by nagle urzędników z kancelarii premiera przeniesiono do sanepidu cierpiącego na braki kadrowe. Dziś więc hasło „zwalniamy w administracji" ma charakter raczej polityczny.

Beata Igielska

Zmarł

Leszek Lachowiecki

Ideowy człowiek lewicy
Współtwórca i redaktor naczelny „Forum Klubowego"
Współtwórca Klubu Dyskusyjnego „Starówka"
Prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Warszawa w Europie".
Autor 30 antologii poetyckich, podręczników retoryki i beletrystyki,
twórca kilkudziesięciu plakatów i okładek książkowych
Przyjaciel i autor naszego tygodnika

Bliskim i Przyjaciołom Leszka serdecznie współczujemy

Jerzy Domański i Paweł Dybicz

eprasa.pl 1059d9d2a5

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Polaków „bez praw” portret własny

Kiedy swego czasu prowadziłem radiowe programy o książkach i czytaniu, kilkakrotnie spotkało mnie coś, co uznawałem wówczas za dziwne i zaskakujące. Otóż po zakończonej rozmowie, nagraniu, programie rozmówczyni, rozmówca – autor, autorka częściej niż redaktor, wydawca – wylewnie mi dziękowali. Dziękowali bynajmniej nie za to, jak prowadziłem naszą rozmowę, co dostrzegłem czy doceniłem, jak przeczytałem ich książkę. Ich wdzięczność i nieskrywana, choć wymieszana z zaskoczeniem radość dotyczyła tego, że w ogóle ją przeczytałem przed rozmową. Okazało się, że to doświadczenie rzadkie, że najczęściej, gdy peregrynowali po mediach przy okazji czegoś, co nazywa się procesem promocyjnym (a jest rodzajem sprawnego mechanizmu marketingowego), przeprowadzały z nimi rozmowę osoby, które nierzadko dopiero co wzięły książkę do ręki i ich wiedza na jej temat kończyła się na tym, co przynoszą notki, blurby, polecenia na okładkach. Na tym tle sam fakt przeczytania przeze mnie całej książki był dla autorów/autorek wydarzeniem. Nie piszę tego, żeby przedefilować tu jako ktoś lepszy i niezwykły, piszę to, ponieważ zamierzam właśnie sprzeniewierzyć się tamtym regułom i opowiedzieć o książce, której jeszcze nie przeczytałem, choć nie jest to również precyzyjne określenie. Obcowałem z nią w pewien sposób od dawna, chociaż jeszcze jej nie było. Ale już jest. A ponieważ jest obszerna – nie chcę czekać na własną całościową lekturę. Muszę o niej powiedzieć już teraz.

Ta publikacja jest dostępna w sieci. Ta publikacja jest zapisem działań urzędu. Nosi także tytuł „Z urzędu”. Dokumentuje wszechstronnie i przekrojowo działania rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara, ale nie jest dokumentem w rozumieniu urzędowym, instytucjonalnym, bo takie zadania spełniają coroczne sprawozdania rzecznika. Pięcioletnia kadencja Adama Bodnara dobiegła końca 8 września, ale ponieważ dzięki obstrukcji PiS nie wybrano nowego (na jego powołanie musi się zgodzić Senat), Bodnar będzie pełnił tę funkcję jeszcze jakiś czas.

„Z urzędu” jest więc czymś więcej niż próbą zapisu i podsumowania prac Biura RPO przez ostanie lata. Jest porwaniem się na coś znacznie poważniejszego, na pokazanie, jak prawa zapisane w konstytucji i sama konstytucja przekładają się na konkretne życie ludzi, polskich obywatelek i obywateli. A raczej, co wstrząsające i zasmucające – jak się nie przekładają. Czytanie pracy i liczonych w dziesiątkach, setkach tysięcy interwencji RPO przez pryzmat konkretnych artykułów konstytucji poraża. I choć dostajemy niemal kalendarzową, precyzyjną notację naruszeń prawa przez najważniejsze instytucje i osoby w państwie (prezydent Duda, premierzy), to zasięg „nieobowiązywania”, bojkotowania, obchodzenia konstytucji jest szerszy i trwa dłużej niż władza PiS. Książka została napisana przez trzy autorki: Barbarę Imiołczyk, Agnieszkę Jędrzejczyk i Anetę Kosz, pracowniczki Biura RPO, a jej pełny tytuł brzmi: „Z urzędu. Nieurzędowy raport ze skarg, rozmów, spotkań z Rzecznikiem Praw Obywatelskich VII Kadencji 2015-2020 Adamem Bodnarem”. Ten przeszło 600-stronicowy dokument o niemal reporterskim wymiarze buduje Polaków praw portret własny. Choć może lepiej i precyzyjniej byłoby powiedzieć: „Polaków bez praw”. Autorki piszą: „To sprawozdanie dla obywatelek i obywateli oraz dla organizacji pozarządowych, które wysunęły w 2015 r. kandydaturę Adama Bodnara na funkcję Rzecznika Praw Obywatelskich. Postanowiłyśmy pokazać, jak dziś wyglądają prawa i wolności obywateli w Polsce – ze szczególnej perspektywy ponad ćwierć miliona wniosków, jakie trafiły do Biura Rzecznika Praw Obywatelskich w ciągu pięciu lat, 150 tys. rozmów telefonicznych prowadzonych przez prawników Biura, jak również setek spotkań RPO Adama Bodnara, które odbyły się w całym kraju, lekcji z uczniami w całej Polsce, rozmów z uczestnikami konferencji naukowych, seminariów, warsztatów, webinarów i innych spotkań – organizowanych w różnych miejscach, w tym na letnich festiwalach, gdzie spotykają się ludzie z różnych stron kraju”.

„Zobaczyłyśmy, jak dwa światy – litery prawa i codzienności – żyją osobno, choć tworzą całość. Jak powszechna skłonność do rozmowy wyłącznie z tymi, którzy nas rozumieją, nie tylko odcina od innych, którzy mają odmienne doświadczenia i odmienną perspektywę, ale też sprawia, że dla wielu ludzi świat debaty publicznej pozostaje bez związku z ich życiem. Zobaczyłyśmy też jednak, jak wiele dobrego udaje się zrobić, kiedy ludzie łączą siły. Jak działania, czasem zrodzone z potrzeby prywatnej, zaczynają obejmować swoim zasięgiem coraz szersze grono, jak tworzy się wspólnota, która już wie, jak walczyć o ważną dla siebie sprawę, jak połączyć wiedzę i praktykę”.

Ta książka mogłaby być punktem wyjścia do najpoważniejszej rozmowy politycznej po 1989 r. Tego jej życzę. I dlatego oddalam się do jej uważnej lektury w całości. Bo jest ona o całości naszego życia – politycznego, społecznego, o naszych wolnościach i konieczności równości, bez której ta Polska nigdy się nie uda. Dziękuję Autorkom, dziękuję Adamowi Bodnarowi.

eprasa.pl 1059d9d2a5

25 godzin jazdy bez odpoczynku

Jeden „terminator” wypija hektolitry napoju energetycznego i wozi busem rocznie nawet 1,6 tys. osób. Jeśli nie zaśnie i nie spowoduje wypadku

Beata Dżon-Ozimek

Międzynarodowe przewozy osób busami to niechętnie podejmowany temat. Kto jechał takim busem z przemęczonym, przysypiającym kierowcą, ten zna uczucie strachu. Busiarze są uważani przez organizację przewoźników autokarowych za nielegalną konkurencję i są na to dane. Ani Główny Inspektorat Transportu Drogowego, ani Ministerstwo Infrastruktury, służby celne czy policja, szczegółowo informowane o tym na kilku spotkaniach jesienią 2019 r., nie podjęły żadnych działań, by sytuację wyklarować. Mowa o busach biorących na pokład od siedmiu do dziewięciu osób razem z kierowcą. Ci nazywani są często „terminatorami” – śpią szybko i krótko, choćby w kukurydzy. Cechą branży busowej jest, po pierwsze, częste, by nie rzec notoryczne, nieewidencjonowanie dochodów. Skarb państwa od lat nie otrzymuje wpływów z podatków, których tak przykładnie szuka u innych przewoźników. Po drugie, niekontrolowany czas pracy „terminatorów” – stąd przerażająca liczba wypadków z udziałem busów.

Jedno ze zdjęć w popularnym serwisie społecznościowym: jasnozielony bus z numerem 343, boczna droga, pole i podpis: „2/3 godzinki przy kukurydzy i pełen sił na następne 1500 km”. Wpis się podoba, jest pełen fantazji, jakby autorem był współczesny kawalerzysta czy husarz ze skrzydłami. Pod zdjęciem radosne komentarze. Ileż optymizmu i braku odpowiedzialności zarazem. Ta informacja oznacza, że kierowca ma za sobą już półtora tysiąca kilometrów z nawet ośmioma osobami na pokładzie, a po symbolicznych dwóch, trzech godzinach snu w samochodzie będzie odpowiadać za życie i zdrowie kolejnych pasażerów przez kilkanaście godzin w trasie. Nikt nie kontroluje go tachografem, żaden przepis nie wymusza na nim odpoczynku co kilka godzin, jak to się dzieje w przypadku kierowców autobusów. A kiedy przestają działać napoje pobudzające, tzw. energetyki, może poprosić kogoś z wypoczętych i trzeźwych pasażerów z prawem jazdy kategorii B, by na jakiś czas go zastąpił.

Busy przewożące do dziewięciu osób to takie dziwne twory, ni pies, ni wydra. Ale na pewno kura znosząca złote jaja. W statystykach wypadków drogowych i wymogów wobec kierowców traktowane są jak auta osobowe. Wystarcza prawo jazdy kategorii B – dla wielu właścicieli firm busowych doświadczenie jest nieważne – i w drogę.

Kierowcy mają umowę-zlecenie in blanco, w razie wypadku, kontroli dopisuje się datę i zgłasza do ZUS, żeby było ubezpieczenie.

Rodacy do pracy busami

Busiarze to ogromny i silny rynek ogólnopolski. Dotąd radzi sobie świetnie w przewozach europejskich, choć większość zarobkowych przewozów np. w Niemczech czy Austrii formalnie wykonywana jest z naruszeniem prawa drogowego i fiskalnego tych krajów. Urzędnicy ani kontrole drogowe jakoś nie karzą polskich przewoźników – wiadomo, że głównie przywożą tam ludzi do pracy, a bez opiekunek czy pracowników fizycznych gospodarki się dławią.

Nie ma w Polsce ewidencji firm oferujących międzynarodowe przewozy osób busami, można ten rynek jedynie szacować. Polskie Stowarzyszenie Przewoźników Autokarowych (PSPA), największe i najstarsze na rynku (od 1992 r.) stowarzyszenie przewoźników międzynarodowych, doliczyło się na podstawie danych dostępnych w internecie 350 firm, każda ma od kilku do 12 pojazdów. – Mówimy o liczbie ok. 3,5 tys. pojazdów, a spodziewamy się, że stworzony przez nas wykaz zawiera 65-70% firm – mówi Marta Witkowska, przedstawicielka PSPA z Warszawy. Liczba firm zwiększyła się zresztą w porównaniu z ubiegłym rokiem niemal dwukrotnie.

Wyszukiwarka Google w Polsce na frazę „busy do Holandii” wyświetla ponad milion wyników, a na „busy do Niemiec” ponad 2 mln. Specjaliści PSPA wyliczają na podstawie ogłoszeń o sprzedawanych busach – np. trzyletnim o przebiegu 630 tys. km – że średnio jeden bus wykonuje 80-100 kursów Polska-Niemcy (Holandia)-Polska w roku, czyli dwa kursy w tygodniu. W sezonie letnim nawet więcej. – Takie ogłoszenia jasno informują, że pojazdy wykorzystywane są w firmie przewozowej do transportu osób na trasie np. Polska-Holandia, mają przebieg w 90% autostradowy, że auto jest serwisowane. Trafiliśmy na busa rejestrowanego w maju 2019 r., o przebiegu 350 tys. km, sprzedawanego w sierpniu br. Nietrudno obliczyć, że miesięcznie musiał przejechać ponad 23 tys. km – wyjaśnia przedstawicielka PSPA.

Kierowca in blanco

Firmy busowe mają stałych kierowców, ale większość formalnie ich nie zatrudnia. – Kierowcy mają umowę-zlecenie *in blanco* bez daty, w razie czegoś – wypadku, kontroli – dopisuje się datę i zgłasza do ZUS, żeby było ubezpieczenie, jest na to tydzień. Jeździmy bez żadnej umowy,

eprasa.pl 1059d9d2a5

3 grudnia 2019 r. w wypadku busa na drodze 340 Oborniki Śląskie – Wołów na miejscu zginęło trzech pasażerów.

wynagrodzenie dostajemy do ręki, bez podatku, bez pokwitowania. Idealne np. dla alimenciarzy i dłużników – opowiada były już kierowca, który wybrał legalne zatrudnienie gdzie indziej. Wybrał zarazem zdrowie, a może i życie, bo w autokarze ma limity jazdy i musi odpoczywać. Do prowadzenia busika z dziewięcioma osobami na pokładzie wystarczy mieć ukończone 18 lat, prawo jazdy kategorii B (amatorskie), czasem jest prośba o badania psychologiczne.

– Firmy posiadające kilkadziesiąt busów, wykonujące codzienne przewozy do Belgii, Holandii, Niemiec, zatrudniają po trzy, pięć osób, większość kierowców pracuje na czarno po kilka lat. Łamane są przepisy o czasie pracy. Kierowca jedzie np. z Lublina, z Przemyśla do Amsterdamu, czasem 25-27 godzin bez przerwy, bez odpoczynku. W autokarach zawodowy kierowca pracuje cztery i pół godziny, musi mieć 45 minut przerwy, przechodzić badania psychotechniczne itd. Zwykle kierowcy busów jeżdżą po 18-20 godzin dziennie, mają parę godzin przerwy i wracają kolejne kilkanaście godzin – mówi były kierowca jednej z firm na Śląsku, ale to wynika z rozkładów jazdy busów, łatwo to policzyć według tras. W busach nie ma urządzeń rejestrujących czas pracy kierowcy, tachografów.

W obronie interesów pracodawców i pracowników, czyli właścicieli i kierowców busów z kategorią B, stawał podczas epidemii Business Centre Club: „Należy przyjąć, że zgodnie z Ustawą o transporcie drogowym osoby wykonujące zarobkowy przewóz drogowy pojazdem przeznaczonym konstrukcyjnie do przewozu 9 osób łącznie z kierowcą, jak również dysponujące: prawem jazdy odpowiedniej kategorii, ważnym orzeczeniem lekarskim i psychologicznym o braku przeciwwskazań do wykonywania pracy na stanowisku kierowcy, są zawodowymi kierowcami, a tym samym – są wyłączone spod obowiązku kierowania ich na obowiązkową 14-dniową kwarantannę". Działo się to w sytuacji, kiedy decydenci nie mogli ustalić, czy kierowcy busów mają się poddawać kwarantannie, czy nie, więc sytuacja była interpretowana na ich korzyść (bez kwarantanny). I na korzyść dochodów firm busiarskich, które także były typowane przez kanały dyplomatyczne na „powroty do domów" od początku pandemii.

Ile fiskus nie zarobił

Krajowa Administracja Skarbowa walczy z handlem podrabianymi produktami, na którym traci fiskus. Na przykład szara strefa obrotu podrabianymi kosmetykami w Polsce to ok. 130 mln zł, dla porównania według szacunków ekspertów PSPA szara strefa przewozów międzynarodowych to co najmniej 2 mld zł obrotów i 4-5 tys. osób zatrudnianych na czarno. Według wiedzy samego środowiska przewoźników i ich stałych klientów, pracujących np. w opiece za granicą, nawet 90% biletów sprzedawanych jest bezpośrednio przez kierowców.

– To właściwie nie są bilety, płaci się gotówką w euro czy złotych do ręki, bez pokwitowania – poprawia mnie stała klientka firmy z Bielska-Białej. 35, 40, 50 euro w jedną stronę. Najdrożej było w marcu i kwietniu, w apogeum obostrzeń

Jeździmy bez żadnej umowy, wynagrodzenie dostajemy do ręki.

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 1059d9d2a5

epidemicznych. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość firmom busowym, że niektóre korzystają z systemów sprzedaży online, choćby w serwisie internetowym E-podróżnik.

– Tu ciekawostka, znowu fiskus nie dopatrzył, marża na takie usługi jest opodatkowana w wysokości 23%, a E-podróżnik płaci 8%, tak wynika z informacji na zakupionych biletach – pokazuje mi przedstawicielka PSPA.

Rok temu informowano o tym Ministerstwo Finansów i nic. Ta sprzedaż w sieci wyciąga niektóre firmy z szarej strefy, pozwala udowodnić pewne dochody, co jest konieczne np. do leasingu kolejnych pojazdów. Pozwala też ustalić, że takie biletowane przewozy międzynarodowe są rzeczywiście realizowane. Kierowcy bardzo często z pobranych należności za przejazd pokrywają koszty paliwa, opłaty autostradowe, inne koszty po drodze – bez faktur. W myśl zasady: nie ma dokumentu – nie ma problemu. Podobnie jest z kierowcami: wykonują pracę bez umowy, otrzymują umówioną gotówkę bez pokwitowania. To jest także istotne w całym schemacie działalności znacznej części rynku busików, takie transporty osób za granicę mają bowiem uchodzić za przewozy prywatne, niezarobkowe. Kierowca umawia się z pasażerami, że jadą na wesele, pogrzeb, urodziny, imieniny, turystycznie, wedle wyboru, wynajętym samochodem osobowym, bo tak busy do dziewięciu osób są traktowane.

– Kierowca namawia pasażerów do poświadczenia nieprawdy, że przejazd jest prywatny, niezarobkowy, twierdząc, że w ten sposób uniknie się długotrwałej kontroli. Chodzi o to, by uniknąć konsekwencji braku zezwolenia na przewozy przez Niemcy lub do Niemiec i zataić fakt wykonywania przewozu zarobkowego – uzupełnia moja rozmówczyni z PSPA. To nie jest tak, że busy ukrywają swoje istnienie. Widać na drogach, parkingach, że są oznakowane, oklejone logo czy informacjami o wynajmie. – Zaczęli się mocniej oklejać, reklamować, jest więcej ogłoszeń o wynajmie busów, faktycznie jednak chodzi o przejazd za granicę. Ale w razie czego firma pokazuje, że nie ma kierowców, bo wynajmuje busy na zamówienie – opowiada były kierowca. Służby za granicą nie są w stanie nic zrobić, prywatnie każdy może sobie kupić busa i niezarobkowo jeździć po Europie.

Ile fiskusowi przechodzi koło nosa? Zakładając, że 3,5 tys. busów wykonuje 100 kursów rocznie w pełnym obłożeniu, czyli zajętych jest osiem miejsc pasażerskich w obie strony, a kurs kosztuje średnio 350 zł, otrzymujemy ok. 2 mld zł. Eksperci z PSPA mówią, że kwoty te mogą być nawet dwa razy wyższe. Szokuje wyliczenie niezapłaconych należności podatkowych. Przyjmujemy umowny podział: połowa szacowanego dochodu do opodatkowania w Polsce, połowa w Niemczech. Nasz fiskus przy stawce 8% mógłby otrzymać ok. 73 mln zł, a niemiecki według tam obowiązujących stawek (19%) ok. 157 mln, czyli 36,5 mln euro. Niemcy, Austria czy Holandia tracą na przewozach polskich busów podatki i opłaty za zgody na zarobkowe korzystanie z ich dróg, choć faktycznie taka forma transportu od drzwi do drzwi jest np. w Niemczech zarezerwowana zgodnie z prawem transportowym dla taksówek. W przypadku busów możliwa jest w jednym przypadku – wszyscy pasażerowie uwzględnieni na liście jadą pod jeden adres i odbierana jest ta sama grupa, przy opłaconym zezwoleniu na jednorazowy przejazd.

Do prowadzenia busika z dziewięcioma osobami na pokładzie wystarczy mieć ukończone 18 lat i prawo jazdy kategorii B.

Kierowca namawia pasażerów do poświadczenia nieprawdy, że przejazd jest prywatny, niezarobkowy.

Wypadki

Nie ma oddzielnych statystyk uwzględniających udział busów do dziewięciu osób w wypadkach drogowych, traktowane są bowiem – przypomnijmy – jak samochody osobowe. Według szacunków PSPA oraz informacji z mediów i internetu co roku dochodzi do kilkuset wypadków w ruchu międzynarodowym z udziałem busów. Główne przyczyny to zmęczenie kierowców, zaśnięcie, brak koncentracji, bo dochodzi do znacznego przekroczenia norm czasu pracy dopuszczalnych u kierowców zawodowych. Wielu wypadków można by pewnie uniknąć, a z pewnością zminimalizować ich skutki, gdyby kierowcy byli wypoczęci, mieli odpowiednie doświadczenie, kwalifikacje i badania uprawniające do przewozu zarobkowego osób. Przykłady wypadków busów tylko z minionego miesiąca mówią same za siebie: 3 września, Dąbrowa Górnicza, pięciu rannych; 2 września, Połczyn-Zdrój, czterech rannych; 1 września, droga wojewódzka 901, Błażejowice, jedna osoba zginęła, jeden ranny; 29 sierpnia, droga krajowa nr 1, Radomsko, dwie osoby ranne; 25 sierpnia, Łosina Górna, dwóch rannych; 22 sierpnia, DK 88, Kleszczewo, dziewięć osób zginęło, siedmiu rannych; 22 sierpnia, Henrykowo, ośmiu rannych; 22 sierpnia, DK 16, trzech rannych; 21 sierpnia, DK 7, dwie osoby ranne; 20 sierpnia, Nysa, też dwie osoby ranne; 16 sierpnia, Antonin, dwie osoby zginęły, siedmiu rannych; 14 sierpnia, Szubin, jedna osoba ranna; 10 sierpnia, Mogilno, też jedna osoba ranna; 6 sierpnia, opolskie, dwie ranne osoby…

20 września 2016 r. poseł Jerzy Antoni Gosiewski złożył do MSZ interpelację w sprawie uzgodnień z partnerami z UE, które pomogą polskim przewoźnikom uniknąć długotrwałych i stresogennych kontroli. „Polscy przewoźnicy informują, że występują coraz częstsze przypadki kontroli niemieckich służb wobec polskich przewoźników wykonujących międzynarodowe przewozy pasażerskie pojazdami konstrukcyjnie przeznaczonymi do przewozu dziewięciu osób łącznie z kierowcą (tzw. busami)", pisze i dodaje, że „w transporcie międzynarodowym dla tzw. busów nie wydaje się żadnych zezwoleń na wykonywanie okazjonalnego czy regularnego przewozu drogowego osób", a „niemieckie służby kontrolne nagminnie zatrzymują tego typu pojazdy (zarejestrowane

eprasa.pl 1059d9d2a5

w Polsce) i nakładają wysokie kary pieniężne, wskazując na brak wymaganego zezwolenia, nie przywołując jednak przy tym żadnych podstaw prawnych, z których wynikałoby wprost, jaki dokument kierowca powinien okazać do kontroli drogowej".

Niemcy zorientowali się, że rynek przewozów busami rośnie, zaczęli więc sprawdzać ich legalność. Nieoficjalnie wiadomo, że wskutek m.in. tej interpelacji odbyły się rozmowy polskiej i niemieckiej strony na temat większej tolerancji i „zaprzestania kontroli na terenie Niemiec tych ciężko pracujących ludzi". Niemieckie służby „odpuściły".

– W Polsce wydaje się dwie licencje, wyłącznie krajową na busy do dziewięciu osób oraz krajową i międzynarodową na autokary i autobusy. Nie ma licencji wydawanych busom na międzynarodowe przejazdy, UE tego w ogóle nie przewidziała – informuje Marta Witkowska z PSPA. Oczywiście można podejść do sprawy tak: nie ma licencji na busy do dziewięciu osób na przewóz międzynarodowy, to znaczy, że nie jest wymagana i można jeździć. I „się jeździ".

Jeśli chodzi o Niemcy, to 11 września 1969 r. zawarto porozumienie między ministrem transportu i gospodarki morskiej Rzeczpospolitej Polskiej a ministrem komunikacji Republiki Federalnej Niemiec w sprawie międzynarodowych przewozów drogowych podróżnych i ładunków, dziś obowiązuje ono w brzmieniu nadanym 8 listopada 1991 r. Jeśli więc przepisy unijne uregulowały tylko kwestię autokarów i autobusów w ruchu międzynarodowym, to w pozostałej części tej umowy zapisy z 1991 r. obowiązują. – Co oznacza, że możliwy jest regularny przejazd busami między Polską a Niemcami bądź przez Niemcy do innych krajów (Holandii, Belgii itd.), ale żeby taki przewóz jednorazowy, okazjonalny, zarobkowy wykonać, trzeba wystąpić do BAG (Federalnego Urzędu Transportu Towarowego) o zgodę na przejazd. Zezwolenie kosztuje jednorazowo 110 euro – wyjaśnia pracowniczka PSPA.

Pozostaje także wspomniany podatek od sprzedaży do niemieckiego budżetu, płatny w Cottbus i Oranienburgu. Jak potwierdza Patrick Braun z Referatu 13 BAG w Kolonii, nie jest dozwolone prowadzenie transportu „od drzwi do drzwi" bez zezwolenia. Firmy dowożące pracowników sezonowych i marynarzy do Niemiec i Holandii mogą uzyskać roczne zezwolenie za 800 euro, ale nie dotyczy to przewozów turystycznych. Tak wygląda sytuacja formalnie.

Praktyka nie do końca legalnych transportów busowych jest tolerowana. Ciekawe tylko, dlaczego nasi szeryfowie od uszczelniania ściągalności podatków nie widzą tego solidnego źródła dochodów do budżetu. Jeśli nikomu nie zależy na pieniądzach, z których jako społeczeństwo jesteśmy okradani, to czy nie szkoda życia tych wszystkich ofiar przemęczenia kierowców „terminatorów"? Oni zresztą również są ofiarami tego systemu.

Beata Dżon-Ozimek

eprasa.pl 1059d9d2a5

Walicki – Rosja, Rosja – Walicki

Janusz Dobieszewski

Kwestia „Walicki a Rosja" to sprawa w wymiarze naukowym skomplikowana, wielowątkowa i wielopiętrowa, ale w planie osobistym właściwie prosta i jednorodna, aczkolwiek u swych źródeł dość zaskakująca. Pewne istotne bowiem wydarzenia z okresu młodości Andrzeja Walickiego, takie jak powojenne prześladowania jego ojca z powodu działalności w kierowniczych gremiach AK czy przymusowe „wcielenie" na początku lat 50. XX w. w szeregi uniwersyteckich rusycystów, mogłyby być przekonującymi powodami do instynktownej awersji do wszystkiego, co rosyjskie, i stać się porządnym bagażem życiowym zdeklarowanego rusofoba. Tymczasem nastąpiło tu coś zupełnie innego, co skłaniało dziarskich polskich rusofobów do zaliczania Walickiego, bez odrobiny refleksji, za to w najgorszej intencji (aczkolwiek w świetnym towarzystwie, np. Bronisława Łagowskiego czy Andrzeja Drawicza), do „partii prorosyjskiej" w Polsce.

Otóż student Walicki postanowił „trzymać się" Rosji; uznał, że sprawa indywidualnej wolności, narodowej samoświadomości i naukowej prawdy zależna jest nie od ucieczki od „rusycystyki", ale od jej pokonania wolnością, indywidualnością i kreatywnością na jej własnym polu, a więc niejako od „zostania" rusycystą. Ale rusycystą całościowym, integralnym, a nie „specjalistycznym", takim więc rusycystą, który ujmuje sprawę rosyjską w perspektywie filozofii, kulturologii, historii idei, w perspektywie najszerzej rozumianego „rosjoznawstwa", czyli w perspektywie uniwersalnej, a to jest możliwe tylko za pomocą narzędzi uniwersalnych, a więc najświetniejszych osiągnięć światowej filozofii, humanistyki, nauk społecznych. Wolność indywidualna, narodowa, ogólnoludzka w stosunku do kwestii rosyjskiej w latach 50. XX w. w Polsce – oto właściwe, prawdziwe i rozstrzygające wyzwanie dla wolności. Pokazać, dać dowód, że myśl rosyjska – jak pisał sam Walicki – „to myśl żywa, autentyczna, niemieszcząca się w prymitywnych schematach, rozbijająca je i ośmieszająca"; i pokazać to na przekór radzieckiemu prostackiemu dogmatyzmowi, na przekór polskiemu stereotypowi i pogardliwości, na przekór światowej obojętności i ignorancji. I oto okazywało się przy wnikliwym oglądzie, że myśl rosyjska działała wyzwalająco, że wyostrzała krytycyzm, kształtowała samowiedzę, wzmacniała moralnie.

Polska ma większe szanse jako zachód Wschodu niż jako peryferie Zachodu

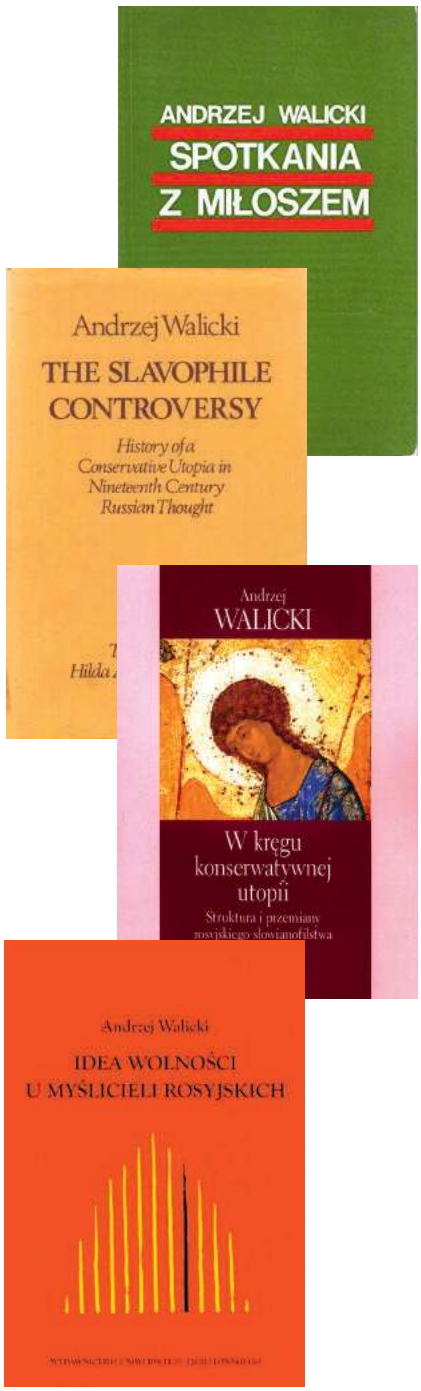

Rok 1956 uczynił realizowanie tego obrazu myśli i kultury rosyjskiej możliwym, aczkolwiek dla badacza polskiego, a jeszcze nie rosyjskiego, co Walicki potraktował jako „poczucie obowiązku, poczucie misji" także wobec Rosji, jako szansę pełnego i otwartego wyrwania się z dotychczasowych schematów interpretacyjnych wobec kultury rosyjskiej, jako swego rodzaju ochronę tej kultury dla Polaków, ale i dla samych Rosjan. Chodziło o pokazanie, jak to ujął Czesław Miłosz w jednym z listów do Walickiego, „powagi myśli rosyjskiej". Powagi, której ostatecznym punktem odniesienia jest tradycja kultury zachodniej, tradycja humanistyki jako takiej. Chodziło więc również o niejako weryfikujące zbliżenie Rosji i wschodu Europy do Zachodu, zbliżenie wzmacniające porównawczą swoistość i oryginalność kultury rosyjskiej (i polskiej) oraz potwierdzające w ten sposób uniwersalny, krytyczny i dialogiczny charakter kultury europejskiej. Walickiego poczucie misji wobec Rosji musiało – jeśli miało być konsekwentne – zostać uzupełnione niejako misją wobec Europy i świata. Ta zaś misja była może najbardziej wówczas realna do wypełnienia w przestrzeni zachodniej, co tłumaczy energiczną i owocną działalność Walickiego na rzecz zachodnich publikacji, kontaktów, uczestnictwa w życiu akademickim. Rezultatem było zdobycie wyjątkowego sojusznika w osobie Isaiaha Berlina, miłośnika i znawcy (długo w tym nieco osamotnionego) kultury rosyjskiej, a zarazem znakomitego myśliciela liberalnego

eprasa.pl 1059d9d2a5

o autorytecie światowym, a także przyjaźni innych zachodnich badaczy myśli i kultury rosyjskiej oraz rosyjskich emigrantów na Zachodzie i w Ameryce. Podsumowującym zaś dowodem skuteczności Walickiego, a przede wszystkim docenienia przez Zachód jego starań i działalności, była przyznana w roku 1998 Nagroda im. Eugenia Balzana, uważana za humanistyczno-społeczny odpowiednik Nagrody Nobla (jej laureatami byli m.in. Eric Hobsbawm, Paul Ricoeur, Emmanuel Levinas, Josef Pieper, Jorge Luis Borges, Jean Piaget). Trudno nie zacytować w tym miejscu opinii Berlina o najbardziej znanych na Zachodzie książkach Walickiego, a więc o „W kręgu konserwatywnej utopii" oraz o „Rosyjskiej filozofii i myśli społecznej od oświecenia do marksizmu": obydwa dzieła „odznaczają się zdumiewającym dystansem i wolnością od uprzedzeń. Spojrzenie jest chłodne, a wszystko, co zostało powiedziane, jest oparte na solidnym materiale i jest konsekwencją głębokiego, faktycznie unikalnego,

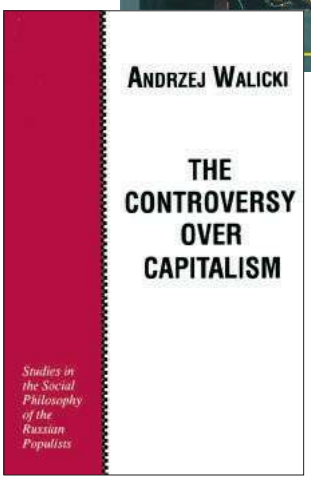

Andrzej Walicki obserwował wielki powrót po upadku ZSRR do tradycji rosyjskiej filozofii religijnej, do tzw. srebrnego wieku oraz do myśli emigracyjnej.

życzliwego wglądu w najbardziej różnorodne idee i poglądy. (...) Jest to moralne i intelektualne osiągnięcie pierwszej klasy. Te książki są całkiem po prostu najlepszymi i najpełniejszymi pracami w tej dziedzinie opublikowanymi w tym stuleciu".

I jeszcze jedna sprawa. Zmierzając w swoich publikacjach do przeorientowania relacji polsko-rosyjskiej, do uwolnienia jej od zajadłych uprzedzeń i leniwych stereotypów, uznając, że los Polski związany jest nierozerwalnie z losem Rosji, Walicki widział w tym – jak sam pisze – nie tylko nieszczęście, polegające na niezgodności tego faktu z żywym w Polsce poczuciem przynależności kulturowej do Zachodu, lecz również historyczną szansę: „Polska jako element »bloku wschodniego« wydawała mi się krajem o wiele ciekawszym i ważącym dużo więcej na historycznej szali niż Polska jako jeden z peryferyjnych krajów świata zachodniego". I dalej stwierdzał dobitnie: „Polska ma większe szanse

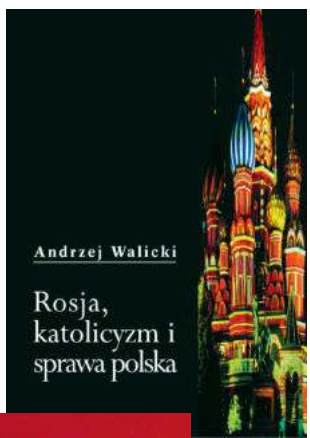

jako zachód Wschodu niż jako peryferie Zachodu". A istotnym uzasadnieniem tego stanowiska było to, że w Rosji, i to w skali znaczącej, występuje coś, co można nazwać politycznym i kulturowym polonofilstwem. „Rosjanie – wyjaśniał Walicki – są jedynym wielkim narodem, dla którego kultura polska coś znaczy, gdzie nazwisko Mickiewicza jest powszechnie znane. To jest nasz kulturowy, duchowy kapitał, o który trzeba dbać". Polonofilstwo to jest tym bardziej wartościowe, że pozbawione jest jakiegoś partykularnego słowianocentryzmu, że opiera się na uznaniu niewątpliwej przynależności Polski do świata zachodniego i na wiązaniu z tą europejskością Polski szansy także dla Rosji.

Isaiah Berlin: „Te książki są po prostu najlepszymi pracami w tej dziedzinie opublikowanymi w tym stuleciu".

Objaśnijmy jeszcze krótko, że „rosyjskie" badania i interpretacje Walickiego szły – jak się wydaje – trzema drogami. Po pierwsze, drogą przypomnienia i rewaloryzacji zapoznanej w Rosji radzieckiej i niezbyt znanej w świecie tradycji słowianofilskiej. Po drugie, drogą przezwyciężenia schematów interpretacyjnych stosowanych i narzucanych przez wykładnię radziecką wobec XIX-wiecznej myśli okcydentalistycznej i progresywnej, a znajdujących wyraz w formule „rewolucyjni demokraci". I po trzecie, drogą krytyki „esencjalizmu" w pojmowaniu kultury rosyjskiej, odrzucenia stereotypu jednej, „niezmiennej Rosji", podporządkowanej jakiejś trwałej i twardej rosyjskiej substancji narodowej, nieodwołalnie i definitywnie określającej dzieje Rosji i charakter jej kultury.

Walicki obserwował z uwagą i uznaniem wielki powrót po upadku ZSRR do tradycji rosyjskiej filozofii religijnej, do tzw. srebrnego wieku oraz do myśli emigracyjnej, wskazując wszakże (jako chyba pierwszy, już w latach 90.), z właściwą sobie wnikliwością, jasnością oraz naukowym dystansem i obiektywizmem, że nie jest to jednak proces bezproblemowy. Jego rezerwę wzbudzała przede wszystkim tendencja do pewnej monopolizacji myśli rosyjskiej przez

eprasa.pl 1059d9d2a5

jeden z jej kierunków, właśnie filozofię religijną, nawiązującą do srebrnego wieku i teologii prawosławnej, a także dyskredytowania z jej perspektywy innych kierunków filozofii rosyjskiej. Oto „Rosjanie są skłonni zajmować się tylko myślą filozoficzno-religijną XIX i XX w. i nawet Hercena pozostawić poza zasięgiem swoich zainteresowań". Prowadziło to Walickiego do takiej oto inspirującej opinii: „Osobiście uważam, że pewne niedocenianie rosyjskiej filozofii religijnej jest rzeczą relatywnie lepszą niż uznawanie jej za jedyną godną uwagi tradycję intelektualną Rosji, ku czemu skłania się dziś wielu filozofów rosyjskich". W jakiejś mierze te troski Walickiego nie są już dziś paląco aktualne.

Nasza uwaga skupiała się dotychczas na sprawie rosyjskiej w oczach i w interpretacjach Andrzeja Walickiego. Warto teraz przyjrzeć się relacji odwrotnej: jak Rosja i Rosjanie postrzegali i traktowali jego poglądy, dzieła oraz działania wobec Rosji i myśli rosyjskiej. Obserwował to zresztą uważnie – co oczywiste – on sam.

Już wobec pierwszej książki, wydanej w roku 1959, „Osobowość a historia", Walicki snuł nadzieje na jej rosyjski przekład, szybko jednak wpływowy filozof Igor Narski wyjaśnił, że wprawdzie książka jest świetna, ale w Rosji „czas nie dojrzał jeszcze do pisania takich rzeczy", a w dodatku „Polak nie powinien pouczać Rosjan, co mają myśleć o własnej literaturze i filozofii", i w związku z jej treścią lepiej dla Walickiego, by jego książka została w ZSRR przemilczana, o co on – Narski – postara się „na dowód swej życzliwości". Rok 1956 niewiele zmienił w sposobie uprawiania i postrzegania filozofii w ZSRR (w przeciwieństwie do Polski), o czym Walicki miał okazję się przekonać w latach 60., a nawet 70., w trakcie krótkich pobytów, i to mimo niespodziewanie pozytywnej recenzji w „Woprosach fiłosofii" książki „W kręgu konserwatywnej utopii", wywiadu opublikowanego w piśmie „Fiłosofskije nauki" w roku 1975, a nawet – niezbyt wprawdzie określonych i niekonkluzywnych – rozmów o przekładzie „Rosyjskiej filozofii i myśli społecznej od oświecenia do marksizmu".

Walicki jest autorem powszechnie w Rosji znanym i docenianym przez filozofów, socjologów, teologów, politologów, historyków idei.

Wszystko zmieniło się w latach 90. W trakcie pobytu w Moskwie w 1991 r. Walicki mógł w kręgach naukowych usłyszeć o sobie, „że żaden cudzoziemiec nie zrobił dla Rosji tyle, co Andriej Michajłowicz". Na fali odnowy Konstantin Duszenko dokonał przekładu i opublikował sporą część „W kręgu konserwatywnej utopii", licząc na zdobycie środków na przetłumaczenie i wydanie całości, co jednak wówczas się nie powiodło. Ukazały się też tłumaczenia artykułów Walickiego, pojawiły się propozycje współpracy (np. przy wydaniu dzieł Sergiusza Hessena), zarysowały szanse przekładu i wydania (bardzo na czasie) książki „Filozofia prawa rosyjskiego liberalizmu". Poglądy Walickiego, prezentowane na konferencjach i w debatach, stawały się przedmiotem analiz w artykułach naukowych i publicystycznych, choć niekiedy w dość zrozumiałej wówczas atmosferze pośpiechu i uproszczeń. W każdym razie wszystko wyglądało w owym okresie tak, jakby – jak to ujął sam Walicki – „wszyscy chcieli rozmawiać ze mną".

Ta osobista życzliwość nie przekładała się jednak na „twarde fakty", związane z tłumaczeniami i publikacjami książkowymi, czym Walicki był mocno zawiedziony (aczkolwiek nieco osładzały ten przestój artykuły w czasopismach filozoficznych i humanistycznych). Rozczarowanie było tym większe, że w tym czasie dwie książki Walickiego („W kręgu konserwatywnej utopii" oraz „Marksizm i skok do królestwa wolności") ukazały się w przekładzie ukraińskim, niejako „na złość Rosji". Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu doszło tu do jakościowej zmiany, z satysfakcją obserwowanej przez Walickiego. W roku 2012 ukazały się tłumaczenia „Filozofii prawa rosyjskiego liberalizmu" oraz książki „Rosja, katolicyzm i sprawa polska", w roku 2013 – „Rosyjskiej filozofii i myśli społecznej od oświecenia do marksizmu", a w 2019 – „W kręgu konserwatywnej utopii".

Podsumowaniem dorobku Walickiego w zakresie filozofii rosyjskiej był wydany w 2005 r. w Krakowie obszerny, przeszło 800-stronicowy tom

WBREW POLITYCZNYM MITOM

Najlepsza książka o Rosji

Zdecydowanie warto przeczytać

67 zł

~~29,90 zł~~
19,90 zł
e-book

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 1059d9d2a5

„Zarys myśli rosyjskiej. Od oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego". Dziesięć lat później wydano przekład angielski dzieła, ale za prawdziwy życiowy sukces Walicki uważał – jak napisał w wydanej niedawno przez PRZEGLĄD książce „O Rosji inaczej" – „fakt, że to podsumowanie mojej całożyciowej pracy spotkało się z wielkim uznaniem i zrozumieniem wśród rosyjskich historyków rodzimej filozofii", aczkolwiek na razie mają oni do dyspozycji polską i angielską wersję dzieła, co nie przeszkodziło im jednak w opublikowaniu kilku – bardzo pochlebnych – recenzji.

Spośród współczesnych filozofów rosyjskich Walicki chętnie przywołuje, i to z podziwem, kontynuujące religijną filozofię srebrnego wieku szerokie badania Siergieja Chorużyja i syntetyczne ujęcia Igora Jewłampijewa, ale szczególnie ceni integralne, panoramiczne ujęcie filozofii rosyjskiej Michaiła Maslina, które uwzględnia nie tylko nurt religijny i konserwatywny, lecz również nurty świeckie, lewicowe i rewolucyjne, a szczególnie cennym owocem tych badań jest znakomita encyklopedia „Russkaja fiłosofija" (Moskwa 2007, a ostatnie, trzecie wydanie z 2020 r.).

Podejście filozoficzne Maslina kształtowało się zresztą w znacznej mierze pod wpływem Walickiego. Jak pisze rosyjski badacz, wprawdzie twórczość Walickiego „stała się w Rosji znana i zdobyła szerszą popularność ze znacznym opóźnieniem, już w okresie poradzieckim", jednak on mógł się zetknąć z jego pracami w angielskiej wersji dużo wcześniej dzięki amerykańskiemu stypendium. Początkowo zresztą Maslin traktował Walickiego jako uczonego amerykańskiego o polskich korzeniach (co Walicki w osobnym liście sprostował), natomiast był pod wrażeniem tego, że najszerzej wówczas znana „Rosyjska filozofia i myśl społeczna od oświecenia do marksizmu" (w angielskim przekładzie) „prezentuje się jako prawdziwe dzieło autorskie, nieobciążone zależnością od jakiejkolwiek ideologii", napisane „przez niezależnego i profesjonalnego badacza", tworzące przy tym „na Zachodzie korzystny obraz rosyjskiej kultury filozoficznej". Maslin jest też autorem obszernego hasła poświęconego Walickiemu we wspomnianej encyklopedii „Russkaja fiłosofija"; jak pisze w jego podsumowaniu, „Walicki wypracował swoją własną wizję rozwoju filozofii w Rosji, której sensem jest jedność w różnorodności, uwzględniającą różne perspektywy światopoglądowe – zarówno zorientowane religijnie, jak i racjonalistyczne czy sekularne".

Rosjanie – wyjaśniał – są jedynym wielkim narodem, dla którego kultura polska coś znaczy.

Walicki jest dziś autorem powszechnie w Rosji znanym i docenianym przez badaczy jego problematyki, przede wszystkim przez filozofów, ale także przez socjologów, teologów, literaturoznawców, politologów, historyków idei. Jego książki są recenzowane, ukazują się artykuły analizujące jego poglądy i ujęcia filozofii rosyjskiej, pojawiają się zapowiedzi poświęconych mu rozpraw doktorskich. Śmierć Walickiego została natychmiast dostrzeżona przez rosyjską prasę i internet, a wraz z nekrologami ukazywały się liczne wspomnienia i podsumowania jego twórczości. W powszechnej tamtejszej ocenie nie sposób już badać w Rosji myśli rosyjskiej bez uwzględnienia ogromnego, wybitnego, właściwie klasycznego dorobku Andrzeja Walickiego. Zauważmy przy okazji, że rosyjska strona w Wikipedii o Walickim jest dwukrotnie obszerniejsza od strony polskiej.

Rosyjska strona w Wikipedii o Walickim jest dwukrotnie obszerniejsza od polskiej.

I na zakończenie pewne świadectwo osobiste o miejscu Walickiego i jego twórczości we współczesnej Rosji. 5 września 2019 r. miało miejsce w Bibliotece Historii Filozofii i Kultury Rosyjskiej, zwanej powszechnie Domem Łosiewa, a położonej w samym centrum legendarnej ulicy Arbat, spotkanie promujące rosyjski przekład książki „W kręgu konserwatywnej utopii". Walicki nie mógł już w nim z powodów zdrowotnych uczestniczyć. Poprosił mnie o reprezentowanie go i miałem okazję wraz z kilkoma rosyjskimi znawcami tematu być tam współreferentem. Wszyscy wiedzieli o marnym stanie zdrowia Walickiego i debata miała w jakiejś mierze charakter syntezujący sprawę „Walicki a filozofia rosyjska". Znany już nam Michaił Maslin (który kieruje Katedrą Filozofii Rosyjskiej na Uniwersytecie Łomonosowa) nie wahał się stwierdzić, że Walicki to najwybitniejszy i najbardziej znany w świecie historyk filozofii rosyjskiej, że jako pierwszy w skali świata rozpoczął, od końca lat 50. XX w., przywracanie tego, co zostało utracone z filozofii rosyjskiej oraz przez filozofię rosyjską w okresie radzieckim, że cechy osobowości Walickiego i wybitny charakter jego dzieł wyraźnie wskazują, że mamy do czynienia z geniuszem. Wiaczesław Serbinienko mówił z kolei, że prace Walickiego pozbawione są jakiejkolwiek banalności, tymczasowości, błahości, schematyczności, wymuszoności, że wszystko mieni się w nich energią, żywością, swobodą, siłą idei i ducha. Konstantin Antonow akcentował z kolei bogactwo intelektualne oraz subtelność spojrzenia, analiz Walickiego, dostrzeganie przez niego utajonych, ukrytych, a przecież często kluczowych odcieni zjawisk i idei, ich niuansów (niezbędnych np. do pokazania oczywistej skądinąd – aczkolwiek poza konwencją przesądów, uprzedzeń i stereotypów – przynależności słowianofilstwa do świata ideowego Europy).

Walicki – ktoś podsumował po prawie trzech godzinach debaty – nie myśli o rosyjskiej filozofii, ale żyje filozofią rosyjską.

Przypomniało mi to wypowiedzianą pod wpływem entuzjazmu kwestię niezapomnianego Bohdana Tomaszewskiego w trakcie finałowego meczu duetu Wojciech Fibak i Tom Okker (Holender) o mistrzostwo świata w deblu w latach 70.: „ależ Polacy zagrali; wiem, wiem, że Okker… ale, proszę państwa, właściwie przecież Okker to polski zawodnik".

Janusz Dobieszewski jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizuje się w filozofii społecznej, filozofii religii i filozofii rosyjskiej

eprasa.pl 1059d9d2a5

Koronawirus pół roku później

Nie ma co myśleć o zniesieniu zakazu noszenia maseczek. To byłby czysty idiotyzm

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Czym się różni koronawirus z dziś od tego z marca?

– Biologicznie różni się niewiele, bo tempo mutacji jest dość wolne, a geny, które mutują, nie zmieniają na razie właściwości wirusa. Widzimy po dwie-trzy zmiany na miesiąc, na razie nieistotne dla przebiegu zakażenia.

Pewne niuanse jednak widać, choćby w analizie porównawczej naukowców z Instytutu Genetyki Człowieka PAN.

– Tak, bo mamy teraz zdiagnozowanych sześć głównych wariantów tego wirusa: L, V i S przeważają w chińskich próbkach z Wuhan, a w krajach europejskich najczęściej występują: G, GH i GR. Ale tu uwaga: są one tylko nieznacznie od siebie oddalone. Poza tym ich sekwencje jasno pokazują, że w Polsce mamy do czynienia z genetyczną mieszanką wielu wariantów wirusa SARS-CoV-2, co zapewne jest wynikiem transferu patogenu z różnych lokalizacji.

To skąd w mediach informacje o tym, że większość polskich próbek należy do typu G?

– Ale to nieprawda! Sama nadreprezentacja jednego szczepu wcale nie musi świadczyć o szczególnym kierunku ewolucji wirusa, nawet na danym terenie. Równie dobrze może być efektem wybiórczego pobierania próbek. Na ponad 60 tys. zakażonych w Polsce sprawdzono tylko 90 sekwencji SARS-CoV-2. Dla porównania w międzynarodowej bazie GISAID, która zbiera dane o wszystkich poznanych dotąd sekwencjach genomów wirusów grypy i SARS-CoV-2, jest ich aż 42 tys.! Ostatnie trzy miesiące nie przyniosły przełomowych odkryć.

W tym czasie zmieniła się za to wiedza, co i jak koronawirus uszkadza w organizmie. Początkowo dane z Azji mówiły tylko o tym, że wywołuje zapalenie płuc, i to głównie u osób starszych.

– W raportach pisano też, że jego śmiertelność ogólna, czyli we wszystkich grupach wiekowych, jest relatywnie wysoka i sięga 10, a nawet 15%. Tak! Zresztą właśnie te informacje, pokazujące koronawirusa jako bardzo niebezpieczną chorobę, wpłynęły na decyzję WHO o ogłoszeniu pandemii jeszcze w marcu, a także skutkowały światowym lockdownem. Dopiero z czasem ustalono, że wirus atakuje nie tylko płuca, ale również inne narządy, bo łączy się z białkiem ACE-2, czyli receptorem znajdującym się w komórkach śródbłonka naczyń krwionośnych. To odkrycie diametralnie zmieniło podejście do patofizjologii tej choroby. Pokazało też, że jej pierwsza faza to atak na błony śluzowe nosa lub spojówki, druga – atak na komórki tkanki płucnej, a trzecia to już tzw. hiperzapalenie, którego efektem są ciężkie powikłania w wielu narządach, z wykrzepianiem w naczyniach nerek, mózgu, wątroby itd. Zakrzepy w małych naczyniach mogą powodować podobne zmiany jak zawał serca czy udar mózgu. Są to nieodwracalne uszkodzenia, które mogą doprowadzić do tzw. zespołu pocovidowego, czyli nowo odkrytej choroby. Jej objawy mogą być bardzo zmienne, od zespołu przewlekłego zmęczenia po zaburzenia hormonalne i immunologiczne.

> Leki, które hamują reakcje zapalne, zmniejszają śmiertelność o 30%.

I to niezależnie od wieku?

– Wiek akurat w tej chorobie ma niebagatelne znaczenie. Co do zasady: u dzieci i osób młodych koronawirus najczęściej wywołuje łagodne zakażenia. Ciężkie przypadki zdarzają się raz na tysiąc, a zgony nawet na 10-100 tys. przypadków. Generalnie przyjmuje się, że chorych pełnoobjawowych w tej grupie wiekowej jest nie więcej niż 5%, podczas gdy wśród osób po 50. roku życia już ok. 20%. Najcięższą postać choroby z uszkodzeniem wielu narządów ma mniej więcej co trzecia osoba z tej grupy. Po 50. roku życia rośnie też śmiertelność z powodu zakażenia koronawirusem, u osób po 70. roku życia dochodzi ona nawet do 15%.

Jaki mechanizm tutaj działa? Czym to tłumaczyć?

– Starzeniem się układu odporności. Przy czym chodzi tu nie tylko o zużywanie się z wiekiem pewnych elementów, ale i – co również teraz wiadomo – o zaburzenie regulacji odpowiedzi zapalnej, które prowadzi do nadmiernej produkcji białek zapalnych. Przenieśmy to na grunt inny niż immunologia: starszy człowiek szybciej się niecierpliwi, częściej denerwuje i jest mniej stabilny emocjonalnie, choć rzecz jasna nie wszyscy. Tak samo niektóre osoby doznają burzy zapalnej, my to nazywamy burzą cytokinową, w wyniku której ulegają uszkodzeniu różne narządy. Inaczej mówiąc, dochodzi do autodestrukcyjnego uruchomienia odpowiedzi zapalnej; najczęściej powiązanej właśnie z wiekiem.

Inni naukowcy wskazują głównie siłę odpowiedzi immunologicznej.

– Zgoda, jednak nie ma tu sprzeczności, bo to element tej samej hipotezy. Są wśród nas osoby, które szybko neutralizują koronawirusa, a jeśli nawet chorują, to krótko i bezobjawowo. Pojawienie się COVID-19 w organizmie powoduje u nich natychmiastową produkcję białek i komórek odpornościowych, a przez to eliminację SARS-CoV-2 w 7-10 dni. U osób starszych z kolei wirus dłużej przebywa w organizmie, co pozwala mu namnażać się w większej liczbie komórek i w efekcie powoduje rozległy stan zapalny. Reakcja układu odpornościowego to zresztą bardzo świeży temat; on dopiero przed nami się otworzył. Pierwsze szersze badania immunologiczne pochodzą z maja-czerwca.

Co jeszcze na podstawie tych badań wiadomo o tym, jak organizm odpowiada na atak wirusa?

eprasa.pl 1059d9d2a5

DR PAWEŁ GRZESIOWSKI

– pediatra, ekspert w dziedzinie profilaktyki zakażeń

– Dowiedziono, że dominujące znaczenie mają limfocyty, czyli komórki odpornościowe, które odpowiadają za pamięć immunologiczną. A nie – jak wcześniej sądzono – przeciwciała. Początkowo to one miały nas chronić przed koronawirusem, tymczasem okazało się, że są nawet słabym wyznacznikiem diagnostycznym infekcji. Po pierwsze, nie wszyscy je wytwarzają, po drugie – są często nieswoiste, a po trzecie – szybko zanikają.

Jak szybko?

– U prawie połowy pacjentów bezobjawowych przeciwciał nie ma już po dwóch miesiącach. To bardzo szybko. Po ciężkich przebiegach zanikają wolniej, chociaż nie będą obecne do końca życia.

Ale to oznacza, że chińskie testy oparte na przeciwciałach…

– …które miały dawać szybką odpowiedź: mam koronawirusa czy nie, okazały się niewypałem. Niestety. To duża frustracja, bo w wielu innych chorobach wirusowych pozwalają na szybkie rozpoznanie.

Szybkie testy na odporność komórkową – może one już są?

– A skąd. Wykonuje się je tylko w specjalistycznych laboratoriach naukowych i pewnie długo jeszcze tak zostanie, bo to badania skomplikowane i bardzo kosztowne. Na szczęście są już nowe technologie, do których zaliczyć możemy choćby skrócony test PCR (z wymazu) czy np. testy antygenowe. Miejmy nadzieję, że te nowe testy szybko się pojawią w zastosowaniach masowych.

W takim razie co tu i teraz może pomóc lekarzom?

– Choćby samo rozróżnienie trzech grup chorych, z których każda ma inne odzwierciedlenie w reakcji immunologicznej. Bezobjawowi to ci, u których przeciwciała pojawiają się na krótko, co jednak nie znaczy, że są oni nieodporni. Wytwarza się u nich pamięć komórkowa. A skoro tak, to znaczy, że nie powinni drugi raz zachorować na COVID-19. A przynajmniej na razie nie stwierdzono na świecie ani jednego udokumentowanego przypadku ponownego pełnoobjawowego zachorowania. Ostatnie doniesienie z Hongkongu mówi o pacjencie, u którego po czterech i pół miesiąca od pierwszego, łagodnego zakażenia wykryto nowy wariant wirusa, ale pacjent nie miał żadnych objawów.

Druga grupa to osoby, które mają wysoką gorączkę…

– …bóle mięśniowe, osłabienie, kaszel, ból gardła czy np. skarżą się na utratę smaku i węchu – te ostatnie także po marcu zostały wpisane na listę objawów przy SARS-CoV-2. Umiarkowanie chorzy – bo o nich teraz mowa – mają przeciwciała na wyższym poziomie i dłużej obecne, zwykle po 10 dniach eliminują wirusa. Trzecia grupa to ci najbardziej chorzy – z dusznością, zapaleniem płuc i powikłaniami pozapłucnymi, u których eliminacja wirusa trwa około trzech tygodni. Z pełną odpowiedzią immunologiczną: dużą liczbą przeciwciał i odpornością komórkową. Ta grupa jest zresztą najmniejsza. Wśród wszystkich chorych nie większa niż 10-15%.

Skoro już o klasyfikacji mowa, to COVID-19 nie jest pierwszym znanym nam koronawirusem. Wcześniej był np. SARS. Co dokładnie je łączy?

– Wirus z Wuhan ma genom w 80% podobny do SARS; reszta to nowe mutacje. Oba dają podobne objawy ze strony dróg oddechowych i są przenoszone drogą kropelkową. Z człowieka na człowieka, choć mają pochodzenie odzwierzęce. Pojawiły się też w tej samej chińskiej prowincji Guangdong. Tyle podobieństw, bo inne są już okresy inkubacji (u koronawirusa wynoszą od jednego do 14 dni; w przypadku SARS pięć-sześć dni – przyp. red.). Ba, z najnowszych badań porównawczych koronawirusów nietoperzowych wynika, że SARS-2 jest bardziej zakaźny, czyli szybciej się rozprzestrzenia niż SARS-1, za to mniej od niego agresywny. Śmiertelność w przypadku wirusa z Wuhan jest stosunkowo niewielka; WHO szacuje ją na 0,5-1%, dla SARS – 10%.

Czy na tych analogiach można oprzeć to, jak walczyć i jak wygrać z koronawirusem?

– To, co można było zrobić, już zrobiono – pamiętajmy, że oba wirusy namnażają się w organizmie ludzkim, a każdy zakażony może zakażać kolejne osoby jeszcze przed wystąpieniem objawów. Dlatego nie jesteśmy w stanie inaczej „unieszkodliwić" wirusa niż przez izolację poszczególnych osób, najlepiej z zachowaniem rygorystycznych barier epidemicznych. I tutaj wiele zaczerpnięto właśnie z walki z SARS-1. Szybko podjęto decyzje o kwarantannie, ograniczono transport publiczny, w tym zamknięto lotniska, a także zamrożono gospodarkę…

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1059d9d2a5

A nie ma innych mechanizmów walki z tego rodzaju chorobami, dopóki nie będzie skutecznej szczepionki?

– To wydaje się dramatyczne, ale nie. Mimo całego postępu technologicznego nie ma innych możliwości. Liczy się przede wszystkim izolacja, a z drugiej strony leczenie objawów z wykorzystaniem leków, które hamują reakcje zapalne. I to znacznie, bo zmniejszają śmiertelność o 30%. Choć, co też trzeba przyznać, jak z każdym lekiem przeciwwirusowym często możemy po nie sięgać wtedy, kiedy jest już za późno. Bo wirus szybko atakuje komórki; inaczej niż bakterie – tu zakażenie rozwija się stopniowo. Dlatego wczesne rozpoznanie ma gigantyczne znacznie. A im wcześniej podamy lek, tym lepsze będą efekty. Zresztą tak samo działa surowica ozdrowieńców. To gotowe przeciwciała, które mają neutralizować wirusa. Ale mają sens tylko wtedy, kiedy podamy je we wczesnej fazie zakażenia. A co do szczepionek, nowością jest to, że one w ogóle już są. W marcu nie było nic. Żadna inna szczepionka nie powstała tak szybko, i to od zera! W lutym zaczęły się badania na poziomie eksperymentalnym, teraz trwają badania trzeciej fazy. Od razu ośmiu produktów. Przy czym każdy oparty jest na innej technologii. Są wśród nich szczepionki RNA, DNA, pełnokomórkowe, adenowirusowe, wektorowe…

I kiedy pierwsza może być dostępna?

– Wyniki wstępne badań trzeciej fazy będą do końca roku. Jeżeli okażą się dobre, rejestracja warunkowa nastąpi wiosną 2021 r. Jeżeli nie, wszystko się przedłuży.

Rosja tymczasem już ogłosiła, że szczepionka na COVID-19 została zarejestrowana. Produkcja planowana jest na wrzesień, a pierwsze szczepienia – na październik.

– To bardzo zła informacja, bo wiadomo, że ten prototyp nie przeszedł badań trzeciej fazy, a rząd wywarł presję na naukowców, którzy przyznają, że nie mają pełnych danych o skuteczności i bezpieczeństwie tego preparatu. To wielka nieodpowiedzialność ze strony władz, bo łamią wszelkie zasady dopuszczania leków do masowego użycia. Świat naukowy jest porażony ingerencją polityków w procesy badawcze; zresztą podobną presję wywiera prezydent Trump w USA, krytykując za domniemaną opieszałość naukowców i agencję rejestracji.

Czyli jest ryzyko, że koronawirus może z nami zostać na zawsze?!

– Na teraz tak. Nie ma czynnika, który by powodował, że wirus zniknie. Gorzej, nie ma żadnych przesłanek, że epidemia ma się ku końcowi. Wręcz przeciwnie, poszerza zakres. Jest właściwie na całym globie, niezależnie od rasy, klimatu i innych czynników. Jedyne, co powoduje, że przygasa, to nasze działania prewencyjne.

Te jednak na niewiele mogą się zdać. Przecież na jesieni chorych będzie jeszcze więcej. Do koronawirusa dołączy sezonowa grypa – biją na alarm eksperci.

– Szacuje się, że w szczycie sezonu będziemy mieli dziennie w Polsce 50-80 tys. pacjentów z objawami grypy (w poprzednich latach w sezonie grypowym, czyli między wrześniem a marcem, było ich ok. 4 mln). I oni będą nie do odróżnienia od zakażonych COVID-19 – w obu przypadkach organizm zareaguje tak samo, pojawią się gorączka, kaszel, bóle mięśniowe i np. ogólne zmęczenie.

Błędem jest zrównywanie szalika z maseczką czy przyłbicą. One nie chronią tak samo!

„COVID-19 odróżnia od grypy przede wszystkim duszność, czyli spłycenie oddechu", piszą zagraniczne media. I wyliczają, że we wczesnej diagnozie zakażenia koronawirusem pomóc może kolejność, w jakiej pojawiają się dolegliwości – zwykle najpierw są gorączka, kaszel i bóle mięśni, a następnie nudności oraz wymioty oraz biegunka.

– Niestety, ani kaszel, ani duszność, ani kolejność objawów nie są typowe jedynie dla koronawirusa – wiele innych drobnoustrojów powoduje te same dolegliwości. Bez badań wirusologicznych nie da się potwierdzić przyczyny zakażenia.

A COVID-19 jako COVID-19 na jesieni będzie więcej?

– Nie z powodu jesieni, bo on nie reaguje na klimat. A fakt, że koronawirus najlepiej czuje się w temperaturze 4-8 st. C, wcale nie wpływa na jego zakaźność. Przecież my nie schładzamy naszego oddechu. Ale jak będzie chłodniej, to chętniej będziemy przebywać w zamkniętych pomieszczeniach, rzadziej będziemy je wietrzyć, a to spowoduje, że wirus będzie miał więcej okazji do przenoszenia.

Wirus dłużej przeżyje na powierzchni.

– Zgoda, w niższej temperaturze może przeżyć nawet kilka dni, w wyższej – maksymalnie kilka godzin. Ale co z tego, czy my liżemy podłogi?! Nie! Czyli jeśli chodzi o główną drogę zakażenia, aerozol wydychany przez chorych, to temperatury nie miały i nie mają znaczenia. Latem były piki zachorowań. I jeszcze jedno: nie ma co myśleć o zniesieniu zakazu noszenia maseczek. To byłby czysty idiotyzm. Skoro wiemy, że wirus wnika przez usta i nos, nośmy je! Kropka. Nie wiem, co się stało, że kwestionujemy ten prosty środek.

Skąd w nas takie myślenie?

– Być może dlatego, że popełniono wiele błędów komunikacyjnych. Początkowo pozamykano lasy, wprowadzono obowiązek chodzenia w maseczkach w parkach... Mógłbym tak długo wyliczać. Dlatego teraz ktoś powinien wyjść i powiedzieć: „Pomyliliśmy się. Zastosowaliśmy nadmierne środki ochrony, bo baliśmy się wirusa. Wszyscy się bali. Ale dziś już wiemy, że wirus nie przenosi się raczej w przestrzeniach otwartych, chyba że są szalone tłumy, ludzie stoją blisko siebie. Jeżeli więc idziemy na spacer, do parku, do lasu albo np. jeździmy na rowerze, zakładanie maseczki jest absurdem".

A te inne błędy?

– Zrównanie szalika z maseczką czy przyłbicą. One nie chronią tak samo! Nie może być zasadą, że stosujemy je w przestrzeni publicznej. Owszem, jeśli zapomniałeś maseczki, to skorzystaj z tego, co masz, zasłoń się kołnierzem, żeby nie dać się „opluć", ale to na pewno nie uchroni przed wirusem, jeśli kontakt będzie dłuższy. I wreszcie ostatnia sprawa: w przestrzeni publicznej maseczki zostały zdeprecjonowane przez… przedstawicieli władzy. W środku pandemii paradowali oni bez nich na niemal każdym przedwyborczym spotkaniu. Przecież to daje Kowalskiemu jasny przekaz, że maseczka jest niepotrzebna. A to nieprawda! Efekt? Odbudowa zaufania do tego narzędzia będzie teraz dużo trudniejsza. Ale trzeba to zrobić. Nie ma na razie innej drogi.

Dorota Bartosewicz

eprasa.pl 1059d9d2a5

Więcej niż trzydziestu

W Izraelu co piąta kobieta została gwałcona, a co trzecia doznała napaści seksualnej

Kobiety mają dość trwającej od lat patowej sytuacji.

Jakub Katulski

Izraelską opinią publiczną wstrząsnęła w minionym miesiącu wiadomość o zbiorowym gwałcie dokonanym na 16-latce w Ejlacie, kurorcie nad Morzem Czerwonym. Z policyjnego śledztwa wynika, że dziewczyna zameldowała się w Red Sea Hotel 12 sierpnia, po czym spędzała czas z przyjaciółmi przy hotelowym basenie. Tam po raz pierwszy zetknęła się z jednym ze sprawców, zbyła go jednak ze względu na dużą różnicę wieku między nimi. 27-latek bezskutecznie próbował przekonywać jeszcze dziewczynę, że w rzeczywistości jest młodszy.

Na tym sprawa powinna się zakończyć, ale wydarzenia przybrały dużo brutalniejszy obrót, co wykazało policyjne śledztwo opisane przez dziennik „Ha-Arec". Dziewczyna kontynuowała wieczór, pijąc alkohol z przyjaciółmi. Spożywanie alkoholu przez nieletnich w tym hotelu zdarzało się często, co wykazały nagrania z kamer bezpieczeństwa uzyskane przez policję. Dziewczyna, najprawdopodobniej już pijana, poszła do hotelowej łazienki. Po drodze potknęła się i upadła. Grupa osób postanowiła jej pomóc, a w tłumie pojawił się też mężczyzna, który wcześniej nagabywał nastolatkę nad basenem. Powiedział, że ma przeszkolenie medyczne, i z innym mężczyzną zabrał ją do swojego pokoju. Dziewczynie towarzyszyła przyjaciółka. Niczego nie podejrzewała, gdy mężczyźni wysyłali ją do sklepu po artykuły higieniczne, twierdząc, że chcą pomóc.

Kiedy osoby postronne opuściły pokój, mężczyźni zaczęli gwałcić nastolatkę. Wieści szybko rozeszły się po korytarzu i inni mężczyźni, także nieletni, postanowili wykorzystać okazję. Gdy do pomieszczenia wróciła przyjaciółka ofiary i zorientowała się, że jest tam nagi mężczyzna, poprosiła kogoś na korytarzu o pomoc. Obie dziewczyny wróciły do swojego pokoju na noc.

Według zeznań nastolatek sprawcy mieli się wykazać wyjątkową bezczelnością – dwa dni później jeden z nich skontaktował się z ofiarą, mówiąc, że ma nagrania z zajścia. Dopiero wtedy do dziewczyn naprawdę dotarło, co się wydarzyło, i udały się na policję złożyć doniesienie o przestępstwie.

Nie to nie

Początkowo media mówiły o nawet 30 uczestnikach. Ta liczba nie wzięła się jednak z zeznań ofiary, co szybko sprostowała jej prawniczka Shani Moran. Ostatecznie prokuratura postawiła zarzuty 11 osobom. Czterech mężczyzn stanie przed sądem oskarżonych o gwałt, a siedmiu za podżeganie lub niezapobiegnięcie przestępstwu. Głównymi oskarżonymi są Issy Rafailov i Ilizir Meirov, wcześniej już karani. Nazwiska większości sprawców nie zostały jednak ujawnione, ze względu na izraelskie prawo chroniące dane osobowe nieletnich.

Kiedy do mediów wypłynęły wiadomości o gwałcie, w całym kraju wybuchły protesty, podczas których domagano się sprawiedliwości. To, co przydarzyło się młodej dziewczynie w hotelu, po raz kolejny ujawniło poważny problem, z którym muszą sobie radzić kobiety w Izraelu. Gwałt został szybko potępiony przez premiera Beniamina Netanjahu, który nazwał go „zbrodnią przeciwko ludzkości", jednak dla izraelskiej opinii publicznej było to niewystarczające. Prezydent Reuwen Riwlin opublikował list otwarty do izraelskiej młodzieży, w którym powiedział, że takie działania „niszczą Izrael jako społeczeństwo", podkreślając, jak ważne są granice przyzwoitości. Ale i to nie uspokoiło wzburzonej opinii publicznej, domagającej się stanowczych działań.

Telefony zaufania rocznie przyjmują 250 zgłoszeń gwałtów zbiorowych. Policyjne statystyki są niemal dziesięć razy niższe.

Podczas licznych demonstracji, które odbyły się w 30 miejscach w całym kraju, skandowano: *Szoter, szoter, al mi ata szomer* („Policjancie, kogo bronisz"), a na transparentach

eprasa.pl 1059d9d2a5

można było przeczytać: *Lo ze lo* („Nie to nie”). Manifestujący domagali się zwiększenia środków na programy prewencyjne, zmian w systemie sądownictwa i poprawy wsparcia medycznego dla ofiar napaści seksualnych. Protest wsparło wiele organizacji i firm, takich jak Agencja Żydowska czy Microsoft Israel, które ogłosiły godzinny strajk w pierwszym dniu tygodnia roboczego, w niedzielę 23 sierpnia. Demonstrujące kobiety wyszły na ulice, by podkreślić, że to, co zdarzyło się w Ejlacie, nie było odosobnionym przypadkiem. Pokazały tym również brak zaufania do działań władzy mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa.

Takie hasła nie wzięły się z niczego. Pod koniec ubiegłego roku izraelskie Stowarzyszenie Centrów Kryzysowych dla Ofiar Przemocy Seksualnej opublikowało raport z szokującymi wnioskami. Telefony zaufania działające przy stowarzyszeniu co roku odbierają 250 zgłoszeń samych gwałtów zbiorowych, lecz policyjne statystyki są niemal dziesięciokrotnie niższe. Orit Sulitzeanu, dyrektorka stowarzyszenia, uważa, że ofiary nie zgłaszają sprawy policji z obawy przed stygmatyzacją, ale także ze względu na słabą skuteczność organów ścigania. Z raportu, który został przedstawiony m.in. prezydentowi, można się dowiedzieć, że dziewięć na dziesięć spraw jest zamykanych bez postawienia zarzutów. Izraelscy prokuratorzy często decydują się na ściganie przestępców jedynie wtedy, gdy pewni są zwycięstwa.

To, co przydarzyło się 16-latce w hotelu, po raz kolejny ujawniło problem, z którym muszą radzić sobie kobiety.

Tak było choćby w ubiegłym roku, kiedy Kanał 13 ujawnił dokonanie zbiorowego gwałtu na 11-letniej dziewczynce przez czwórkę niewiele starszych chłopców. Policja przeprowadziła pierwsze przesłuchania dopiero po miesiącu od złożenia zawiadomienia przez matkę ofiary, a sprawę i tak umorzono, kiedy śledczy nie mogli ustalić, kto wykonał nagrania gwałtu, które zostały włączone do materiału dowodowego.

Co się stało na Cyprze

W ostatnich latach do izraelskich mediów przedostało się kilka głośnych informacji o zbiorowych gwałtach w szkołach. Zapobieganiu takim wydarzeniom nie pomaga fakt, że edukacja seksualna w kraju jest nieobowiązkowa. Wprowadzenie jej do programu zależy od nauczycieli i dyrektorów placówek, a ci unikają tego tematu. Uczniom nie wpaja się więc asertywności. To jednak ma się zmienić, bo jeszcze w sierpniu Joaw Galant, nowy minister edukacji w rządzie Netanjahu, zapowiedział, że od nowego roku szkolnego takie zajęcia mają być obowiązkowe.

Dziewięć na dziesięć spraw jest zamykanych bez postawienia zarzutów.

Głośna była też sprawa brytyjskiej turystki, która pod koniec ubiegłego roku doniosła, że została zgwałcona w cypryjskim kurorcie Ayia Napa przez 12 Izraelczyków w wieku od 16 do 22 lat. Patolog, który ją badał, zeznał, że na jej ciele znajdowały się dowody użycia siły. Mimo to dwa tygodnie po złożonych zeznaniach cypryjska policja wezwała ją na ponowne przesłuchanie, bez obecności prawnika ani tłumacza. Kobieta podpisała oświadczenie o wycofaniu oskarżenia. Zatrzymanych wcześniej Izraelczyków wypuszczono, dzięki czemu mogli świętować wolność, otwierając butelki szampana na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie. Kobieta później utrzymywała, że została zmuszona do wycofania zeznań. Sprawa odbiła się echem w europejskich środowiskach feministycznych, a brytyjskie media zauważyły, że wielu oskarżonych powiązanych jest ze znaczącymi postaciami izraelskiej polityki.

Armia przemocy

Problem przemocy wobec kobiet jest obecny także w armii. Siły Obrony Izraela od lat same opisują siebie słowami „najbardziej moralna armia na świecie”. Mimo to liczba gwałtów i przypadków molestowania seksualnego rośnie z roku na rok. Według Stowarzyszenia Centrów Kryzysowych dla Ofiar Przemocy Seksualnej co roku zgłaszanych jest ok. 400 gwałtów w armii. Skargi składane są głównie na mężczyzn, choć 10% skarg dotyczy zachowań kobiet. W swoich oficjalnych statystykach armia odnotowuje jednak tylko ułamek przypadków, o których dane gromadzi stowarzyszenie.

Kobiety mają dość trwającej od lat sytuacji patowej. Stowarzyszenie Micad HaNaszim (Marsz Kobiet), walczące o prawa kobiet w Izraelu, postanowiło przełamać milczenie w sprawach gwałtów i zachęca kobiety, które padły ofiarą przemocy seksualnej, do głośniejszego protestowania. W trakcie protestów niosły transparenty z hasłami „Nie jesteś sama” i „Otwieramy oczy”. Na facebookowej stronie grupy ogłosiły akcję pod hasłem *Joter mi szloszim* („Więcej niż 30”). Można tam przeczytać, że „każda kobieta wie, że gwałcicieli w Izraelu jest więcej niż 30”. W ruchu podobnym do głośnego na międzynarodową skalę #MeToo organizatorki zachęcają kobiety do opowiadania własnych historii, by zebrać listę gwałcicieli, która ma zostać przekazana rządowi. Ten projekt został zorganizowany po to, by decydenci zrozumieli ogromną skalę problemu i zmienili politykę w zakresie zwalczania przemocy wobec

Jak wojska chemiczne chronią prezesa Kaczyńskiego przed koronawirusem?
Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Z roku na rok rośnie liczba przypadków gwałtów i molestowania w armii izraelskiej.

kobiet. „Zapraszamy Cię do zapisania imienia osoby, która Cię skrzywdziła, i wieku, w którym Cię to spotkało", można przeczytać we wpisie organizacji na Facebooku. „Zasługujemy na to, aby nie mogli nas dalej ignorować. To nie są prywatne sprawy." Już pierwszego dnia po uruchomieniu strony kampanii pojawiło się około tysiąca wpisów.

We wtorek 8 września uruchomiona została również kampania społeczna pod hasłem *Ze beaja szeli* („To mój problem"). Jej pomysłodawcą był przedsiębiorca Mordechaj Braunstein, który w rozmowie z Kanałem 12 zauważył, że brakowało mu męskich głosów stających w obronie praw kobiet. Z tego powodu zebrał 15 znanych postaci medialnych, z którymi nagrał udostępniany w mediach społecznościowych dwuminutowy filmik. Jego przekaz jest jasny i wypowiedziany wprost: „Przemoc wobec kobiet to nie problem kobiet. To mój problem". W nagraniu mężczyźni poruszają też problem języka, jaki stosują Izraelczycy, mówiąc o płci przeciwnej, zwłaszcza w odniesieniu do seksu. Ważną częścią tej kampanii jest informacja, że w Izraelu co piąta kobieta została zgwałcona, co trzecia doznała napaści seksualnej, a każda przynajmniej raz w życiu była molestowana.

Kampanie społeczne mające zmieniać sposób wykorzystania języka są obecne także w Autonomii Palestyńskiej. Modowo-feministyczny kolektyw Baby Fist od lat prowadzi akcję pod hasłem *Not your habibti* („Nie twoje kochanie"), nawiązując do zwyczaju arabskich i izraelskich mężczyzn zwracania się do obcych kobiet per „kochanie". Zachęca kobiety do sprzeciwiania się takim zachowaniom, po to by „odzyskały siebie i wzmocniły przekonanie, że nie są przez nikogo posiadane", jak można przeczytać na ich stronie.

Mimo tych działań niektórym nadal wydaje się, że z przemocy seksualnej można żartować. W Kfar Sabie, mieście w centrum kraju, 8 września odbył się protest nauczycieli i uczniów szkoły numer 10 przeciwko napisom, które pojawiły się na murach w ostatnich dniach, choćby takich, że „milczenie oznacza zgodę". Jeden z nich, wykonany przez chłopców ze szkoły, głosił: „Ayia Napa – 12, Eilat – 30, 10 – 100", sugerując, że w szkole nr 10 gwałtu dokona 100 osób. Obrońcy twierdzili, że napisy na murach są jedynie niewinnym dowcipem, lecz nie przekonało to protestujących. Maya Saad, doradczyni młodzieży, uważa, że problem leży w wychowaniu izraelskich mężczyzn. W rozmowie z radiem 103FM powiedziała, że od dziewczynek wymaga się, by o siebie dbały i były odpowiedzialne, „zapomnieliśmy jednak wymagać odpowiedzialności od chłopców". Chłopcy, którzy zrobili napisy na murach, zostali już zawieszeni, ale trudno oczekiwać, by dla wielu kobiet w kraju było to wystarczające.

Niektórym nadal wydaje się, że z przemocy seksualnej można żartować.

Jakub Katulski

www.stosunkowobliskiwschod.pl

FOT. AP/EAST NEWS, ADOBE STOCK

eprasa.pl 1059d9d2a5

W drodze po przeżycie

Katastrofa klimatyczna wywoła migracje na niespotykaną skalę

Mateusz Mazzini

Sonia Nazario jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych amerykańskich reporterek. Kojarzona przede wszystkim z pracy w „Los Angeles Times", światowy rozgłos zyskała dzięki książce „Podróż Enrique", opartej na serii artykułów z 2002 r. Opisuje w nich historię tytułowego 17-latka z Hondurasu, który wyrusza w samodzielną podróż do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu matki. Nie widział jej od przeszło dekady, ma z nią ograniczony kontakt, w dodatku próbuje przedostać się na północ nielegalnie. Poznawszy historię chłopca, reporterka decyduje się na równie szalony krok i rekonstruuje jego odyseję. „Podróż Enrique" weszła do kanonu amerykańskiego pisarstwa nie tylko ze względu na temat, ale i na warsztat reporterski. Autorka tak dbała o precyzję wypowiedzi i zgodność z faktami, że gazeta wydrukowała łącznie kilkanaście stron samych przypisów do jej reportażu. Te wysiłki zostały zresztą wynagrodzone – za cykl reporterski Sonia Nazario otrzymała Pulitzera, a książka weszła do kanonu lektur na wszystkich kierunkach w większości college'ów w USA.

I choć o „Podróży Enrique" napisano już wiele, a od publikacji minęło prawie 15 lat, dziś tematyka podjęta w książce znów jest jednym z głównych wątków w debacie publicznej za oceanem.

Matka Enrique decyduje się na emigrację do Stanów Zjednoczonych z powodów ekonomicznych i osobistych. Jej rodzina ma małą piekarnię, z której dochód w części przeznaczany jest na haracz dla *maras*, gangów sprawujących *de facto* władzę w krajach regionu. Bez ich pozwolenia nie przetrwa żaden biznes, opór kończy się śmiercią lub siłowym wcieleniem najmłodszych członków rodziny do mafijnych struktur. Piekarnia ma jednak coraz większe problemy z płaceniem haraczu. Nie tylko dlatego, że *maras* żądają coraz więcej, po prostu produkuje coraz mniej pieczywa. W okolicy bowiem zaczyna brakować wszystkiego, zwłaszcza czystej wody i zbóż. Uprawy maleją w oczach, strumienie wysychają. Honduras, Salwador i cała Ameryka Środkowa stają się ziemią, która nie jest już w stanie wyżywić ogółu mieszkańców. „Podróż Enrique" to zatem nie tylko przejmująca historia rozdzielonej i próbującej się połączyć rodziny. To również uwertura do tego, co czeka nas w najbliższych dziesięcioleciach – masowych migracji klimatycznych.

Nie da się ukryć, że w dziedzinie przewidywania katastrofalnej przyszłości stajemy się coraz lepsi. Naukowcy umieją z zaskakującą precyzją obliczyć tempo topnienia grenlandzkiej pokrywy lodowej czy granice ocieplenia klimatu, po przekroczeniu których na jakąkolwiek reakcję będzie za późno. Do tej pory jednak niewiele mówiło się o tym, jak katastrofa klimatyczna będzie zmieniać nasze

FOT. AGUNG FATMA PUTRA/SOPA IMAGES/SIPA USA/EAST NEWS

eprasa.pl 1059d9d2a5

Mieszkańcy Jawy Zachodniej pobierają resztki wody z rzeki, gdyż ich studnie wysychają w okresie letnim.

społeczeństwa dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nie tylko pod względem tego, jak będziemy żyć, ale przede wszystkim gdzie.

Dane już teraz są alarmujące. Według raportów Banku Światowego coraz intensywniejsze monsuny u wybrzeży Oceanu Indyjskiego i w Azji Południowo-Wschodniej drastycznie zmniejszyły powierzchnię terenów uprawnych. Dawne ziemie rolnicze są zalewane tak często i tak bardzo, że nie nadają się już praktycznie do niczego. Jedynie w ostatniej dekadzie w kierunku Bliskiego Wschodu, Europy i Ameryki Północnej wyruszyło z tych rejonów 8 mln osób. Kolejne miliony trafiły na Stary Kontynent z Afryki Subsaharyjskiej, Syrii, Afganistanu i krajów Kaukazu. Chociaż w przypadku tych ostatnich jako przyczyny masowych migracji najczęściej wskazuje się wojny i konflikty zbrojne, starcia wybuchają, o czym rzadko się wspomina, właśnie z powodu przeludnienia, głodu, migracji ze wsi do miast czy sporów o ziemie uprawne. A to wszystko jest z kolei konsekwencją zmian klimatycznych. W Ameryce Łacińskiej skalę migracji trudno oszacować – również dlatego, że migranci klimatyczni szybko przechodzą tam z kraju do kraju, a sytuację pogarszają gwałtowne kryzysy, jak ten w Wenezueli. Z Karaibów ludzie uciekają przed huraganami, z Ameryki Centralnej przed suszą, z Bangladeszu przed powodziami. Łączy ich to, że wszyscy uciekają przed klimatem. Tylko dokąd pójdą?

Kierunek migracji klimatycznych może być jeden – na północ. Czyli do Stanów Zjednoczonych i Europy.

To pytanie zadali sobie dziennikarze „New York Timesa" i ProPublica, niezależnej organizacji medialnej zajmującej się badaniem polityk publicznych i ważnych procesów społecznych. Na potrzeby wspólnie stworzonego reportażu multimedialnego przeanalizowali kilka scenariuszy klimatycznych pod kątem ruchów migracyjnych. Pod uwagę wzięli dostępne już teraz dane o spadku opadów czy zwiększonej częstotliwości zjawiska El Niño, wywołującego mozaikę okresów burzowych i suchych na półkuli zachodniej. Na to nałożyli inne efekty działalności człowieka, choć już niezwiązane z klimatem: politykę migracyjną, przestępczość zorganizowaną, gęstość zaludnienia w miastach i na obszarach przygranicznych. Wyniki ich symulacji nie pozostawiają wątpliwości. W najbliższym ćwierćwieczu co trzeci mieszkaniec naszej planety, w tym ci, którzy jeszcze nie przyszli na świat, będzie zmuszony do życia na terenach, na których będzie to praktycznie niemożliwe z biologicznego punktu widzenia.

Z Karaibów ludzie uciekają przed huraganami, z Ameryki Centralnej przed suszą, z Bangladeszu przed powodziami.

Stanie się tak, ponieważ przy bieżącym tempie zmian klimatycznych znacząco poszerzą się obszary, gdzie ciągle albo przez większość czasu panują ekstremalne warunki pogodowe. Do takich miejsc należą chociażby wielkie pustynie, takie jak Sahara czy Gobi. Dziś pokrywają zaledwie kilka procent całej lądowej powierzchni globu. Do 2070 r., twierdzą naukowcy z Amerykańskiej Akademii Nauk, będzie to już jedna piąta. A potem więcej i więcej. Sprawi to, że nowy, pełen ekstremów klimat będzie wypychał ludzi w kierunku stref bardziej umiarkowanych. Tych z kolei będzie jednak coraz mniej, a ludzka populacja będzie rosła. W dodatku jeśli wziąć pod uwagę dynamikę światowej demografii i fakt, że mieszkańców najszybciej zyskują właśnie kraje Afryki Subsaharyjskiej i Azji Południowej, czyli te, które lada moment mogą stracić najwięcej zamieszkiwanych terenów, kierunek masowych migracji klimatycznych może być tylko jeden – na północ. Czyli do Stanów Zjednoczonych i Europy.

„New York Times" i ProPublica szacują, że w najczarniejszym scenariuszu do USA trafi w ciągu następnych 30 lat aż 30 mln migrantów klimatycznych z samej tylko Ameryki Centralnej. To ok. 10% dzisiejszej populacji kraju. A dodać do tego należy jeszcze przybyszów z innych części świata – Azji czy Ameryki Południowej. Co tak wielka liczba oznacza w praktyce? Wbrew pozorom nie szturmowanie granic czy starcia z policją. Należy pamiętać, że proces ten będzie przebiegać stopniowo, a ofiary będą już po drodze nie tylko wśród ludzi, ale też w infrastrukturze państw, które odegrają rolę ściśle tranzytową.

Migranci klimatyczni nie rzucą się od razu do miejsc docelowych, chociażby z tego względu, że nie dadzą rady, za duże dzielą ich odległości. Ci z Afryki Subsaharyjskiej najpierw będą się zatrzymywać w metropoliach Maghrebu, takich jak Kair, miasto już teraz mające ponad 20 mln mieszkańców. Przybysze z Gwatemali początkowo przystaną w Meksyku, przyśpieszając urbanizację i rozrost miast tego kraju. Dopiero później przyjdzie czas na Europę i Stany Zjednoczone. A nikogo nie zdziwi informacja, że kraje przejściowe tej roli odgrywać nie chcą ani nie mogą. Chociażby z braku zasobów do zarządzania masowymi migracjami. Bardziej prawdopodobny jest scenariusz, w którym również w krajach tranzytowych pogorszy się jakość usług publicznych, niż taki, że migrantów uda się płynnie zaadaptować do życia w tamtejszych społeczeństwach.

W skali globu migracje klimatyczne będą miały naprawdę charakter masowy. Bank Światowy w ramach swojego projektu „Groundswell" wyliczył, że w ciągu najbliższych 30 lat ojczyznę z powodu złych warunków klimatycznych opuści 140 mln osób w Azji, Afryce i Ameryce Południowej. Wbrew pozorom nie oznacza to depopulacji tych regionów, bo ludzi tam będzie przybywać. Etiopia, już teraz licząca 109 mln mieszkańców, do 2050 r. według prognoz powiększy swoją populację o 85%. Będzie nas coraz więcej, a terenów do zamieszkania coraz mniej. Świat stanie się ciasny. Nie oznacza to, że kompletnie niezamieszkiwalny. Wciąż mamy bowiem ogromne rezerwy chociażby jedzenia, stać nas na wyżywienie wszystkich na planecie. Coraz poważniej musimy jednak myśleć o współistnieniu ras i kultur na tych samych obszarach. Chociażby dlatego, że nie mamy innego wyjścia. ■

eprasa.pl 1059d9d2a5

Jak władze sanacyjne uciekały z Polski

Już dwa dni przed wojną Rydz-Śmigły wydał rozkaz wywiezienia jego mebli i antyków pod Nowy Sącz, skąd na początku września trafiły do Rumunii

Bohdan Piętka

Opuszczenie terytorium Polski przez władze II RP we wrześniu 1939 r. było jednym z najdramatyczniejszych epizodów wojny obronnej. W oczach większości społeczeństwa była to haniebna ucieczka, a nawet zdrada. Ocena ta wynikała z szoku i zaskoczenia, jakim stała się klęska wrześniowa. Naród polski był psychicznie przygotowany na zwycięstwo, które obiecywała mu propaganda sanacyjna. W myśl hasła „silni, zwarci, gotowi" sanacja wpajała społeczeństwu, że Polska ma silną armię oraz silnych i pewnych sojuszników. Bolesna konfrontacja tej propagandy z rzeczywistością we wrześniu 1939 r. zaważyła na politycznej i historycznej ocenie obozu sanacyjnego. Najbardziej jednak na tej ocenie zaważył styl, w jakim ówczesne władze opuściły kraj.

Walczący kraj porzuciły władze, które narodowi obiecywały zwycięstwo.

Późniejsi obrońcy sanacji argumentowali, że władze II RP musiały opuścić terytorium państwa zaatakowanego od zachodu, a później od wschodu. Gdyby bowiem prezydent, premier czy wódz naczelny dostali się do niewoli niemieckiej lub radzieckiej, mogliby zostać zmuszeni do podpisania aktu kapitulacji. To zaś byłaby dla Polski nieodwracalna katastrofa polityczna. Natomiast opuszczenie kraju zajmowanego przez agresorów dawało szansę kontynuacji wojny u boku sojuszników na Zachodzie, a więc także kontynuacji polskiej państwowości. Polityczna zasadność decyzji o ewakuacji władz II RP – w świetle takiej argumentacji – nie budzi zatem wątpliwości.

Trafność takiej obrony władz sanacyjnych osłabią jednak dwa fakty. *Exodus* w kierunku południowo-wschodnim rozpoczął się już w pierwszym tygodniu wojny, natomiast decyzja o opuszczeniu kraju zapadła w dniach 9-10 września, a więc tydzień przed agresją radziecką. Ponadto walczący kraj porzuciły władze, które narodowi obiecywały zwycięstwo, które publicznie mówiły o mocarstwowości i potężnej armii. Ich ewakuacja przebiegała w pośpiechu i nieładzie oraz w tajemnicy przed społeczeństwem.

Przestraszony Mościcki

Agresja niemiecka, która rozpoczęła się we wczesnych godzinach porannych 1 września 1939 r., szybko zweryfikowała mit o Polsce mocarstwowej. Działania wojenne toczyły się przy miażdżącej przewadze wroga. Dominacja lotnictwa niemieckiego w powietrzu, koncentracja wojsk na wybranych kierunkach operacyjnych i zastosowana przez nie taktyka blitzkriegu (wojny błyskawicznej) przesądziły o polskiej klęsce jeszcze w fazie bitwy granicznej (1-3 września). Szybkość, z jaką siły niemieckie zbliżały się do Warszawy, zaskoczyła nawet największych pesymistów w obozie władzy. Dlatego konieczność ewakuacji najwyższych władz cywilnych i wojskowych podnoszono już pierwszego dnia wojny, a ostateczną decyzję podjęto po kilku dniach.

Ewakuacja przebiegała w pośpiechu i nieładzie oraz w tajemnicy przed społeczeństwem.

Zanim jednak do tego doszło, jako pierwszy opuścił stolicę prezydent Ignacy Mościcki. Stało się to już 1 września, po pierwszym bombardowaniu niemieckim Warszawy (w tym Zamku Królewskiego – siedziby prezydenta RP) i po wydaniu przez prezydenta orędzia, w którym napisał, że cały naród skupiony wokół wodza naczelnego „pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa". Wieczorem Mościcki potajemnie przeniósł się do podwarszawskiej miejscowości Błota, na prawym brzegu Wisły (obecnie część stołecznej dzielnicy Wawer), gdzie zamieszkał w willi jednego ze znajomych.

Takie zachowanie ostro ocenił po latach prawicowy publicysta Stanisław Cat-Mackiewicz, który w jednym z artykułów pytał, czy obowiązkiem prezydenta nie było wtedy znaleźć się pomiędzy tłumami warszawiaków, którzy na ulicach (wobec braku miejsca w kościołach) modlili się o zwycięstwo, i tym samym dać przykład władzom i społeczeństwu.

Przygotowania do ewakuacji najwyższych władz państwowych zarządził 3 września naczelny wódz, marsz. Edward Rydz-Śmigły. Tego dnia na jego polecenie zaczęto palić dokumenty państwowe. Na ulicach Warszawy manifestowały wówczas

eprasa.pl 1059d9d2a5

Wrzesień 1939 r., porzucone samochody na drodze przed Zaleszczykami.

tłumy rozentuzjazmowane wiadomością o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Francję i Wielką Brytanię. Cieszących się warszawiaków pozdrawiał z balkonu ambasady brytyjskiej minister spraw zagranicznych Józef Beck. Natomiast prorządowa prasa nieustannie podawała kłamliwe informacje o błyskotliwych polskich zwycięstwach na froncie wojny z Niemcami (w tym o bombardowaniach Berlina przez polskie bombowce i polskiej kontrofensywie w Prusach Wschodnich). Rzekome wiadomości w takim stylu – przygotowane przez aparat propagandy państwowej prawdopodobnie przed wybuchem wojny – gazety podawały jeszcze 15 września.

Pośpiech i chaos

6 września minister propagandy Michał Grażyński przez radio wezwał społeczeństwo do „wstrzymania się od niepotrzebnej, a nawet szkodliwej ewakuacji z miejsc zamieszkania". Tego samego 6 września marszałek Rydz-Śmigły postanowił udać się ze swoim dowództwem i sztabem do Brześcia nad Bugiem. Potajemna ewakuacja rządu rozpoczęła się dwa dni wcześniej.

Jako pierwsze przystąpiły do niej 4 września Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Prezydium Rady Ministrów. Następnie kancelarie Sejmu i Senatu, Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz pozostałe ministerstwa i urzędy centralne. Ewakuowano też prezydenta Mościckiego i jego kancelarię. Mimo że plan takiej ewakuacji był już przygotowany przed wojną, przebiegała ona w pośpiechu i chaosie. Warszawy nie opuścił tylko jej komisaryczny prezydent Stefan Starzyński, chociaż miał jednoznaczny rozkaz Naczelnego Dowództwa w tej sprawie. Przystąpił do organizowania cywilnej obrony miasta oraz Straży Obywatelskiej, która zajęła miejsce policji, także ewakuowanej ze stolicy. Na propozycję odlotu z Warszawy samolotem przysłanym przez marsz. Rydza-Śmigłego prezydent Starzyński odpowiedział gen. Juliuszowi Rómmlowi: „Tak jak pan dzieli los swoich żołnierzy – tak i ja pozostanę wśród swoich". Była to postawa wyjątkowa wśród wyższych urzędników sanacyjnych we wrześniu 1939 r.

Rydz-Śmigły wyjechał z Warszawy do Brześcia potajemnie nocą z 6 na 7 września. Prawdopodobnie zdawał już sobie sprawę, że wojna jest przegrana. Mając jeszcze nadzieję na pomoc sojuszników zachodnich, polskie dowództwo opracowało wariant tzw. przedmościa rumuńskiego, czyli obrony na Kresach Południowo-Wschodnich. Plan ten okazał się nierealny, ale w jego myśl najwyższe władze cywilne i wojskowe konsekwentnie podążały w kierunku granicy polsko-rumuńskiej.

W związku z koncepcją przedmościa rumuńskiego Rydz-Śmigły polecił 6 września wyjście z Warszawy i udanie się na wschód młodym mężczyznom zdolnym do walki. Apel taki przekazał przez radio w imieniu marszałka płk Roman Umiastowski – szef propagandy w Sztabie Naczelnego Wodza. Wtedy do świadomości mieszkańców stolicy dotarło, że Polska jednak nie wygrywa wojny. Po apelu Umiastowskiego Warszawę opuściło co najmniej 200 tys. ludzi. Przyczyniło się to do wzrostu nastrojów paniki i blokady dróg prowadzących na wschód.

Wyjeżdżając do Brześcia, marsz. Rydz-Śmigły utracił łączność polową z walczącymi wojskami, ponieważ w pośpiechu i bałaganie jego sztabowcy nie zabrali koniecznych do komunikacji wojskowej kodów i szyfrów. Dlatego dowódca Armii „Poznań", gen. Tadeusz Kutrzeba, żeby uzyskać zgodę wodza naczelnego na rozpoczęcie operacji zaczepnej, która przeszła do historii jako bitwa nad Bzurą (9-22 września), musiał do niego zadzwonić z poczty głównej w Łodzi. Przez to treść rozmowy od razu poznał wywiad niemiecki i jeszcze przed rozpoczęciem bitwy gen. Kutrzeba utracił tak ważny atut militarny jak efekt zaskoczenia.

Kolejnymi etapami ewakuacji Naczelnego Dowództwa oraz najwyższych władz cywilnych były: Brześć (7-11 września), Włodzimierz Wołyński (12-13 września) oraz Kołomyja, Kniaże, Kosów, Kuty, Rożnów

Most w Zaleszczykach obrósł legendą, choć był tam tylko most kolejowy, a granicę przekroczono samochodami na moście drogowym.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Drogi zostały zablokowane przez podążających na wschód uciekinierów. Nz. kolumna samochodów z pracownikami Poczty Polskiej.

i Załucze na Pokuciu (14-17 września). Kwestia przeniesienia się władz RP na terytorium Francji została podniesiona po raz pierwszy 9 września 1939 r. w czasie rozmowy ambasadora Francji Léona Noëla z marsz. Rydzem-Śmigłym i ministrem Beckiem. Ambasador Noël, sugerując taką możliwość, powołał się na precedens belgijski z 1914 r., kiedy to władze Belgii pod naporem ofensywy niemieckiej udały się do Francji.

Ostatni etap

14 września wódz naczelny przeniósł się do Kołomyi – odległej od granicy z Rumunią tylko o 40 km. Jeszcze bliżej granicy z Rumunią, bo w odległym od niej o 12 km Kosowie, ulokował się premier Felicjan Sławoj-Składkowski z prezydium rządu oraz resortami spraw wewnętrznych, spraw wojskowych, propagandy i skarbu. W pobliskim Rożnowie umieszczono ministerstwa komunikacji, oświaty, sprawiedliwości i poczty. Natomiast w Kniażach koło Śniatyna – położonych 30 km na wschód od Kosowa, ale przy granicy z Rumunią – znalazły miejsce ministerstwa opieki społecznej, przemysłu i handlu, rolnictwa, kancelarie Sejmu i Senatu, Najwyższa Izba Kontroli i Najwyższy Trybunał Administracyjny. Tuż przy samej granicy znaleźli się też prezydent Mościcki (w Załuczu koło Śniatyna) i minister Beck (w Kutach nad Czeremoszem). Taka dyslokacja najwyższych władz cywilnych i wojskowych na przylegającym do granicy rumuńskiej Pokuciu świadczy o tym, że kwestia opuszczenia kraju została przesądzona jeszcze przed agresją radziecką z 17 września 1939 r. Decyzja w tej sprawie zapadła najprawdopodobniej już w Brześciu, w dniach 9-10 września.

Wątpliwości co do zamiaru porzucenia przez Naczelne Dowództwo walczącego kraju nie miał płk Stanisław Kopański (późniejszy generał, bohater spod Tobruku), który 14 września w rozmowie z pułkownikami Józefem Jakliczem i Tadeuszem Klimeckim wyraził zaniepokojenie powstałą sytuacją. Kopański i podlegli mu oficerowie Oddziału III (operacyjnego) Sztabu Naczelnego Wodza uważali, że honor wojskowy nakazuje im przedostać się do walczących oddziałów, a nie chronić na obcym terytorium.

Wyjeżdżając do Brześcia, Rydz-Śmigły utracił łączność polową z walczącymi wojskami, bo w pośpiechu sztabowcy nie zabrali kodów i szyfrów.

Wejście Armii Czerwonej na wschodnie ziemie II RP spowodowało, że dalszy opór był już pozbawiony większego sensu. Nikt jednak w obozie władzy nie był świadomy zbliżającej się od wschodu katastrofy, nikt też nie zauważył zapowiadających ją oznak – tzn. gwałtownej kampanii antypolskiej, jaka rozpętała się w mediach radzieckich 14 września. Propaganda radziecka zaczęła wtedy głosić, że Polska poniosła całkowitą klęskę, że państwo rozpadło się. Tezy te powtórzył 17 września Wiaczesław Mołotow, zarówno w nocie wręczonej przez jego zastępcę ambasadorowi Wacławowi Grzybowskiemu, jak i uzasadniając w przemówieniu radiowym agresję ZSRR na Polskę.

Ostatni akt ewakuacji władz polskich rozegrał się po południu 17 września. Decyzja o przekroczeniu granicy polsko-rumuńskiej zapadła około godz. 16 na naradzie marsz. Rydza-Śmigłego i rządu w Kutach nad Czeremoszem. Początkowo przyjęto koncepcję, że do Rumunii przejdą prezydent i rząd, a wódz naczelny – dopiero kiedy do Kut podejdą oddziały radzieckie. Wtedy jednak Wacław Żyborski, dyrektor Departamentu Politycznego MSW, otrzymał przez telefon informację od osoby podającej się za starostę śniatyńskiego, że Armia Czerwona zbliża się już do Śniatyna, odległego od Kut o ok. 40 km. Po tej informacji podjęto decyzję, że wraz z prezydentem i rządem zostanie ewakuowany do Rumunii także Rydz-Śmigły. Nigdy nie zweryfikowano, kto tak naprawdę zadzwonił wtedy do Żyborskiego.

Wiadomość o rzekomym zbliżaniu się Armii Czerwonej spowodowała, że prezydent Mościcki pod osłoną niepełnej kompanii wojska przejechał z Załucza do Kut. Podczas ostatniej narady z ministrem Beckiem, przygotowując orędzie, powiedział: „To już jasne, że idziemy w sieć! Ale innego wyjścia nie widzę: walczyć nie mamy czym, a poddać się nie możemy”. Wieczorem 17 września Mościcki wraz z rządem przekroczył

FOT. DOMENA PUBLICZNA, NAC

eprasa.pl 1059d9d2a5

granicę polsko-rumuńską, Rydz-Śmigły zaś po północy, 18 września. Do Rumunii ewakuowano następnie 30 tys. żołnierzy, a na Węgry 40 tys.

Legenda Zaleszczyk

W okresie PRL twierdzono, że najwyżsi dygnitarze II RP przekroczyli granicę polsko-rumuńską na moście w Zaleszczykach nad Dniestrem – znajdujących się ponad 90 km na wschód od Kut nad Czeremoszem. Most w Zaleszczykach obrósł wtedy prawdziwą legendą. W rzeczywistości w Zaleszczykach był tylko most kolejowy, a granicę przekroczono samochodami na moście drogowym w Kutach. Armia Czerwona weszła do tej miejscowości dopiero 21 września. Moskwa zrobiła to celowo, żeby przedstawić w propagandzie pośpieszną ewakuację władz sanacyjnych jako ich paniczną ucieczkę z walczącego kraju.

Drogą z Kosowa do Kut, w ślad za dygnitarzami cywilnymi i wojskowymi, podążali oficerowie sztabowi oraz urzędnicy ministerstw z rodzinami, wreszcie wycofujący się z frontu żołnierze. Przewieziono tamtędy również skarbiec wawelski i transport z pożyczką złota na wojnę. Droga ta została całkowicie zatarasowana samochodami. Dystans ok. 12 km pokonywano w 12 godzin. Bałagan i dramat tej ewakuacji oddał literacko Emil Zegadłowicz w ostatnim utworze, „Domku z kart. Dramacie w trzech aktach".

Najwyższe władze cywilne i wojskowe II RP przekroczyły granicę polsko-rumuńską w nocy z 17 na 18 września 1939 r., ale jako pierwsze przekroczyły tę granicę, już na początku września, meble i antyki marsz. Rydza-Śmigłego. 30 sierpnia kpt. Gustaw Stachowicz (oficer ds. administracji Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych) otrzymał dyspozycje w sprawie wywiezienia majątku ruchomego wodza naczelnego pod Nowy Sącz, skąd tuż po wybuchu wojny majątek ten trafił do Rumunii. Czy to znaczy, że dwa dni przed wybuchem wojny marszałek nie wierzył w zapowiadane narodowi zwycięstwo?

„To nie koniec Polski, ale koniec pewnej koncepcji i pewnej Polski. Niemniej przeto chwila jest tragiczna. Zachowanie się rządu haniebne", stwierdził wówczas gen. Władysław Sikorski. Tak odczuwał i myślał nie tylko on. W opinii dużej części społeczeństwa ucieczka z kraju wodza naczelnego oraz najwyższych władz państwowych potwierdzała rozkład elit sanacyjnych.

Władzom sanacyjnym nie było już dane kontynuować wojny z Niemcami. Na ich internowanie w Rumunii z jednej strony wpłynęły naciski niemieckie i radzieckie, a z drugiej strony francuskie, które były inspirowane przez opozycję antysanacyjną skupioną wokół gen. Sikorskiego. Zarówno po stronie polskiej opozycji, jak i po stronie rządu francuskiego uznano, że nadarzyła się świetna okazja do odsunięcia piłsudczyków od władzy, zwłaszcza nielubianego w Paryżu ministra Becka.

Najpierw opuścił stolicę prezydent Mościcki, już 1 września, po pierwszym jej bombardowaniu.

Władze francuskie ponadto chciały uniknąć spotkania z Beckiem i Rydzem-Śmigłym, żeby nie tłumaczyć się z niewykonania zobowiązań sojuszniczych. Misję tworzenia polskich władz i sił zbrojnych we Francji podjął gen. Sikorski – będący w opozycji do sanacji i uchodzący z frankofila.

Klęska wrześniowa nie oznaczała końca Polski, ale doprowadziła do katastrofy politycznej obozu sanacyjnego. Na marsz. Rydzu-Śmigłym, prezydencie Mościckim, premierze Sławoju-Składkowskim i ministrze Becku spoczęła nie tylko odpowiedzialność polityczna i wojskowa za klęskę wrześniową. Wizerunek czołowych polityków sanacyjnych zdruzgotała przede wszystkim ich pośpieszna i chaotyczna ucieczka z walczącego kraju. To w znaczący sposób utrudniłoby im kontynuację misji politycznej, nawet gdyby nie doszło do ich internowania w Rumunii.

Bohdan Piętka

ARCHIWALNE TAJEMNICE

NIEZNANE DOKUMENTY,
KTÓRE OBNAŻAJĄ RZĄDY SANACYJNEJ ELITY

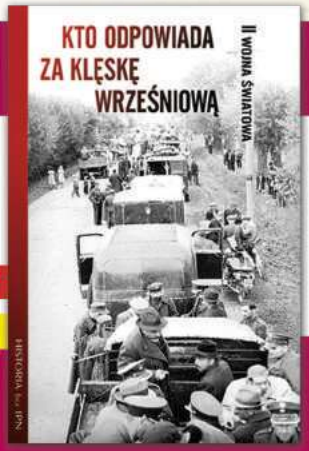

45 zł

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłat 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Iwicka 8 drży w posadach

Śmierć Stalina nie mieściła się ludziom w głowach

Tomasz Jastrun

Tomasz Jastrun z ojcem, 1958 r.

Wybitnemu pisarzowi i naszemu Autorowi
Tomaszowi Jastrunowi
z okazji pięknego Jubileuszu życzymy dobrego zdrowia i wielu literackich przygód.
Nasi czytelnicy czekają na nowe felietony i kolejne książki.
Jerzy Domański i zespół PRZEGLĄDU

Irena Wodzińska stanęła na balkonie i powiedziała „dzień dobry" do Pawła Hertza, który też stał na balkonie, 10 m na prawo. W tej samej chwili oboje ujrzeli po raz pierwszy, że już widać fragment wznoszonego Pałacu Kultury. Musiały to być okolice marca 1953, bo wtedy właśnie budowa sięgnęła 95 m. O wiele szybciej i wyżej urósł kult Stalina. Do tego stopnia, że jego śmierć nie mieściła się ludziom w głowach.

Bronisława Przybosiowa zajrzała tego dnia do Marii Dąbrowskiej, która mieszkała na Polnej. Był czwartek, 5 marca 1953. Późne popołudnie. (…) Z półotwartego radia sączyła się muzyka przerywana komunikatami o stanie zdrowia Stalina. Pani Maria wyjęła swoje słynne malinowe konfitury. Była poruszona, pochłonięta i zatroskana zdrowiem Stalina, a przy okazji zmartwiona Polską. Jadły te konfitury, których smak kontrastował z grozą bijącą z radia. „Co będzie, jeśli On umrze, co będzie z Polską?". Dąbrowska przecież uważała Stalina za zbrodniarza, a system za zbrodniczy, ale nie była tego do końca pewna. (…) Co jakiś czas agencja TASS podawała, jaki jest puls chorego, jakby chodziło o puls świata: „Puls Stalina wynosi 120, a rytm oddechu 38 na minutę".

Przybosiowa nie miała złudzeń co do Stalina, ale pamiętała, że też była poruszona. (…) Potem ruszyła na Iwicką odwiedzić Jastrunów i u nich przenocować. Tam też szemrało włączone radio, ale nastrój panował odmienny. Gospodarz był radośnie podniecony. „Kiedy ten potwór umrze?", powtarzał. Znała ojca od 1935 r., ale nie pamiętała go tak radosnego i ożywionego jak wtedy.

Moja matka zajechała nieco wcześniej na ulicę Foksal, do mieszkania Haliny Laskowskiej, która obchodziła imieniny. Przyniosła jej konwalie. Wspominała w rozmowie ze mną: – Halszka robi kawę, otwarte radio, a tu wiadomość o śmierci Stalina. Halszka cieszyła się, nawet śmiała.

Laskowska należała w środowisku rodziców do nielicznych osób, które wszystko wiedziały i nie bały się rozmawiać ze znajomymi. Gdy kiedyś z nią rozmawiałem o tamtym dniu, przypomniała sobie, że wtedy nareszcie w radiu puszczano dużo dobrej muzyki poważnej. Józef Hen, który nie wierzył w wodza ludzkości, opowiadał mi, że odczuł to podobnie: – Nadawano dobrą muzykę klasyczną, czego do tej pory nie robiono w radiu. Pamiętam radość jej słuchania. Można powiedzieć, że nastąpiło muzyczne przygotowanie do końca świata, który miał nastąpić.

Moja mama i jej przyjaciółka myślały z niepokojem: „co dalej?". Ta myśl pojawiła się pierwsza i stała najpowszechniejszą z tych, które przychodziły do głowy na wieść o śmierci Stalina, zabarwiona czasami smutkiem, czasami nadzieją. Matka natychmiast zadzwoniła do ojca. „No tak, stało się", powiedział i szybko, w popłochu, odłożył słuchawkę.

Bronisława Przybosiowa pamiętała ten moment: – Nagle jest! Komunikat! Umarł! – Była godzina 21.50 czasu moskiewskiego, w Warszawie zegary pokazywały 17.50. – I wtedy Mieczysław odtańczył w kuchni taniec radości.

O tak, zdarzało się to mojemu ojcu, choć rzadko, z przytupami i z jedną wzniesioną ręką. Kiedy mama wróciła na Iwicką, zastała w mieszkaniu kilku podekscytowanych sąsiadów. Była Przybosiowa, przyszli Julek Żuławski, Seweryn Pollak, Adolf Rudnicki.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Naradzali się, powtarzając: „co to będzie?”. Ktoś nawet zapytał, czy zaczną wywozić. Ci ludzie byli przyjaciółmi, ale nikt nie powiedział po prostu: „umarł zbrodniarz”. Czuli, że odszedł wielki wódz, który wygrał wojnę, lecz co dalej, bez niego?

„Był to człowiek nadludzkiego formatu”, zapisała w swoim dzienniku sceptyczna z natury, w zasadzie „niewierząca” pisarka Anna Kowalska, wielka przyjaciółka i kochanka Dąbrowskiej.

Zofia Nałkowska 4 marca zanotowała w „Dziennikach”: „W Klubie na obiedzie wiadomość o chorobie Stalina. Wstrząsające wrażenie, jakby wstrząśniętego w posadzie świata”. W dzień potem napisała: „Z radia głos o zgonie. Wielkie wrażenie” (…).

Flora Bieńkowska, pisarka, żona Władysława Bieńkowskiego (od 1955 ministra oświaty, a potem dysydenta), matka mojego kolegi, malarza Andrzeja Bieńkowskiego, opowiadała mi o tym wydarzeniu w swoim luksusowym mieszkaniu dygnitarskiego domu w alei Szucha. Zawsze była ekscentryczną osobą, więc i opowieść jest taka:

– Najpierw mówili, że chory, chory… i nagle w radio mówią, że umarł. Wielka sprawa! Zdumienie. Rzecz szalona! Było zimno w pokoju, więc radio przenieśliśmy do kuchni, słuchamy, a tam o Stalinie mówi Maria Dąbrowska, głęboko przejęta. Nazajutrz mój synek, wtedy pięcioletni Andrzejek, wyleciał na podwórko z kijem, żeby stać na warcie. Potem ja wychodzę. Dzieciaki maszerują z kijami, na czele Andrzej z czerwonym nosem, bo było zimno. Idę ulicą, tu wyją syreny fabryk. Staję na baczność. W pobliżu stał jakiś człowiek. Kiedy ruszyłam, on przeszedł obok, a idąc, pochylił się i powiedział: „Jestem Różański”.

Adolf Rudnicki w dzienniku zanotował słowa jakiegoś znajomego Jacka: „Płakałem z powodu śmierci Stalina. […] Płakałem więcej niż nad śmiercią ojca. Straciłem więcej niż ojca. Straciłem kogoś, komu ufałem”. Później Rudnicki zadał złośliwie pytanie: „Jak Iwaszkiewicz przyjął wiadomość o śmierci Stalina?”. Jednak „Dziennik” Iwaszkiewicza z roku 1953 zaczyna się dopiero w kwietniu, pisarz przemilcza więc śmierć Stalina. (…)

W Warszawie, w całej Polsce zawyły syreny. Jedni tańczyli, inni płakali. Mała Ewa Mierzwa z Iwickiej, spod szesnastki, zapytała babcię, co się stało. – Babcia nic nie mówiła, tylko okropnie płakała.

Wokół jak szalone wyły syreny i była pewna, że to wojna. U dozorców nie było żałoby, Badowski tylko myślał intensywniej o swoich działkach: zabiorą czy nie?

Pan Wacek, kierowca ZLP, wspominał, że Putrament płakał, gdy go wtedy wiózł. On sam nie rozpaczał. (…) Wcale nie czuł żalu. Sam nie umie powiedzieć, co wtedy wiedział o zbrodniach, ale żalu w nim nie było.

W naszym mieszkaniu rozdzwonił się telefon. Najpierw z radia, potem z dzienników, żeby Jastrun coś powiedział i napisał o śmierci Stalina. Z radia dzwoniła pani Wielowiejska.

W Warszawie, w całej Polsce zawyły syreny. Jedni tańczyli, inni płakali.

„Jestem zbyt wzruszony, by mówić”, powiedział ojciec, a słuchawka chyba naprawdę trzepotała mu w dłoni. I dla radia nie dał wywiadu. Po tej przygodzie telefon został wyłączony. Gdy zapadła błoga cisza i wydawało się, że jest po wszystkim, rozległ się przerażający dźwięk dzwonka do drzwi. W progu stało dwóch panów – bodaj zastępca redaktora naczelnego „Życia Warszawy” i jakiś dziennikarz. Powiedzieli, że nie mogą się dodzwonić, więc przyjechali po tekst o Stalinie. Mama pamiętała, że ojciec zostawił ich u siebie w gabinecie i niezwykle wzburzony przybiegł do kuchni. „Co ja mam robić, co robić?”, rozpaczał. Napisał jednak artykuł, bał się odmówić. – Zgłupieliśmy – wspominała po latach matka. – Powinniśmy wtedy gdzieś wyjechać.

Zaczęła się akcja pisania wierszy o Największym Humaniście naszych czasów. Zbierał je do antologii nasz sąsiad Seweryn Pollak. Tu jednak ojciec okazał się twardy i nie napisał wiersza. Brzechwa, jak się potem okazało, przerobił swój przedwojenny wiersz o Piłsudskim. (…)

Stefan Kisielewski, pisarz i kompozytor, był w redakcji katolickiego „Tygodnika Powszechnego”, który jak na owe czasy miał niezwykłą autonomię. Opowiadał mi, że nigdy nie miał złudzeń: – Słyszałem przez radio, że ciągle grali fugi i chorały Bacha, coś, cholera, dziwnego. Stalin umarł. Umarł to umarł. Myśmy byli zaabsorbowani tym, że w „Tygodniku Powszechnym” każą nam napisać artykuł, a podaliśmy tylko wiadomość. Mazur, który zajmował się wtedy religią, zażądał, żeby napisać artykuł o roli Stalina. Ciągnęło się to parę tygodni, no i zamknęli „Tygodnik”. Wydawało się, że zapadła zupełna ciemność. (…)

Irena Wodzińska nie pamiętała reakcji domu na śmierć Stalina, ale nie zapomniała szaleństwa w radiu, gdzie pracowała. Wysłano ją na Pragę, by nagrała program o rozpaczy mieszkańców tej dzielnicy. Nic się jednak tam nie działo, zupełnie nic. Ludzie zachowywali się, jakby nic się nie stało. Sama pamiętała swój niepokój o to, co będzie jutro.

Maria Szymańska nie mieszkała jeszcze wtedy na Iwickiej, wprowadzi się tam wkrótce. Mieszkała tam już jej matka Janina, która wprowadziła się do mieszkania po Daniłowiczu. Była wdową, dwójkę dzieci ulokowała u sióstr pod Warszawą. Siostry, pomału pacyfikowane przez władze, miały narzuconych nauczycieli i cywilnego dyrektora. W dniu śmierci Stalina, by uczcić jego pamięć, zarządzono pięć minut ciszy. Marysia miała wtedy 11 lat, niewiele rozumiała i sama nie wie, czy na poważnie, czy żartem zapytała: „A jeśli ktoś będzie wtedy w toalecie, to co ma zrobić?”. W szkole Ewy Żuławskiej na pobliskiej Parkowej była żałoba, wszyscy płakali. Portrety Stalina zostały przepasane czarnymi wstążkami. Klasy wyszły na korytarz i stały przez pięć minut w ciszy. Ewa szła potem z mamą ze szkoły na Iwicką i zanosiła się płaczem.

Artur Sandauer dowiedział się o śmierci Stalina u siebie w mieszkaniu. Opowiadał mi, że położył się na kanapie i powiedział do żony: „Koniec epoki”. Pamiętał rozmowę z jakąś kobietą (ale nie z żoną), która przez trzy godziny przekonywała go, że umarł największy człowiek naszych czasów.

– Nie przekonała mnie – mówił po latach. – Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że umarł jeden z największych zbrodniarzy naszych czasów. Ja miałem inny stosunek do stalinizmu, bo przeżyłem czasy

eprasa.pl 1059d9d2a5

lwowskie, ukrywałem się na strychu, potem jeździłem na radzieckich czołgach.

Jego żona Erna Rosenstein miała poczucie, że stało się coś wielkiego, jakby wybuchła wielka burza w przyrodzie i nie było wiadomo, co będzie, gdy się ona skończy. Przyznała, że widzi w tym odczuciu element religijny.

Stanisław Wyganowski odwiedził Żuławskich w dzień po śmierci Stalina. Z gości pamiętał Edzia Trojanowskiego i Mariana Brandysa. Odbywała się tradycyjna „wódeczka", potem zwykle szło się na piechotę do Kameralnej. Edzio Trojanowski, znany dowcipniś, odważył się nawet żartować ze śmierci Stalina. A przecież ten właściciel baru Konik, przed wojną sprinter, potem redaktor „Przeglądu Sportowego" – jak określił go Żuławski, „krótka sława na krótkich dystansach" – nie był znany z odwagi. Podczas tej „wódeczki" Żuławski nie ukrywał zadowolenia, że szlag trafił Stalina. Wtedy Marian Brandys oburzył się: „Jak wy możecie tak mówić, stała się jednak wielka rzecz". Wyganowski pamiętał tamto zgorszenie Brandysa: – Wyglądał na poruszonego do szpiku kości – wspominał. Sam Marian Brandys, kiedy go pytałem, nie pamiętał tej sceny, ale potwierdził swoją pewność i strach, że wybuchnie wojna.

Rodzice, Dolina Strążyska, 1948 r.

W roku 1953 na żałobnym spotkaniu ojciec dostał swojego ataku śmiechu.

Joanna Pollakówna przyznała, że okropnie płakała po śmierci Stalina. Należała do ZMP. Nawet krawcy z lwickiej 6 wspominali, że gdy umarł, to córka Pollaka miała powiedzieć: „Już lepiej, by umarł mój ojciec". Jej ojciec, Seweryn Pollak, tak osobliwie wyróżniony, przyznał, że czuł wtedy żal. Uważał, że Stalin był wielkim człowiekiem, pokonał przecież Hitlera, i czuł, że teraz coś musi się zmienić, nie wiedział jednak co. (…)

Moi rodzice byli na spotkaniu żałobnym w sali Związku Literatów. Przemawiał Tuwim i płakał. Ten płacz musiał budzić zdumienie. Ojciec z mamą odwiedzili Tuwima w Aninie kilka tygodni wcześniej. Obaj wstrząśnięci, rozmawiali szeptem o moskiewskim procesie żydowskich lekarzy, którzy mieli spiskować na życie wodza.

Bardziej jeszcze musiała się dziwić Alicja Sternowa. Opowiadała mi, jak siedziała ze Stefanią Tuwimową i z Anatolem Sternem w Mazowii na Ordynackiej: – Wszedł Tuwim, radosny, nachylił się i powiedział szeptem: „Słuchajcie, powiem wam teraz coś strasznego, tylko ty – zwrócił się do mnie – nie rób sobie jak zwykle dowcipów. Zróbcie poważne miny: Stalin umarł". (…)

Sternowie mieli groźną przygodę związaną ze śmiercią Stalina. Poszli na przyjęcie do pani Druckiej, kobiety z dobrej rodziny, mającej ambicje, by urządzać spotkania ze znakomitymi gośćmi. Mieszkała na Narbutta, blisko więzienia na Rakowieckiej. – O tych przyjęciach różnie mówiono, ostrożni tam nie chodzili – opowiadała Sternowa. – Był wtedy na obiedzie niejaki Robakiewicz, ziemianin z pochodzenia. Wstał i powiedział: „A ja, proszę państwa, piję na pohybel Stalina!". Wszyscy najpierw znieruchomieli, a potem rzucili się do drzwi. My z Anatolem pierwsi, ja czasami bywam odważna, ale nie tym razem. I wszystkich wymiotło.

Wróćmy jednak do żałobnego spotkania w sali Związku Literatów Polskich. Nie tylko Tuwim płakał, chociaż wcześniej się cieszył. Wygłaszano kwieciste peany na cześć zmarłego. Kiedyś ojciec zwierzał mi się: – Dla mnie fatalna była okoliczność, że jak coś mnie śmieszyło, nie mogłem powstrzymać się od głośnego śmiechu. Niekiedy mój śmiech stawał się ujściem dla zdenerwowania lub zastępczym wyrazem trwogi. (…)

Tak właśnie stanie się w roku 1953 na żałobnym spotkaniu. Ojciec dostał swojego ataku śmiechu. Nie mógł się powstrzymać, zakrywał twarz rękami, dusił śmiech, jak dusi się ogień, ale on był silniejszy. Przerażona matka wyprowadziła go z sali. Wybiegła za nimi Janina Broniewska: „Dlaczego w takim momencie wychodzicie?", spytała. Ojciec nadal walczył z płomieniem swojego śmiechu, próbując stłumić go dłońmi. „Mąż tak się wzruszył, że źle się poczuł, musieliśmy wyjść", tłumaczyła go mama. (…)

Skala szaleństwa po śmierci Stalina sięgnęła zenitu. Prof. Stefan Żółkiewski w „Życiu Warszawy" napisał: „Śmierć zabrała od nas największego geniusza naukowego". Panegiryczne wiersze o Stalinie pisali prawie wszyscy. Marian Brandys pamiętał, jak kiedyś mój ojciec opowiadał mu, że w tamtych dniach przyszedł do niego Artur Sandauer. I tata, który potem nie znosił Sandauera, popełnił jeden z największych błędów swojego życia. Sandauer napisał wiersz o Stalinie i chciał go drukować. Ojciec mu odradził. – Gdyby ten wiersz wydrukował, nie mógłby potem pisać książek i artykułów, w których występuje jako jedyny sprawiedliwy w Sodomie – powiedział mi wtedy Marian Brandys.

Tak zwani prości ludzie na ogół cieszyli się lub kpili z tej monstrualnej żałoby. (…) Rzeczywistości żałoby i kpiny trwały obok siebie, oddzielone ścianą, która jednak zaraz zacznie pękać.

Fragmenty książki Tomasza Jastruna *Dom pisarzy w czasach zarazy*, Czarna Owca, Warszawa 2020

FOT. Z ARCHIWUM TOMASZA JASTRUNA

eprasa.pl 1059d9d2a5

Oko w oko Tomasz Jastrun

Jak pohulać?

Mamy kręcić mały dokument o domu rodzinnym, o którym napisałem książkę. Jestem wcześniej, więc przechadzka po okolicy. Ileż wspomnień, moje dzieciństwo, moja młodość, poczucie, że zmieniło się wszystko i nic. Tak jest zawsze przy spotkaniu z przeszłością. Niby przystaje to, co jest, do tego, co było, ale te dwie warstwy są odklejone. Wchodzę do kościoła, gdzie przeklęczałem tyle niedziel. Szykuje się pogrzeb. Żałobnicy pomału się zlatują, jak kruki, jak wrony. Te same obrazy na ścianach wyłaniają się w kolorze z mojej czarno-białej pamięci. Nie ma już drewnianej ambony, mikrofony zamordowały ambony. Pamiętam wielką płaskorzeźbę na tej ambonie. Chrystus wstaje z martwych, odwala płytę grobową i budzi trzech przerażonych legionistów. Już wtedy nie byłem przekonany co do zmartwychwstania, za to miałem pewność, że legioniści nie mogą się bać.

Wchodzę potem na teren szkoły nr 34, kiedyś im. gen. Świerczewskiego, tu uczęszczałem do podstawówki i liceum; murek, na który nieszczęśliwie wskoczyłem i zraniłem się w nogę, mam do dzisiaj bliznę na goleni. Szkolna higienistka zasypała mi ranę pudrem, co potem do wściekłości doprowadziło chirurga. Na postumencie, na którym kiedyś królowała głowa gen. Świerczewskiego, teraz siedzi głowa Cervantesa. Szkoła nosi obecnie jego imię. Pamiętam, jak odsłaniano Świerczewskiego. Był nasz dyrektor Redlich, a nawet marsz. Spychalski. Gdy opadała zasłona, tłumnie zgromadzeni uczniowie jęknęli, łysa głowa generała była bliźniaczo podobna do głowy naszego dyrektora, jakby odsłaniał własny pomnik. A był z niego wielki pan i tyran. Miał złe pochodzenie i zetną mu głowę w 1968 r. Po latach w Sztokholmie spotykam rzeźbiarza Alfreda Jesiona, emigranta ‘68, który Świerczewskiego wyrzeźbił. Ode mnie dowiaduje się, co się stało ze Świerczewskim. Podobny los spotkał jego pomniki Marchlewskiego.

Kręcimy na podwórku, jakże odmienione, trzepak jakiś inny, skarlały, a był kiedyś królem podwórka, wiele roślin i kwiatów, kiedyś było tu stepowo. Potem w dawnym naszym mieszkaniu, więc u Rafała, jest w wieku mojego syna. W dobre ręce poszło nasze mieszkanie, teraz pięknie odmienione. Już tylko celowo zachowana klamka w łazience łączy obecne mieszkanie z dawnym. Rafał interesuje się przeszłością, ma wyczucie estetyki i dba o nią. W czasie remontu domu ocalił, co się dało ze starego wystroju budynku. Rzadkie to w młodszym pokoleniu.

•

Konflikty wewnątrz PiS przypominają wewnętrzne wojny w mafii. Ojciec chrzestny starzeje się, Ziobro pretenduje do zostania bossem. Sztywny, suchy, kostyczny, straszny typ. Wystarczy popatrzeć, jak idzie, jakby połknął pręt zbrojeniowy, w nieruchomej, blaszanej masce na twarzy. Nie przejmie jednak mafii, za sztywny. Trzeba przyznać, że przy nim prezes bardzo zyskuje, przy nim prezes to dobrodziej.

•

Nepotyzm PiS przybiera monstrualne rozmiary, w kole fortuny wirują krewni tych, co już usadowili się na tłustych posadkach. Nie był od nepotyzmu wolny krajobraz, gdy rządziła PO, o nie, ale teraz to nalot szarańczy. Jak oni są wszyscy niekompetentni, jak głodni. Zazdrość mówi przeze mnie, wiążę koniec z końcem, ale kokardki już nie zawiążę.

•

W moim programie w Halo Radio mówimy o LGBT, dwójka młodych obu płci, jak się teraz mówi, nieheteronormatywnych. Inteligentni, delikatni, kulturalni. Czego ci paranoicy od nich chcą, dlaczego nie mają żyć po swojemu? Rok ‘68 na wiek rozpalił uśpiony polski antysemityzm, a prezes teraz roznieca nowy ogień. Możecie uprawiać sodomię, ale w swoich norach, nie wychylać się, bo dostaniecie w łeb.

Konflikty wewnątrz PiS przypominają wewnętrzne wojny w mafii.

•

Andrzej Wolski, francuski reżyser polskiego pochodzenia, przesyła swój film dokumentalny, jeszcze do końca niezmontowany. Temat: tajemnica istnienia. Film robiony w czasie zarazy, która uświadomiła miliardom znikomość istnienia. Realizowany online, twarze i głosy kilkunastu osób, znani Francuzi, ale też Zanussi, Agnieszka Holland i moi Franio i Antoś, mówią o tajemnicy istnienia, o sensie życia. Na moich chłopcach nie zrobiło większego wrażenia, że są we francuskim filmie i w takim towarzystwie wypowiadają się na filozoficzne tematy. Należą do generacji, która jest pewna, że wszystko jej się należy. A w mojej duszy zdziwienie, że za kilka dni kończę 70 lat. „Wszystkiego się w życiu spodziewałam, ale tego, że będę stara, to nigdy”, pisała Zofia Nałkowska. Rozumiem teraz panią świetnie. Już mam bardzo mało czasu, by pohulać, po siedemdziesiątce nie wypada. Ale na czym miałoby polegać to pohulanie, doprawdy nie wiem. I boli mnie ta niewiedza.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

eprasa.pl 1059d9d2a5

Przerabiać na rozumne kopyto

Jakie pozycje już nie pasują do listy szkolnych lektur

Małgorzata Kąkiel

Po co? Po co dzieci mają czytać książki? Odpowiedzi jest kilka. Bo tak się utarło, bo muszą wciąż podtrzymywać umiejętność składania liter – od podstawówki do ewentualnej matury – bo powinny znać kod kulturowy i np. rzucić od niechcenia: „A imię jego czterdzieści i cztery" albo: „Miałeś, chamie, złoty róg" czy „Trzeba uprawiać własny ogródek". Bo nie zaszkodzi rozwijać uczucia wyższe, empatię, inteligencję emocjonalną, bo dobrze mieć choćby nieduże rozeznanie i ciut wiedzieć, czym się różni literatura piękna od tekstów użytkowych, bo… Zapewne ileś jeszcze powodów by się znalazło.

Mamy wrzesień, czyli nadeszła pora roztrząsania podstawy programowej, a zwłaszcza listy lektur. Każdy ma jakieś pomysły, czego nie powinno być, a co musi zaistnieć koniecznie. No przecież „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego albo „Huragan" Ossendowskiego, albo… Decydują własne wspomnienia, sentymenty, poglądy polityczne, bieżące bliższe bądź dalsze kontakty z literaturą. Powiem coś, co może zabrzmi niepopularnie, ale przygotowana na rok szkolny 2020/2021 lista lektur obowiązkowych oraz uzupełniających na wszystkich poziomach nauczania wcale nie wydaje mi się taka zła. Że co? Że ramoty tu znajdziemy albo jakieś światopoglądowe smutasy? Że młodzi nie chcą w ogóle czytać (półprawda), że rwą się do komiksów lub gier komputerowych? To niech się rwą, my teraz o literaturze. Na obiad też jada się zupę i drugie danie. Oczywiście jeśli wypowiada się polonistka (jak tu podpisana) bądź polonista, to jak niepodległości będą bronili każdego tytułu. A niech się dzieci męczą. A bardziej serio?

„Dzieci z Bullerbyn": porozumiewają się światłem latarki, wiosną plewią rzepę, śpią w stogu siana.

Musimy poważnie się zastanowić nad postawionym już pytaniem: po co są lektury szkolne. Nikt nie lubi przymusu, więc wielu młodych na wszelki wypadek otrząsa się ze wstrętem, ale jakąś wspólną podstawę musimy mieć, no i technicznie niemożliwe jest omawianie z każdym czegoś innego, za to powinniśmy zachęcić do późniejszego samodzielnego czytania, wyrobić nawyk, potrzebę. To prawda, że kolejne młode pokolenia mniej lubią obcować z litym tekstem, ponieważ mają coraz więcej innych atrakcji, bo górę bierze kultura obrazkowa, a nas wszystkich ogarnia rosnące lenistwo umysłowe (zmierzch pewnej cywilizacji?) i stajemy się nad wyraz praktyczni. Jeżeli coś nie przynosi natychmiastowych wymiernych korzyści, jawi się jako nieprzydatne. No a ile metrów zboża (*pardon*, anachronizm) bądź ile hamburgerów czy smartfonów przyniesie znajomość „Pana Tadeusza"? Ale czy to znaczy, że możemy np. zagubić w pokładach pomroczności jasnej prośbę do Bogurodzicy – tej, co sławiena i zwolena (bo przegłos polski jeszcze tu nie zaszedł) – o zbożny pobyt na ziemi i rajski przebyt? Nie! – jakem polonistka. Takich przykładów można przywoływać na pęczki, aż pod ich ciężarem omdleją przeciążone uczniowskie mózgi.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Nie ulega wątpliwości, że podstawa programowa jest przeładowana, ale jaki znaleźć klucz do jej odchudzenia, jaką dietę zastosować? Ile głów, tyle pomysłów – subiektywnych. Jedno z kryteriów usunięcia lektur to ich zbytni anachronizm. Oczywiście powinniśmy wiedzieć, jak wyglądało życie naszych przodków, ale może warto zredukować część tytułów opisujących rzeczywistość słabo przystającą do naszych czasów? Weźmy „Dzieci z Bullerbyn" Astrid Lindgren (wiem, wiem, kilka pokoleń lubiło tę książkę). W maleńkiej szwedzkiej wsi mieszkają sympatyczne dzieciaki, które żyjąc po sąsiedzku, porozumiewają się światłem latarki albo za pomocą kartek umieszczanych w pudełku po cygarach, przesuwanym na sznurku łączącym okna. Jakby nie mogły skorzystać z ajfonów. Wiosną (chyba) plewią rzepę, biorą udział w sianokosach, śpią w stogu siana, a ruszający się ząb wyrywają za pomocą nici i klamki, nie dostając kolorowego plasterka ani odznaki „Dzielny pacjent". Egzotyka. Tak, rozumiem, że to jest o przyjaźni, że to wzór prostego, solidnego życia, ale te wartości dadzą się pokazać również w bardziej współczesnych warunkach.

To samo dotyczy „Chłopców z Placu Broni" Ferenca Molnára. Potyczki małych mężczyzn w Budapeszcie roku 1899, zdrady, pochopne oceny, testosteronowe ambicje i wzruszająca (to dobry kawałek literatury) scena śmierci Nemeczka mają bardzo od nas odległą oprawę scenograficzną. Ta powieść stanowi przeciwwagę dla „Ani z Zielonego Wzgórza", ale z największym bólem serca powiem: Ania może też już się zestarzała, choć legion świadomych swojej wartości kobiet z fantazją wyrósł w Avonlea. Wątpliwości budzą także przygody zastępu Czarnych Stóp na obozie w Górach Świętokrzyskich w latach 50. – powieść Seweryny Szmaglewskiej. A już zupełnie nie można pojąć aktualnego powrotu „Kamizelki" Bolesława Prusa. Akurat ten utwór jest najmniej zrozumiały dla bardzo młodych ludzi – śmiertelna choroba, wzajemna troska małżonków, zamierzchłe realia.

To wszystko jednak mały pikuś przy „Syzyfowych pracach" Stefana Żeromskiego. Marcinek Borowicz oraz jego koledzy, choć psychologicznie niebanalni, szlachetni, są wpisani w tak mało porywający literacko utwór, że nie wnikną drapieżnie w uczniowskie dusze i cała ich patriotyczna postawa na nic. Choć historyczny problem jest: walka z rusyfikacją. Może więc zostawić to tylko na lekcje historii, jako fakt, jak germanizacja („nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił"). Letniość literacka spowija też gęsto „Quo vadis". Schematyzm postaci aż tam boli. Trudno na przykładzie tej powieści twórczo omawiać konfrontację dwóch systemów myślenia, dwóch epok, różnych postaw. Dominacja banału może zatruć uczniowskie wyobrażenie o artystycznej biegłości powieści jako gatunku. I jeszcze jedno: nie wolno przy okazji tego tytułu powtarzać, że Henryk Sienkiewicz właśnie za niego dostał Nobla. Nie! Nagrodzono go za „wybitne osiągnięcia pisarskie w literaturze epickiej".

To tyle pobieżnych propozycji odchudzania. Każdy nauczyciel, część rodziców znajdzie swoje typy do skreślenia. Rzecz w czymś innym. W omawianiu tych utworów. Bo można zarówno zabić klejnot literatury, jak i zafascynować, zainspirować do myślenia tekstem przebrzmiałym lub poślednim. Dlatego my wszyscy, dorośli, krzyczmy: chcemy mądrych nauczycieli! Wielu takich jest, mogą przyjść następni, jeżeli da się im nieśmieszną pensję, a przede wszystkim gdy będzie się ich szanować, a nie zezować na ręce, krytykować (nawet kiedy o przedmiocie nie ma się pojęcia) i podważać w oczach dziecka ich autorytet. Bo wtedy najznakomitsza lista lektur nie pomoże. We wszystkim trzeba znać proporcjum, mocium panie. A już dziś nauczyciel wraz z uczniami może dokonać wyboru tytułów – całkiem niezłych – z obszernej puli tekstów uzupełniających.

Owszem, wychodzi z naszych szkół (w myśl założenia podstawowego) ktoś, kto czuje dumę z narodowej martyrologii i klęsk co krok, ceni walkę, śmierć z przytupem, czyli z honorem, choćby bez sensu – jak nie na reducie Ordona, który się nie zabił, to na szańcu jako rzucony kamień – ktoś, kto jest przede wszystkim facetem do zabijania i umierania, ale hola, hola, różnie można wszystko z uczniami „przerabiać". Także przerabiać na rozumne kopyto. Bo przecież (przykłady pierwsze z brzegu) i w „Panu Tadeuszu", i we wprowadzonej niedawno, nieoczekiwanie, „Lilli Wenedzie" znajdziemy niemało ironicznych odniesień do wadliwych skłonności narodowych. Gdy mózg działa, kolana automatycznie się nie gną. A kiedy już zachęcimy młodych do czytania, mądrze prowadząc ich przez lektury szkolne, możemy porozmawiać o tym, co warto im podsunąć z dzisiejszych półek księgarskich. ■

Wątpliwości budzą przygody zastępu Czarnych Stóp na obozie w Górach Świętokrzyskich w latach 50.

Letniość literacka spowija gęsto **„Quo vadis"**. Schematyzm postaci aż tam boli.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 1059d9d2a5

Tomasz Miłkowski

Teatr okrojony

Sezon teatralny 2019/2020 to na dobrą sprawę półsezon. Życie sceniczne zamarło, a po części przeszło w stan wirtualny

Lansowane z uporem przekonanie o wszechmocy człowieka, pana stworzenia na Ziemi, runęło. Na pociechę dodam: teatr to przewidział. Premiera „Wracać wciąż do domu" według Ursuli Le Guin w reżyserii Magdy Szpecht w TR Warszawa (6 marca 2020) idealnie trafiła w moment przesilenia. Teraz bowiem świat zatrzymał się ze zdumienia, choć był tyle razy ostrzegany i upominany, aby natury nie lekceważyć. I mimo że nie wiemy jeszcze z całą pewnością, jak doszło do powstania paskudnego wirusa i jaki był w tym udział ludzkiej niefrasobliwości, wiemy dość, aby przyznać, że był niemały. Po tej premierze komentarzu COVID-19 pojawił się u bram, teatr musiał zamknąć podwoje i przejść na system online.

Nie trzeba tłumaczyć, że to co innego niż teatr na żywo, ale warto odnotować, że potrzeba bywa matką wynalazków. Toteż przydarzyło się kilka produkcji online godnych zapamiętania, w tym emisji wspomnieniowych, ale uzupełnianych komentarzem – rozmową, jak to było w wypadku „Bzika tropikalnego", legendarnego spektaklu Rozmaitości, oraz „czytań" dramatów, prowadzonych m.in. przez warszawski Teatr Dramatyczny. Byliśmy też świadkami pierwszego w Polsce spektaklu komórkowego, czyli nagranego przez aktorów (w izolacji) za pomocą telefonów komórkowych pod kierunkiem Macieja Englerta – to produkcja pandemiczna stołecznego Teatru Współczesnego, który przygotował „Szelmostwa Lisa Witalisa" Jana Brzechwy, bajkę inteligentną i aluzyjną. Powstało także kilka oryginalnych monodramów online, wśród których wyróżnia się „Noc Szekspira" Piotra Kondrata.

Już u progu nowego sezonu zobaczyliśmy pierwszą prawdziwie internetową produkcję teatralną, specjalnie przygotowaną z myślą o wirtualnym medium – spektakl Teatru Żydowskiego, zrealizowany na podstawie książki reporterskiej Mariusza Szczygła „Nie ma". Autorki, reżyserka Agnieszka Lipiec-Wróblewska i scenografka Agnieszka Zawadowska, perfekcyjnie wykorzystały przestrzeń kawiarni Nowy Świat. Pustka wybebeszonej kawiarni, gdzie tkwi samotny stół, a na piętrze sofa, gdzie grają detale architektury, pracuje na sukces inscenizacji realizowanej dla widowni internetowej. To nie widz kadruje, ale kamera. W teatrze liczy się nie tylko co, ale i jak się opowiada. Agnieszka Lipiec-Wróblewska nie zabiegała o związki przyczynowo-skutkowe – przeciwnie, stąpała śladami autora i spektakl podzieliła na kilka części, które można oglądać w kolejności zaprojektowanej przez reżyserkę, ale również w odwrotnej albo zupełnie innej. Widz sam decyduje. Rzecz bowiem nie w ułożeniu historyjki, ale w wydobyciu sensu wszystkich opowieści – ulotności pamięci, a zarazem jej fundamentalnego znaczenia, tak jak to sugeruje Mariusz Szczygieł, którego monolog o reportażu jest częścią widowiska.

Nie ma

Nowy początek według Lupy

W teatrze żywego planu spektaklem powszechnie przyjętym jako wydarzenie, które przesłoniło wiele innych dokonań, okazało się najnowsze dzieło Krystiana Lupy, „Capri – wyspa uciekinierów" w warszawskim Teatrze Powszechnym. Obsypane zostało nagrodami na festiwalu Boska Komedia, niemal jednogłośnie uznane za spektakl sezonu w ankiecie „Teatru", a także wyróżnione doroczną Nagrodą AICT im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego za wybitne osiągnięcia w sztuce teatru.

Krystian Lupa, odwołując się do książek „Kaputt" i „Skóra" Curzia Malapartego, prowadząc nas przez pejzaże włoskie, zwłaszcza wokół Capri, ukazuje upadek cywilizacji europejskiej. „Dwa tysiące lat stracone", taki pada wyrok, a nagromadzone sceny z okresu triumfu faszyzmu potwierdzają niebezpieczny stan zmierzchania, znaczony zbrodniami nazistów i upadkiem moralnym przegranych i zwycięzców. W hipnotycznych obrazach przewija się pytanie o to, kim jesteśmy i czy pojawi się jeszcze ratunek. Mimo bezwzględnej diagnozy gdzieś na dnie tli się nadzieja – to nie tylko spektakl przestroga, ale i wprost wyrażona myśl, że wciąż chce się żyć.

Przedstawienie formalnie skomplikowane, trwające niemal sześć godzin, trzyma w napięciu widza, prowadzonego na koniec do jaskini. Czyżby ludzkość miała zaczynać wszystko od początku?

eprasa.pl 1059d9d2a5

Dobrobyt

Ostatnia premiera w tym dziwnym sezonie w Powszechnym zabrzmiała jak argument potwierdzający diagnozę Krystiana Lupy. Węgierski reżyser Árpád Schilling, wystawiając „Dobrobyt", poddał ironicznemu prześwietleniu stosunki między zwycięzcami i przegranymi w świecie rządzonym stanem konta w banku. Ukazał przy tym stopniowe wchodzenie w cień paskudnej dyktatury.

Powrót Iwaszkiewicza

Warto odnotować wyraźny wzrost zainteresowania twórczością i osobą Jarosława Iwaszkiewicza. W minionym sezonie miały miejsce dwie premiery inspirowane jego opowiadaniem „Matka Joanna od Aniołów" – w Nowym Teatrze w reżyserii Jana Klaty i w Teatrze Powszechnym („Diabły") w reżyserii Agnieszki Błońskiej, a przed nami jeszcze kolejna adaptacja, Wojciecha Farugi w Teatrze Narodowym. Jan Klata trzyma się opowiadania Iwaszkiewicza, ale nasyca je – co zrozumiałe – współczesnymi odniesieniami. Historia o rzekomym opętaniu, które próbuje okiełznać ksiądz Suryn (Bartosz Bielenia), jest dla reżysera zaczynem opowieści o urzeczowieniu kobiet, pozostających pod patriarchalnym nadzorem.

„Diabły" w przeciwieństwie do spektaklu w Nowym Teatrze to nie adaptacja „Matki Joanny od Aniołów", ale sugestywna opowieść o trwającej od wieków opresji kobiet, której patronuje Kościół katolicki. Powstało przedstawienie pełne feministycznej energii, którego puentą staje się lekcja z proponowanego przez autorki programu edukacji seksualnej – stawianego ostatnio pod pręgierzem przez obrońców skrajnie konserwatywnego podejścia do spraw płci i cielesności – a jego koroną jest opis orgazmu łechtaczkowego, poprzedzony musicalowym szlagierem poświęconym akceptacji ciała. Rzecz jest więc – choćby w świetle walki o ograniczenie (albo i zniesienie) edukacji seksualnej w szkołach – bardzo na czasie.

Byliśmy świadkami pierwszego w Polsce spektaklu nagranego przez aktorów za pomocą telefonów komórkowych.

Nieco wcześniej Agnieszka Glińska wystawiała w Starym Teatrze w Krakowie, a Krzysztof Rekowski w Olsztynie, „Panny z Wilka". Jeśli do tego dodać premierę „Życia intymnego Jarosława" (20 sierpnia 2020, w Malarni Teatru Wybrzeże) Magdy Kupryjanowicz i Michała Kurkowskiego według pomysłu i we współpracy z Kubą Kowalskim na podstawie korespondencji i dzienników Iwaszkiewicza, widać, że autor „Sławy i chwały" wraca do głównego nurtu życia teatralnego.

Taki wstyd

To nie był sezon zbyt wielu nowych polskich dramatów, ale kilka co najmniej zasługuje na uwagę. Przede wszystkim „Wstyd" Marka Modzelewskiego na Scenie w Baraku warszawskiego Teatru Współczesnego w reżyserii Wojciecha Malajkata. To błyskotliwie napisana tragikomedia. Kluczem otwierającym szafy z trupami staje się wesele, do którego w ostatniej chwili nie dochodzi. Pan młody ucieka sprzed ołtarza. Na scenie zobaczymy jednak nie młodych, tylko ich zawiedzionych rodziców. Ich spotkaniu towarzyszy napięcie, w powietrzu wisi jeszcze większa katastrofa niż zerwany ślub i stracone pieniądze wyłożone na wystawne wesele. Autor i reżyser grzebią bohaterom w duszach i pamięci, wywlekają na wierzch brudy. Słowem, wielkie pranie, pełne momentów zabawnych, ale i dramatycznych. Powstaje portret prowincjonalnego środowiska, w którym – jak się okazuje – mentalnie tzw. elicie niedaleko do tych, którzy nie wybili się na transformacji. Koncertowe przedstawienie.

O koncercie, i to dającym do myślenia, można mówić, wspominając nieco wcześniejszą (marzec 2019), wracającą na afisz Teatru Słowackiego w Krakowie adaptację debiutanckiej powieści Doroty Masłowskiej „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną" w reżyserii Pawła Świątka. Adaptator Mateusz Pakuła rozpisał tekst wyłącznie na postaci kobiece. Spektakl z wielką siłą dowodzi, jak niebezpieczne wzorce rodzą w Polsce populizm i ksenofobia.

A jak skrajne może to przybierać formy, pokazał w autorskim monodramie „Ludobójcy" Pranay Pawlicki w Teatrze Druga Strefa w Warszawie. Monodram mógłby być opatrzony mottem z przemówienia Mariana Turskiego w Auschwitz: „Bądźcie wierni przykazaniu. Jedenaste przekazanie: nie bądź obojętny". Opowieść o ludobójcach rozpoczyna Pawlicki od Gniewczyny, wsi nieopodal Łańcuta, gdzie w roku 1942 miejscowi strażacy z OSP przeprowadzili obławę na żydowskich sąsiadów. Torturowali ich i gwałcili, ograbili, a potem wydali Niemcom. Pawlicki nie tylko podaje w wątpliwość mit „Polski niewinnej"; opowiada o ludobójcach w szerszej perspektywie – stąd obecność w spektaklu relacji

FOT. MAURYCY STANKIEWICZ, SZYMON ROGIŃSKI

eprasa.pl 1059d9d2a5

o zbrodniach w Srebrenicy i Rwandzie. Na listę ofiar wpisuje również rosyjskiego piosenkarza Zelimchana Bakajewa, który przyjechał na ślub siostry w Czeczenii, został zatrzymany, a kilka godzin później już nie żył. Nie przeżył tortur. Incydent? Niestety, nie. Na liście pojawiają się też ofiary hejtu, prześladowani w Polsce geje, którzy nie wytrzymali niszczącej ich presji, m.in. Michał Koch, model pochodzący z Malborka, Dominik z Bieżunia, Kacper i inni. Pawlicki pokazuje widzom ich wizerunki. Zabrzmiało to mocno podczas premierowych spektakli (30-31 lipca 2020), w czasie gdy bezpardonowe ataki na społeczność LGBT przybierają na sile.

Woyzeck i inni

Wśród nowych realizacji klasyki na czoło wysuwa się „Woyzeck" Georga Büchnera w Teatrze Narodowym. Reżyser Piotr Cieplak działa obrazami i dźwiękami, w ścisłej współpracy ze scenografem Andrzejem Witkowskim i twórcami muzyki, tworząc emocjonalne sceny rozpięte między snem i brutalnością. Morderca Woyzeck (poruszający Cezary Kosiński) w tym świecie sprawia wrażenie kruchej, zaszczutej ofiary. Spektakl, który w równej mierze działa na emocje i umysł.

O ile „Woyzeck" na ogół został dobrze przyjęty przez recenzentów, o tyle mniej szczęścia miała wysmakowana „Księżniczka Turandot" Carla Gozziego w reżyserii Ondreja Spišaka. Komedia Gozziego wróciła na afisz Dramatycznego po niemal 40 latach w nowym przekładzie (Jarosława Mikołajewskiego) i z nowymi intermediami (Tadeusza Słobodzianka), pełnymi uszczypliwości pod adresem polityków i artystów. To pełne werwy widowisko, pokaz wolności teatru, który publicznie się demaskuje, aby tym bardziej ukryć tajemnice swojego prestidigitatorstwa. Duch zabawy przenika całe przedstawienie, w którym błyszczą komediowym talentem aktorzy Dramatycznego. Zabawne, że recenzenci okazali się ponurakami, traktującymi humor jako strawę gorszego gatunku.

Skoro mowa o „gorszym gatunku", trzeba odnotować dwa powszechnie chwalone musicale: „Człowieka z La Manchy" w Dramatycznym w reżyserii Anny Wieczur-Bluszcz z Modestem Rucińskim w roli tytułowej i „Kapitana Żbika i żółty saturator" w Syrenie. To autorski spektakl Wojciecha Kościelniaka (tekst, teksty piosenek i reżyseria) z muzyką Mariusza Obijalskiego i zachwycającą choreografią Eweliny Adamskiej-Porczyk. Do listy niedawnych sukcesów Kościelniaka koniecznie trzeba dopisać „Przybysza" zrealizowanego ze studentami warszawskiej Akademii Teatralnej i nieco wcześniejszy studencki spektakl „Jutro zawsze będzie jutro" według songów Bertolta Brechta we wrocławskiej filii Akademii Sztuk Teatralnych z Krakowa.

Off-Centrum

Komuna Warszawa, czołowy warszawski teatr offowy, wpadł w spore tarapaty. Po udanym przeglądzie spektakli ekologicznych „Krajobraz. Minifest" pod okiem Weroniki Szczawińskiej okazało się, że siedziba teatru przy ulicy Lubelskiej (nieopodal Dworca Wschodniego) znalazła się o krok od katastrofy budowlanej.

Możliwe, że chude czasy sprzyjają kulturze.

Pomocną dłoń podał stołeczny ratusz, wynajmując Komunie i innym grupom offowym obiekt w samym centrum stolicy, nieczynną szkołę przy ulicy Emilii Plater, tuż obok hotelu Marriott, bastionu nowobogackich, uważanego za rejon eksploatowany przez najstarszy zawód świata. To sąsiedztwo zakrawa bez mała na prowokację, ale Grzegorz Laszuk jest zachwycony – miejsce idealnie odpowiada potrzebom Komuny. Wprawdzie pandemia utrudniła rozwinięcie skrzydeł, ale i tak SZKOŁA ruszyła ze starymi spektaklami, które nad podziw dobrze mają się w nowych przestrzeniach. Świetnie wypadły tu pokazy spektaklu „Cezary idzie na wojnę" Cezarego Tomaszewskiego czy też zdarzenie ku czci „Czarnego kwadratu na białym tle" Kazimierza Malewicza – koncert-spektakl do „Sonaty for keyboard and tape" Wojciecha Blecharza grupy feministycznej Teraz Poliż, inspirowany dramatem poetyckim Anny Świrszczyńskiej „Czarny kwadrat".

Wygląda też na to, że kończą się kłopoty lokalowe Teatru WARSawy, radni zdecydowali się wykupić nieruchomość, na której znajduje się dawne kino Wars, z przeznaczeniem na działalność kulturalną (mam nadzieję, że mieli na myśli Teatr WARSawy). Kulturze przywrócone zostało także kino Relax, gdzie nie mógł się zagnieździć outlet, a teraz rozpoczyna działalność Scena Relax. Możliwe, że chude czasy paradoksalnie sprzyjają kulturze.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 1059d9d2a5

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Na głodzie

Susan Sontag? Ta hucpiara? Nie zgadzam się z żadnym z jej autorytatywnych twierdzeń, niepopartych rzetelną wiedzą historyczną. Łasa na pochlebstwa celebrytka. Z jej prozy kapie sadełko sentymentalizmu. W życiu osobistym była potworem. Egocentryczna. Żarłoczna. Efekciarska – mawiali amerykańscy intelektualiści, a i polscy nie byli jej zanadto przychylni, wbrew temu, co sądzi się na temat czci, jaką rzekomo darzyli ją w latach 70. i 80. dosłownie wszyscy. Zwłaszcza środowiska akademickie, dla których tak istotna jest specjalizacja i metodologia, nie mogły zaakceptować rozległości zainteresowań badawczych Sontag. Ani polubić legendarnej efektowności jej zdań.

Zresztą nie tylko zdania sprawiały wrażenie fotogenicznych – autorka najlepszych po Walterze Benjaminie esejów o fotografii była najpilniej fotografowaną intelektualistką tamtych lat. I to na długo zanim związała się z Annie Leibovitz. No więc kręcono nosem, jak zawsze, kiedy pojawia się moda i zalewa nas fala zapośredniczonych przez media obrazów i zdań, należących do kogoś, kto na chwilę stał się centrum świata. Ale wszyscy ją czytali. Czytali na potęgę i czytają do dzisiaj. Jej esej o kampie nadal jest najpełniejszą i najciekawszą analizą zjawiska, a traktat „Choroba jako metafora" to rzecz, bez której nie sposób filozoficznie odnieść się do przewlekłych chorób naszych czasów.

Susan Sontag – wszyscy ją czytali. Czytali na potęgę i czytają do dzisiaj.

W przyszłym roku w Polsce ukażą się dwie biografie autorki „O fotografii": w styczniu w wydawnictwie Pauza, w maju – w Agorze. Wydawnictwo Karakter przez ostatnie 10 lat wydało niemal wszystkie jej książki eseistyczne, łącznie z dwoma tomami dzienników. Co takiego było w Sontag, że i jako publiczna persona, i jako osoba „prywatna" budziła tak silne kontrowersje?

Przede wszystkim głód, który możemy na potrzeby tekstu nazwać niepokojem czy po prostu ambicją. I paradoksy, na których stała jej osobowość, częściowo „zaprojektowana" przez autorkę. Przecież upominała samą siebie w dziennikach: „Bądź surowa, przede wszystkim surowa, nie piękna". Zresztą piękna już była. Surowość zaś przydawała jej powagi i współgrała z feminizmem, o który badaczka walczyła i który reprezentowała. W czasach rozkloszowanych spódniczek w kropki i fryzur *à la baby doll* nosiła sztruksy i czarną skórzaną kurtkę, a kiedy zaczęła siwieć – jej białe pasemko od razu stało się ikoniczne. Potrafiła dopiec każdemu, kto publicznie nazwał którąś z pisarek *lady writer*. Zresztą to feminizm, razem z jej podróżami do bombardowanego Sarajewa, gdzie jako reżyserka wystawiała w teatrze „Czekając na Godota" – stanowiły dwa najsilniejsze punkty jej obrony. Nie można było odmówić jej odwagi. Nigdy nie była też konformistką. Często mówiła i pisała rzeczy niepopularne, sama wystawiając się na ostrzał.

Ale przecież była miłośniczką sztuki i muzyki. Za pomocą spektakli, pokazów filmowych, happeningów i lektur – rozszczelniała i pobudzała własną wrażliwość. Z drugiej strony pielęgnowała odporność i siłę, których potrzebowała, kiedy krytykowano jej film i powieści, uznane za nieudane, nazywane kaprysem celebrytki. A nie wszystkie są tak złe, jak opowiadano (wiele lat temu w Polsce, w PIW, ukazała się najlepsza).

Jej głód dotyczył także miłości, relacji, romansów i seksu. I tu nie obyło się bez skandali – podróżowała między Paryżem a Nowym Jorkiem, zostawiając za sobą kolejne ofiary własnych namiętności: męża, syna, kochanków i kochanki – sama stając się jedną z ofiar. Nawet jej choroby były filmowe: trzy razy chorowała na nowotwór – w wieku czterdziestu, sześćdziesięciu i siedemdziesięciu kilku lat (walczyła, wrzeszczała, że chce więcej chemii i częściej). Dopiero ten ostatni okazał się nieuleczalny. A jej agonia stała się sprawą publiczną. Zdjęcia umierającej w szpitalnym łóżku pisarki, a potem fotografie jej ciała w trumnie, obiegły świat i nadal można je znaleźć w internecie. Zrobiła je jej ostatnia partnerka, Annie Leibovitz. Sontag, która tak przestrzegała przed wpływowymi obrazami – sama stała się wpływowym obrazem.

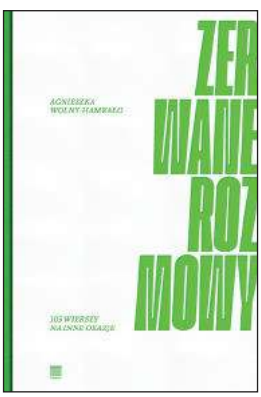

Nakładem wydawnictwa Warstwy ukazał się właśnie tom poetycki Agnieszki Wolny-Hamkało „Zerwane rozmowy. 105 wierszy na inne okazje". Wybór ten trafia na półki księgarskie równo 20 lat po debiucie książkowym autorki. Odnajdziemy tu poetyckie brzmienia lat 90., ale i nawiązania do klasyków XX w. – Wisławy Szymborskiej, Ewy Lipskiej czy Tadeusza Różewicza. Jednocześnie to poezja nowego wieku, mocna i aktualna zarówno w środkach wyrazu, jak i ze względu na poruszane tematy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1059d9d2a5

NA EKRANACH

25 LAT NIEWINNOŚCI. SPRAWA TOMKA KOMENDY

reż. Jan Holoubek, prod. Polska, w kinach od 18 września

Tomasz Komenda przesiedział w więzieniu 18 lat za zbrodnię, której nie popełnił. Po filmie Jana Holoubka można więc się spodziewać rozdzierającej opowieści o złamanym życiorysie człowieka, któremu system zabrał najlepsze lata i nie dał nic w zamian (dosłownie, bo Komenda nadal nie dostał odszkodowania). Choć w czasie seansu pięści same się zaciskają, to inwestując w bilet, wcale nie skazujemy się na wycieczkę w jądro ciemności. Nie znaczy to, że w mrok Holoubek nie zagląda. Zanurza się w nim całkiem głęboko, kiedy pokazuje absurd polskiego wymiaru sprawiedliwości, zainteresowanego wcale nie sprawiedliwością, tylko wynikami. Rozświetla go zaś, wprowadzając na ekran postacie, które do końca wierzą w niewinność bohatera i nie spoczną, póki jej nie udowodnią. Zwłaszcza matka skazanego, rewelacyjnie odegrana przez Agatę Kuleszę, przywraca wiarę i nadzieję. Filmowiec nie jest przy tym naiwny, nie oszukuje widza, że wszystko jakoś się ułoży, więc ranga tej tragedii nie zmniejsza się. Tomasz Komenda na taki film zasługiwał.

Artur Zaborski

SERIAL

DZIEŃ TRZECI

reż. Philippa Lowthorpe i Marc Munden, prod. USA, HBO i HBO GO od 15 września

Jude Law gra mężczyznę, który stracił dziecko i nie potrafi się uporać z żałobą. Przypadek sprawia, że trafia na wyspę Osea u wybrzeży Wielkiej Brytanii, na której dzieją się rzeczy przedziwne, łącznie z zaginaniem się czasu. Konserwatywna społeczność żyje tam podług odwiecznej tradycji, co ją scala, ale i nastawia wrogo do obcych. Brzmi jak metafora ksenofobicznej współczesności? I słusznie, wszak seriale HBO dawno przestały się zamykać w świecie przedstawionym. Ten też stara się komentować sytuację za oknem, ale nie robi tego kosztem ekranowej historii. W centrum stoi Sam i jego ból, który objawia się choćby nawiedzającymi go wizjami. Te momentami szokują okrucieństwem i widzowie o słabych nerwach nieraz odwrócą wzrok od ekranu, ale na krótko. Bo „Dzień trzeci" oferuje też popisowe efekty specjalne, których używa się tu tak chętnie, jakby przygotowywano dla nas film kinowy, a nie serial.

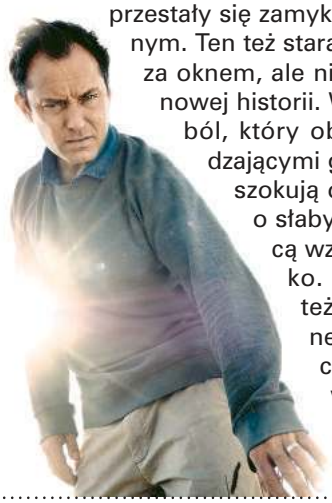

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

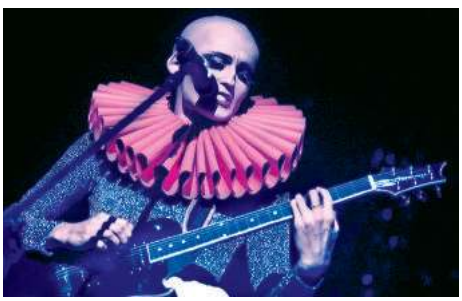

NIESPEŁNIONY APETYT

Pomysł sięgnięcia po mikrodramat poetycki Anny Świrszczyńskiej „Człowiek i gwiazdy" budzi sympatię. Dramaty poetyckie autorki „Jestem baba", niesłusznie zapomniane, niosą silny ładunek intelektualny i artystyczny – sporo w nich groteski, liryzmu i paradoksalnego filozofowania o człowieku i historii. W tym przypadku idzie o sprzeniewierzenie się etosowi winy i kary. Edyp uwolniony od kary za swoje czyny, cała ludzkość pozbawiona rygorów, rozpasany sąd, który urwał się z uwięzi prawa – to wszystko sytuacje frapujące i godne namysłu. Pomysłowy był także scenariusz, wedle którego część pierwszą (około kwadransa) spędziliśmy w ciemności, wysłuchując tekstu Świrszczyńskiej czytanego z didaskaliami „na biało". W części drugiej fragmenty tego tekstu w wersji wokalnej, autoironicznie inkrustowane sfingowanymi wnioskami o dotacje nieistniejącego zespołu Muszki Faramuszki oraz wypisami z intymnej biografii poetki, miały dowieść metaforycznej nośności tekstu. Ale nie dowiodły. Wykonawczynie nie sprostały muzycznie, wokalnie i aktorsko zadaniu, a uwaga widza skupiała się na obawie, czy jedna z aktorek nie ulegnie kontuzji, bo nieporadnie porusza się na wrotkach. Szkoda tego dobrego pomysłu, który przesłoniły wady wykonania.

Tomasz Miłkowski

„Apetyt w dzień egzekucji" według Anny Świrszczyńskiej, reżyseria Barbara Wiśniewska, scena mała Teatru Powszechnego, premiera 29 sierpnia 2020

SYRENA BLISKO KONKRETU

Warszawski Teatr Syrena po pandemicznej przerwie rozpoczyna sezon, wybierając na tematy nowych przedstawień sprawy konkretne, bliskie życia. Będą to np. „Syrena mądrości", ekobajka dla dzieci o gospodarce odpadami, przedstawienie w reżyserii Michała Walczaka o życiu po zwycięstwie nad koronawirusem, coś z edukacji historycznej, czyli musical „Wazowie", coś z emocjonującego reportażu kryminalnego, czyli musical „Morderca jest wśród nas", aktywizujący także samych widzów. Do tego Syrena zapowiada warsztaty teatralne i wokalne dla młodych. Jubileusz 75-lecia tej sceny wypełni też otwarcie przy teatrze Warszawskiego Centrum Musicalu, a nawet sesja naukowa na Uniwersytecie Warszawskim poświęcona temu gatunkowi sztuki.

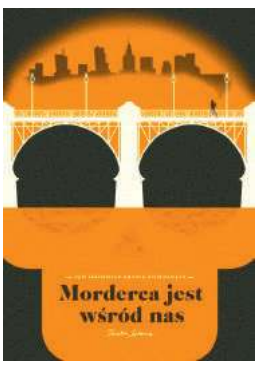

BT

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1059d9d2a5

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Na tropie zachwytu

Podobno najbardziej charakterystycznym objawem COVID-19 jest blokada powonienia i smaku. Zatem: od tej zarazy ludzie tracą zmysły także w sensie ścisłym, jak by powiedział Jerzy Pilch – nawiasem mówiąc, jego pogrzeb okazał się bombą biologiczną w środowisku literackim, Pilch sprawił pośmiertnie, że wśród pisarzy błyskawicznie zniknęli wszyscy niedowiarkowie, nazywani gdzieniegdzie „koronasceptykami". Zapewne ten test nie został jeszcze poddany ostatecznej weryfikacji, ale daje może i zwodne, lecz komfortowe ukojenie wszystkim zasmarkanym, pokasłującym lub przechodzącym podgorączkową trzydniówkę.

Żona wyjechała na weekend roboczy, więc usypiałem Antosia w tymczasowo opuszczonym łożu małżeńskim, przed zaśnięciem wymacał pod kołdrą koszulę nocną, podsunął mi pod nos i powiedział: „Czujesz? To zapach mamy". Czuję, więc jestem zdrów, albo bezpiecznie chory; na wszelki wypadek po każdym przygodnym kaszlnięciu lecę do szafki i wykradam synkowi wyjątkowo kwaśne żelki, które sobie upodobał – wykręca mnie, więc jeszcze pożyję bez kwarantanny, jeszcze się udało przemknąć mimo moru, między wirusami.

Nietrudno mi sobie ten stan utraty zmysłów wyobrazić i po prawdzie bardziej się go boję niż innych konsekwencji, ze śmiercią na czele (może właśnie dlatego, że śmierci wyobrazić sobie, z braku analogicznych doświadczeń, nie sposób). Zdarzało mi się w czasach intensywnej fascynacji degustowaniem wina coś w rodzaju przemęczenia kubeczków smakowych, zwłaszcza kiedy kubełek z wypluwanymi próbkami wezbrał już po brzegi, a alkohol, choć nieprzełykany, częściowo docierał do organizmu przez śluzówki – to nie był winowstręt, lecz właśnie utrata smaku, nie odróżniłbym już wtedy w ciemno rieslinga od merlota i to było straszliwe. Miewam też coraz częściej podobnie uciążliwy objaw jako kompulsywny konsument kultury. Krzysio Varga, równie żarłoczny bywalec kin i teatrów, po lekturze moich „Rozmemuarów" określił to jako „eskapistyczne zabiegi wypełniania pustki". Diagnoza pochopna, ja po prostu jestem nałogowcem zachwytu, kiedy adoruję Żonę, nie czynię tego, za przeproszeniem, celem wypełniania pustki, lecz afirmując jej piękno; podobnie rzecz się ma z dziełami sztuki, by tak rzec, nieożywionej. Jestem rozmiłowany w przyjemnościach estetycznych, można by mnie nazwać zubożałym sybarytą, jak się okazuje, to wcale nie musi być oksymoron. Owóż miewam iście sybaryckie stany przedawkowania kulturalnego i wtedy właśnie nęka mnie utrata smaku: nic nie zachwyca, nawet to, co powinno, ba, nawet to, co zachwycało niegdyś (nie muszę dodawać, że nie zachwyca także Słowacki). Uporczywa niedostępność zachwytu jest wysoce dotkliwa, środki antydepresyjne na nią nie działają, a po silniejsze psychotropy sięgać nie zamierzam, choć pamiętam, jak np. zachwycałem się powszechnie skrytykowanymi „Powidokami" Wajdy, obejrzanymi na morfinie po amputacji palca. Istnieje bowiem prawdopodobieństwo, że w istocie nie ma czym się zachwycać, nie jest to więc moja chorobliwa anhedonia, lecz wynik nieszczęśliwego zbiegu mało zachwycających okoliczności.

Skoro nie szukałem pocieszenia w narkotykach jako udręczony kibic Ruchu Chorzów i reprezentacji Polski (skądinąd gry naszej kadry nie dałby rady znieść nawet nieuleczalny morfinista), nie zamierzam się w nich zatracić z powodu niedomagań, dajmy na to, literatury współczesnej. Jak co roku późnym latem sięgam np. dziarsko do sterty książek finalistek i książek laureatek, po czym równie energicznie je odkładam – owszem, są to pozycje słuszne, zajmujące, dobrze napisane, ale po kilkunastu stronach lektury wiem, że próżno oczekiwać zachwytu. Co gorsza, wiersze jednego z ulubionych poetów w przekładzie ulubionego tłumacza – Charles Reznikoff w wyborze i nagrodzonej w Gdyni translacji Piotra Sommera – też nie zachwycają *en masse*. Nowojorski poeta należał do mistrzów odnajdowania tzw. sytuacji lirycznych, jego drobiazgi błyszczą w antologiach i pojedynczych publikacjach, fascynują ułożone w autorskich tomikach, ale stłoczone w opasłym tomie potrafią znużyć; byłyżby więc tylko doskonałym poetyckim aperitifem? A może winien fakt, że większość tych miniatur już znam, wiele na pamięć, dzięki „Literaturze na Świecie", w której Reznikoff był stałym gościem w ostatnich kilku dekadach? Na szczęście nie zostały pozostawione same sobie, Sommer w posłowiu czyta dla nas Reznikoffa, a w tej dziedzinie jest mistrzem nad mistrzami. I tu odnajduję wreszcie swój zachwyt utracony, oto bowiem Piotr Sommer właśnie ogłosił „Kolekcję wiosenną" – autorski przewodnik po ulubionych wierszach, zbiór esejów analitycznych, w których nasz tłumacz wybiera się na wycieczki po rozwidlonych ścieżkach interpretacji, a jako że sam jest poetą niezgorszym, czyni to z literacką zmyślnością najwyższej próby. W końcu lato wciąż trwa, to jasne, że Sommer zachwyca, że też głupi na to nie wpadłem wcześniej.

Uporczywa niedostępność zachwytu jest wysoce dotkliwa, środki antydepresyjne na nią nie działają.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1059d9d2a5

Telewizyjna Liga Narodów

Nad jakością roboty trenera Jerzego Brzęczka gromadzą się chmury

Maciej Polkowski

Powróciła do gry, po 289 dniach przerwy, pierwsza reprezentacja. Zaplanowane na pierwsze półrocze spotkania towarzyskie z Ukrainą, Finlandią, Islandią oraz Rosją zostały odwołane. Z kolei na przyszły rok przełożono mistrzostwa Europy, które miały zostać rozegrane w czerwcu i lipcu. Jednak włodarze UEFA uznali, że już najwyższa pora wystartować z nową edycją Ligi Narodów. Moim zdaniem najlepiej pod hasłem „Telewizje wszystkich krajów Europy, łączcie się!".

4 września na Johan Cruijff ArenA w Amsterdamie udało się przegrać skromnie 0:1. Dlaczego pomarańczowi postanowili nie sprawić naszym „bęcków", pozostanie ich słodką tajemnicą. W naszym zespole nowe, „młode twarze". Dwaj zawodnicy poznańskiego Lecha. Napastnik, 22-letni Kamil Jóźwiak (był to dopiero jego drugi występ, do 71. minuty – zadebiutował 19 listopada 2019 r. w spotkaniu ze Słowenią), i pomocnik, 21-letni Jakub Moder (w 77. minucie zastąpił Piotra Zielińskiego). To właśnie tacy mają być reprezentacyjną przyszłością naszej piłki.

Znani komentatorzy amsterdamskie wyczyny biało-czerwonych skwitowali w internecie.

Marek Wawrzynowski (WP, SportoweFakty): „Biorąc pod uwagę sposób gry, to i tak sukces, że trzymaliśmy się tak długo. Zobaczymy z czasem, ale na razie z żadnym poważnym zespołem Europy z taką grą nie ma czego szukać. Może Lewandowski tu coś by zmienił, ale Holandia też osłabiona konkretnie, więc chyba nie za wiele".

Michał Kołodziejczyk (Canal+): „Coś jest nie tak z przekazem telewizyjnym. Za każdym razem po groźnej akcji Holendrów i powtórce znowu Holendrzy mają piłkę. Proszę to naprawić".

Michał Pol (Polsport): „Po festiwalu niemocy przełączmy na Festiwal w Opolu. Oby mecz nie był zapowiedzią tego, co nas czeka na Euro, gdzie trzeba grać z ciut silniejszymi rywalami niż ci w eliminacjach".

Jacek Kurowski (TVP Sport): „F. de Jong jak wytrawny cukiernik. Wypieka podania – ciasteczka. Nic, tylko jeść".

Oglądanie i komentowanie polskiej piłki staje się męczarnią. I to na wszystkich poziomach.

SKROMNA WYGRANA 2:1

7 września Polska pokonała w Zenicy Bośnię i Hercegowinę 2:1, odnosząc pierwsze w historii zwycięstwo w Lidze Narodów. Trener gospodarzy Dušan Bajević ocenił, że wygrana była zasłużona. Nasi przegrywali w Zenicy 0:1 po golu Harisa Hajradinovicia (24. minuta) z rzutu karnego. Tuż przed przerwą wyrównał Kamil Glik (45. minuta), a w drugiej połowie (w 67.) zwycięstwo zapewnił Kamil Grosicki. Biorąc pod uwagę, jaką częścią ciała skierowali piłkę do siatki, można śmiało powiedzieć: co dwie głowy, to nie jedna. Sukces zasługujący na uwagę z tego powodu, że czekaliśmy na to od 13 października 2007 r.! Wtedy w eliminacjach Euro 2008 nasz zespół (Leo Beenhakker) przegrywał do przerwy z Kazachstanem 0:1, by ostatecznie wygrać 3:1 po hat tricku Euzebiusza Smolarka.

Michał Kołodziejczyk (Canal+): „Jest wreszcie powiew młodości w tej drużynie! Brawo @kamilglik25 i @GrosickiKamil!".

Marek Szkolnikowski (TVP Sport): „Wygraliśmy, ale czy po tym meczu wiemy coś więcej niż to, że na lewej obronie musi grać lewy obrońca? Co z Karbownikiem, Moderem i Walukiewiczem? Nie rozwiną się, siedząc na

eprasa.pl 1059d9d2a5

Arkadiusz Milik w meczu z Bośnią i Hercegowiną w Zenicy.

ławie. Czasami trzeba zaryzykować, a my cały czas na patencie. Dziś »udało się«, co z jutrem?".

Mariusz Bielski (2x45.info): „Może ktoś uzna mnie za wariata, ale moim zdaniem w dłuższej perspektywie dla reprezentacji Polski lepiej byłoby, gdybyśmy dziś przerżnęli".

Marcin Gazda (Eleven Sports): „Ktoś może się ucieszy z wyniku, ale i tak każdy wie, jak to się skończy latem przyszłego roku".

Żelisław Żyżyński (Canal+): „Bardzo słaby rywal, słaby (momentami przeciętny) mecz, dobry wynik. Jak to było? Pokolenie: chcę więcej? No to ja chcę więcej".

A LEWY NA JACHCIE

Po remisie z Włochami 1:1 we Florencji oczekiwania przed meczem z Polską były ogromne, tym bardziej że w drużynie gości nie zagrał Robert Lewandowski. Spotkanie w Zenicy rozpoczęło się po ich myśli, ale nie potoczyło tak, jak planowali. Bałkańskie media i kibice reprezentacji Bośni i Hercegowiny zwrócili uwagę na eksperymentalny skład, jaki wystawił selekcjoner Dušan Bajević. Dopiero po godzinie na boisku pojawił się napastnik Romy, a wcześniej Manchesteru City, Edin Džeko. To właśnie on kilka dni wcześniej strzelił gola Włochom. Żadna porażka nie jest przyjemna. Świadomie podjęto ryzyko, zmieniając siedmiu zawodników w porównaniu z tamtym meczem. Można było dać z siebie więcej.

Ożywione dyskusje wzbudziła w dwóch wrześniowych meczach absencja kapitana reprezentacji Roberta Lewandowskiego. W tej roli zastąpił go Kamil Glik. Jerzy Brzęczek po rozmowie z Robertem doszedł do wniosku, że kapitanowi reprezentacji należy się odpoczynek: „Uznaliśmy, że to dla niego najlepszy moment, aby mógł dłużej odpocząć fizycznie i psychicznie po tak wyczerpujących rozgrywkach. Tym bardziej że przed nim i przed nami kolejny intensywny sezon, który zakończą jakże ważne dla nas finały mistrzostw Europy. Lewandowski pozostaje oczywiście kluczowym zawodnikiem naszej reprezentacji, jej kapitanem, ale w meczach Ligi Narodów z Holandią oraz Bośnią i Hercegowiną będziemy musieli poradzić sobie bez niego".

Biało-czerwoni rywalizowali o punkty, a Robert i Anna Lewandowscy spędzali wakacje na jachcie na Sardynii.

Do nieobecności Lewandowskiego odniósł się były znany piłkarz (przede wszystkim Widzewa) Mirosław Tłokiński na portalu Tłoczek, do pióra. Oto fragmenty jego listu otwartego do Jerzego Engela:

Dzięki reorganizacji nasi reprezentanci nadal będą grali przeciw najlepszym drużynom w Europie.

Sebastian Szymański oraz reprezentanci Holandii Quincy Promes i Nathan Ake podczas meczu w Amsterdamie.

„Szanowny Panie Trenerze. Nie tak dawno podjął się Pan misji skrytykowania Roberta Lewandowskiego w emisji programu »4-4-2« na antenie TVP Sport następującymi słowami: »Kiedy kapitana nie ma w tak ciężkim momencie, kiedy zespół się znowu spotyka, kiedy od nowa trzeba budować tę drużynę w tak wymagających warunkach, jakie w tej chwili mamy, wtedy jest trudno. Jestem przeciwny temu. Dla mnie, jako byłego selekcjonera, jest to nie do przyjęcia. Nie ma ważniejszego zespołu niż narodowa reprezentacja. Tego się nie robi«.

Odpowiem Panu, »co się robi, a co się nie robi«, gdy się ma takie stanowisko w kraju i doświadczenie trenerskie jak Pan:

1. Nie naraża się na kontuzję najlepszego zawodnika reprezentacji, gdy wie się, że rozegrał prawie 50 meczów. Natomiast daje się Lewandowskiemu możliwość odpoczynku po tak wyczerpującym sezonie. Odpoczynek, który jest ważny nie tylko pod względem fizycznym, ale także psychicznym, aby powrócił do gry z podwójną energią i emocjonalnym zapałem. O tym wie każdy przeciętny trener piłkarski.

2. Jako doświadczony trener nie powinien Pan zwracać uwagi, że »drużyna narodowa wymaga budowania od nowa«, bo to widzi każdy kibic. Ale powinien Pan mówić, że od ośmiu lat nie ma narodowego systemu szkolenia młodzieży. Bo gdyby tak było i zaczęlibyśmy z 12-, 14-latkami, to dzisiaj mielibyśmy grupę zawodników w wieku 20-22 lata. A tak mamy tylko coraz starszego Lewego.

3. Nie mówi się, że »nie ma ważniejszego zespołu niż narodowy«, bo to wie każdy kibic. Ale powinien Pan wspomnieć z punktu widzenia moralnego (jako mądry człowiek), intelektualnego (jako mądry trener) i fizycznego (jako mądry fizjolog), że nie ma ważniejszej indywidualności, którą trzeba chronić, jak Lewy, nasz jedyny klejnot narodowy.

4. Nie powinno się przekonywać fanów, że »jest to nie do przyjęcia«. Ale powinno się mówić już od

FOT. PAP/ANDRZEJ LANGE, PAP/PIOTR NOWAK

eprasa.pl 1059d9d2a5

dawna, że nie do przyjęcia jest to, aby od ośmiu lat drużyna narodowa liczyła tylko na Roberta. I o tym powinien Pan mówić, a nie wypominać Robertowi, że »tego się nie robi«".

PO OSTATNIM GWIZDKU

Te dwa mecze miały być poważnym sprawdzianem, na co stać biało-czerwonych w grupie Ligi Narodów. Gdyby obowiązywał stary system rozgrywek, w dywizji A już by nas nie było, jednak reorganizacja spowodowała, że nasi reprezentanci nadal będą grali przeciw najlepszym drużynom w Europie.

Jak to wygląda dzisiaj, zobrazował w „Krótkiej Piłce" (portal Legalny Bukmacher) Adam Godlewski: „Jerzy Brzęczek w meczu z Holandią miał, zgodnie z opisem jego biograficznej książki, rzucić wyzwanie legendzie Kazimierza Górskiego. A gdy w Amsterdamie kompletnie się to nie powiodło, rzucił wyzwanie kibicom reprezentacji Polski. Konkretnie – naszej inteligencji. Stwierdził bowiem po końcowym gwizdku, iż jest zadowolony z realizacji taktycznych założeń. Powtórzę: selekcjoner biało-czerwonych wyraził radość po przegranym w fatalnym stylu – a w zasadzie to bez stylu – spotkaniu, w którym nasz zespół oddał w sumie dwa strzały, z czego tylko jeden celny. I w ogóle przeprowadził zaledwie kilka składnych akcji. Zamiast – zwyczajnie – przeprosić za najgorszy od lat dzień kadrowiczów. Albo pod pretekstem złego samopoczucia i negatywnych emocji skorzystać z prawa do milczenia. Po tym, co usłyszeliśmy, dla wszystkich powinno być jasne, że werbalna reakcja trenera dopiero w drugie tempo byłaby o wiele lepsza niż wygadywanie bzdur. Znokautowanego boksera nikt przecież nie przepytuje po ciosie, który zwalił go z nóg…

Brzęczek mimo wszystko zadowolony, że uniknął łomotu, choć jego zespół nie miał literalnie nic do zaprezentowania, w ogóle nie powinien wybierać się na to spotkanie. Bo go zwyczajnie przerosło. Powiedzieć zatem, że również selekcjoner w piątek stracił czas, to jak nic nie powiedzieć. Wyszło bowiem na to, że choć pierwotny termin Euro 2020 już dawno za nami, biało-czerwoni nadal nie mają drużyny, którą można by bez wstydu pokazać w finałach mistrzostw Europy. I nic nie wskazuje, że budowa zespołu może ruszyć w najbliższym czasie. (…) Nikt mnie nie przekona, że gość, który jako piłkarz awansował do finału turnieju olimpijskiego i w pierwszej reprezentacji Polski rozegrał ponad 40 meczów, nie dostrzega – i nie wyczuwa – iż prowadzona przez niego drużyna gra paździerz".

Nad jakością roboty Jerzego Brzęczka gromadzą się chmury. Coraz potężniejsze, zważywszy że oglądanie i komentowanie polskiej piłki staje się męczarnią. I to na wszystkich poziomach, począwszy od Ekstraklasy, przez „popisy" naszych drużyn w europejskich pucharach, aż po seniorską reprezentację. Podobnie jak z koronawirusem nikt nie jest w stanie określić, kiedy w naszym futbolu nastąpi wyraźna poprawa.

Maciej Polkowski

eprasa.pl 1059d9d2a5

Owocowa broń na nadciśnienie

Chcesz sobie obniżyć ciśnienie? Jedz ciemne jagody

Barbara Jagas

Cierpi na nie co trzecia osoba w Polsce, coraz więcej choruje ludzi młodych. Na początku choroba przebiega bezobjawowo, potem manifestuje się bólami głowy i ospałością, na co często nie zwraca się uwagi, uznając te dolegliwości za skutek przepracowania. A przecież wiadomo, że im później rozpoznamy nadciśnienie, tym gorzej, nieleczone bowiem może doprowadzić do powikłań w postaci udarów, zawałów i niewydolności nerek. Zwłaszcza jeśli jest połączone z wysokim cholesterolem, cukrzycą lub otyłością.

O problemie mówimy, gdy po dwukrotnym zbadaniu poziomu górnego (skurczowego) ciśnienia krwi przekracza ono 140 mm Hg. Wtedy kardiolog zapisze leki hipotensyjne. Możemy jednak pomóc sobie sami, jeśli wcześniej zadbamy o to, co jemy.

Czarny skarb

Antocyjany to związki, o których wiemy coraz więcej. Znajdują się w czarnych owocach jagód, wyjadanych przez ptaki tuż przed odlotem do ciepłych krajów. Dżemy z czarnych jagód dostawali także piloci Dywizjonu 303 – dla poprawy wzroku przed nocnymi wylotami i ogólnego wzmocnienia organizmu. Wtedy kierowano się bardziej wiedzą ludową, dziś oficjalnie mówi się, że ciemne owoce pomagają przy nadciśnieniu.

Aby unormować ciśnienie, należy jeść czarne jagody: borówki amerykańskie i leśne, czarne porzeczki, wiśnie, ciemne winogrona, owoce żurawiny i aronii, która pod względem zawartości drogocennych antocyjanów jest rekordzistką. Aronia zawiera ponadto związki katechinowe, które także regulują ciśnienie krwi. – Ostatnio przeprowadza się wiele badań na ten temat, a nasze polskie potwierdzają, że substancje zawarte w aronii obniżają ciśnienie krwi, poprawiają profil lipidowy i działają przeciwmiażdżycowo. Podawany ludziom po zawałach ekstrakt aroniowy w kapsułkach sprawia, że mogą oni brać mniej leków. Aronia nie tylko jest więc doskonałą profilaktyką nadciśnienia, ale także pomaga je leczyć – mówi prof. n. farm. Iwona Wawer, badaczka aronii i autorka książek na ten temat, przez wiele lat kierownik Zakładu Chemii Fizycznej na Wydziale Farmaceutycznym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – A poza tym to nasz polski czarny skarb – dodaje.

Mając w jadłospisie aronię, możemy mniej bać się wirusów.

Połowa talerza – owoce i warzywa

Wszystkie ciemne owoce i warzywa, w tym buraki i bakłażany, podwyższają dobrą frakcję cholesterolu, a obniżają złą, przypomina z kolei Monika Stromkie-Złomaniec, dietetyk kliniczny z Warszawy. Jak wiadomo, to zapobiega miażdżycy i nadciśnieniu. Trzeba więcej ich jeść, aby być zdrowym. Ponadto w diecie antynadciśnieniowej ważne jest zastąpienie tłustego mięsa rybami, które zawierają nienasycone kwasy tłuszczowe. – Ich dobrym źródłem są zwłaszcza śledzie, które dodatkowo nie zbierają zanieczyszczeń z wód – mówi Monika Stromkie-Złomaniec. Ziemniaki zawierają co prawda drogocenny potas, który obniża ciśnienie, ale czasem warto je zastąpić kaszą gryczaną i pęczakiem, które wzmacniają naczynia krwionośne i zawierają dużo magnezu poprawiającego pracę serca. Nasze jedzenie powinno być nie tylko obfite w wartościowe produkty, ale również różnorodne. W takiej diecie warto więc uwzględnić orzechy, dynię i oliwę, które obniżają poziom cholesterolu. Monika Stromkie-Złomaniec proponuje, aby częściej sięgać po białą fasolę, biały ser, jaja oraz indyka, dzięki

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl 1059d9d2a5

którym nasze tętnice są znacznie bardziej elastyczne.

Ekspertka przypomina, że używamy za dużo soli i trzeba tę ilość ograniczyć do łyżeczki dziennie, aby nie podwyższać sobie ciśnienia. Okazuje się, że nie jest to takie trudne, ponieważ nasze kubki smakowe szybko przyzwyczajają się do nowych smaków. – Wystarczy im od tygodnia do dwóch na adaptację do zmniejszonej porcji soli – zapewnia Monika Stromkie-Złomaniec, która prowadzi poradnię Z Kaloriami na Pieńku, gdzie pacjenci uczą się prozdrowotnej diety, w tym antynadciśnieniowej.

Jak podkreślają naukowcy, najwłaściwsze jedzenie to takie, którego połowa złożona jest z warzyw i owoców. Dotyczy to zwłaszcza osób chorujących na nadciśnienie. Niestety, Polacy jedzą znacznie mniej warzyw i owoców niż inne europejskie narody, wciąż traktując te produkty po macoszemu. Według badania firmy Kantar, współpracującej z Krajowym Związkiem Grup Producentów Owoców i Warzyw, w marcu br. tego typu produkty stanowiły jedynie 12% codziennej diety. Zgodnie z zaleceniami WHO powinno się spożywać 400 g owoców i warzyw dziennie. W Polsce jemy ich tylko 280 g.

A szkoda, bo mamy w czym wybierać. Jesteśmy trzecim producentem w Europie warzyw i owoców. Zajmujemy pierwszą lokatę w produkcji aronii, a nie jesteśmy jej wielbicielami. Nasze pomidory są bardzo poszukiwane ze względu na walory smakowe. A właśnie one dzięki zawartości potasu obniżają ciśnienie, poza tym zawierają cenne glikogeny – antyoksydanty, które zapobiegają chorobom cywilizacyjnym. Należy wspomnieć, że poziom antyoksydantów wzrasta po obróbce termicznej, a więc jest ich więcej w sokach, z czego nie zdajemy sobie sprawy. – Pamiętajmy, że najwartościowsze są mętne soki. Te klarowne i prawie przezroczyste są pozbawione drogocennych pektyn, które w trakcie produkcji soku się usuwa – mówi prof. Iwona Wawer.

Do wartościowych owoców należą jabłka, których mamy w Polsce 250 odmian, a nasz kraj jest pierwszym producentem tych owoców w Europie. Jabłka zawierają cenne polifenole, wzmacniające komórki krwionośne. Szczególnie pożyteczna jest, zdaniem Iwony Wawer, antonówka oraz odmiana Szopen – ta zawiera dwa razy więcej związków polifenolowych, które po prostu odsuwają miażdżycę w czasie.

Zdrowa dieta jest nie tylko bogata w owoce i warzywa, ale także różnorodna. Niektóre produkty wręcz omijamy – o ile często sięgamy po pomidory i ogórki, o tyle znacznie rzadziej jadamy brokuły, kapustę, brukselkę. Warzywa kapustne zawierają selen i mają działanie przeciwnowotworowe. A tak naprawdę wszystkie produkty roślinne to samo zdrowie. – Jedzcie, korzystajcie z obfitości, jaką daje nam nasz kraj – mówi prof. Iwona Wawer, która przypomina, że ważna jest sezonowość owoców i odżywianie się zgodnie z porą roku, a także korzystanie w innych okresach, np. zimą, z przetworów.

Dobre na infekcje

A wracając do aronii, nie tylko przebadano ją, tak samo jak czarny bez, pod kątem działania antynadciśnieniowego, poprawiającego profil lipidowy i przeciwmiażdżycowego, ale również stwierdzono, że przeciwdziała infekcjom. – Antocyjany oraz kwas chlorogenowy zawarte w aronii i czarnym bzie likwidują stany zapalne, zwalczając infekcje dróg oddechowych – mówi prof. Iwona Wawer. Mając w jadłospisie aronię, np. w postaci soku, pomieszanego z jabłkowym, by złagodzić gorzki smak, możemy mniej bać się wirusów.

Dzięki dużemu zaangażowaniu plantatorów aronii i jej przetwórców powstają wciąż nowe pomysły łączenia tych owoców w sokach z innymi produktami, by złagodzić goryczkę aronii. Dobre jest połączenie choćby z czarną porzeczką – sok przypomina w smaku czerwone wino. Inną propozycją przetwórców jest sok z aronii w połączeniu z brokułami lub serwatką kozią. – Staramy się, jak możemy, pomóc naszym konsumentom w zaprzyjaźnieniu się z aronią, w najbliższej przyszłości mamy jeszcze ciekawsze połączenia tej jagody z innymi produktami – zapowiada Piotr Nowak, plantator aronii i przetwórca, członek Krajowego Zrzeszenia Plantatorów Aronii.

I po takie właśnie rzeczy powinniśmy sięgać, gdy zabraknie na stole świeżych jagód, w sezonie jesienno-zimowym. Mamy wtedy wyregulowane ciśnienie i jesteśmy po prostu zdrowsi, dzięki czemu możemy skuteczniej walczyć z różnymi chorobami, w tym z infekcjami wirusowymi, o czym zapewnia prof. Iwona Wawer.

Barbara Jagas

Wszystkie ciemne owoce i warzywa podwyższają dobrą frakcję cholesterolu, a obniżają złą.

Osoba z nadciśnieniem tętniczym powinna:

1. Często sięgać po nasze ciemne owoce. Są one źródłem antocyjanów, które wzmacniają ściany naczyń krwionośnych i obniżają ciśnienie.
2. Jeść warzywa zasobne w potas – pomidory, szpinak, brukselkę, kalafior, kalarepę, liście buraka, zielone warzywa liściaste. Potas przyśpiesza wydalanie sodu i tym samym obniża ciśnienie krwi.
3. Zamienić tłuste mięso na tłuste ryby morskie (takie jak śledź, halibut, makrela, łosoś). Wymiana nasyconych kwasów tłuszczowych z mięsa na jednonienasycone i wielonienasycone (w tym omega-3) w rybach poprawia lipidogram, obniża stężenie ogólnego cholesterolu i podwyższa stężenie tego dobrego. Dzięki temu zmniejsza się ryzyko miażdżycy.
4. Ograniczyć spożycie soli kuchennej do ilości poniżej 5 g/dzień (mniej niż łyżeczka). Można ją zastąpić ziołami: lubczykiem, tymiankiem, majerankiem, bazylią, oregano.

eprasa.pl 1059d9d2a5

Puste słowa Mateusza

O tym, że polityka zagraniczna jest funkcją polityki wewnętrznej, uczą już studentów politologii i stosunków międzynarodowych na pierwszym roku. To jest banał w gruncie rzeczy. Kłopot w tym, że w Polsce ta żelazna reguła jest rozumiana zupełnie pokracznie – w efekcie polityka zagraniczna jest funkcją potrzeb PR-owych premiera, a nie jakiejkolwiek polityki.

Doskonale pokazuje to sprawa Białorusi. Otóż przebywała w Polsce Swiatłana Cichanouska, miała odczyt na Uniwersytecie Warszawskim, spotkała się z premierem Morawieckim, który deklarował jej pomoc, to wszystko relacjonowały media, z rządowymi na czele. Dowiedzieliśmy się z nich, że Polska będzie adwokatem Białorusi, że popiera opozycję i że gdy upłynie obecna kadencja prezydenta Łukaszenki, Polska nie będzie go uznawać i będzie do tego samego namawiać innych.

Mniej więcej w tym samym czasie politycy rządzącego obozu złorzeczyli Unii Europejskiej, że przygląda się Polsce w sprawach dotyczących praworządności i niezależności sądów. Ale ten dysonans jakoś rządzącym nie przeszkadza. Podobnie jak nawoływanie do nieuznawania Łukaszenki – jakby Polska miała siłę i wpływy, by to przeprowadzić.

O tym, że deklaracje Morawieckiego to puste słowa, mogliśmy się przekonać chwilę potem. Otóż na piątek, 11 września, przewidziane było spotkanie szefów państw Grupy Wyszehradzkiej w Lublinie. I Polska zaproponowała Cichanouskiej udział w tym spotkaniu. Okazało się jednak, że wcześniej nie skonsultowała tego z premierami Czech, Słowacji i Węgier, więc premier Czech Andrej Babiš najspokojniej w świecie tę propozycję zawetował. Poparła go w tym wecie Słowacja.

Co więcej, Cichanouska potwierdziła publicznie, że zaproszenie do Lublina dostała, ale jest ono nieaktualne z powodu weta Czech. A premier Czech przyświadczył, że powiedział nie. Oto więc jednym strzałem Polska trafiła w swoje kolano, łokieć i głowę.

Ośmieszyliśmy naszego gościa. Obraziliśmy go też, zapraszając, a potem wycofując zaproszenie. Ośmieszyliśmy się również sami. Jeżeli Polska opowiada, że jest regionalnym liderem, to fakty temu zaprzeczyły. W Grupie Wyszehradzkiej Polska jest outsiderem – bo Czechy i Słowacja prowadzą swoją politykę i nie zamierzają z niej rezygnować. Podobnie jest z Węgrami.

Ale ośmieszone zostały nie tylko polskie pretensje do liderowania i reprezentowania białoruskiej opozycji. Ośmieszona także została nasza służba zagraniczna – bo nie potrafiła całej operacji przeprowadzić w niezbędnej ciszy. Tak, żeby ewentualna niezgoda Czech nie wyszła na jaw.

Skandalem jest poza tym, że MSZ nie potrafiło uzgodnić wcześniej, w ramach V4, wspólnego stanowiska wobec Białorusi. I że jeszcze dwa dni przed spotkaniem premierów w Lublinie w jego programie nie było rozmowy z Cichanouską. Czyli komuś ważnemu przyszedł nagle do głowy pomysł, że to będzie fajnie wyglądać w telewizji, i nie myśląc za bardzo, ogłosił go światu.

No, jeżeli tak wygląda polski plan na Białoruś i polskie rozeznanie, co się dzieje u najbliższych sąsiadów, to drżyjcie, Białorusini!

Attaché

Tu dystans społeczny nie obowiązuje. Członkowie gangów MS-13 i 18 w przepełnionym więzieniu o zaostrzonym rygorze Izalco w Salwadorze.

FOT. YURI CORTEZ/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1059d9d2a5

JOLKA

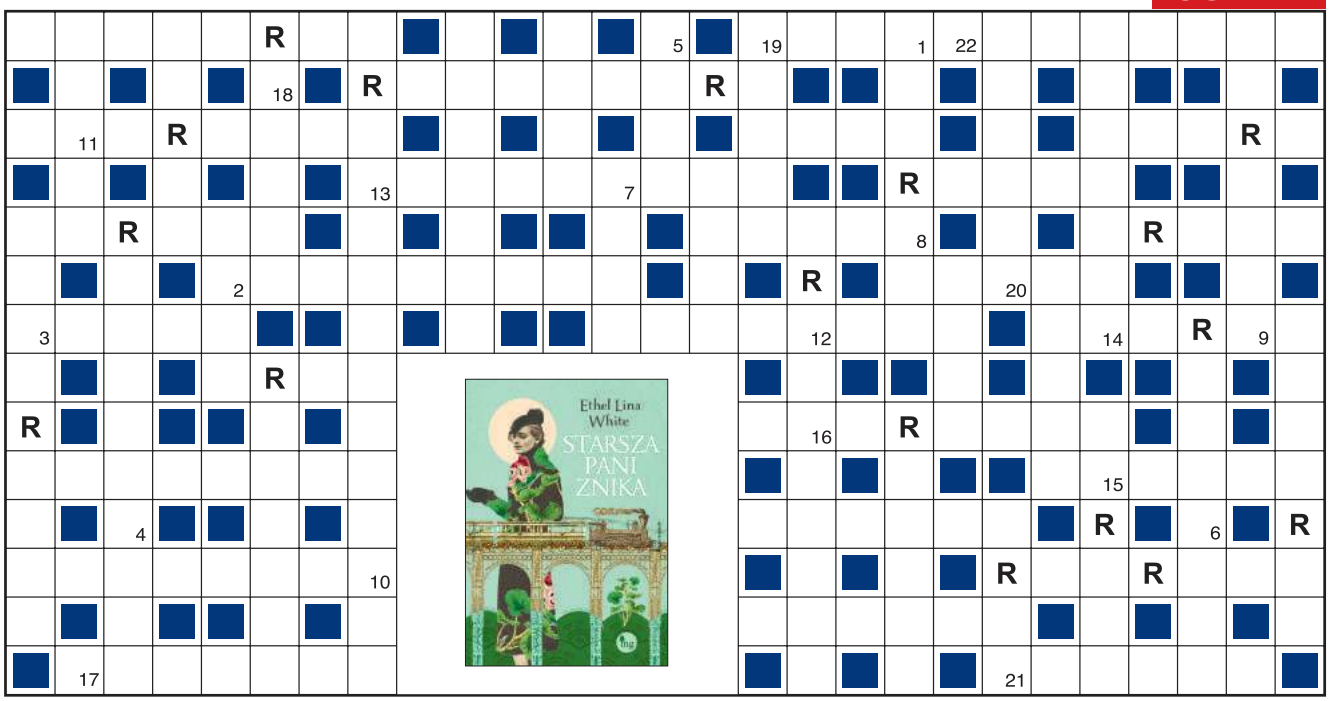

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- pseudonim Jana Rodowicza, żołnierza AK
- uzasadnianie swoich racji
- Nostradamus lub Maciej Miechowita
- Brahe albo Halley
- kierowcy chcieliby, aby nie drożała
- czarny to hajstra
- i angielskie miasto, i mecz lokalnych drużyn
- tajne oskarżenie, denuncjacja
- powierzchniowa warstwa komórek organu roślinnego
- część Giro d'Italia
- Carnegie…
- z losem – może mieć opłakane skutki
- siła rozpędu, rozmachu
- …Kühn, czyli Joanna Chmielewska
- daleko mu do dzieła sztuki
- ozdoba warkocza, kucyka
- przypinany tańczącym lub na 11 Listopada
- i skorupiak, i mgławica
- o kimś działającym podstępnie, też o szpiegu
- trzeci z września
- karciana wziątka
- buzia dawniej
- miesiąc kocich amorów
- ma dwa naczelne dowództwa: koło Mons i w Norfolk
- szerokokątny obejmuje większe pole widzenia
- Dioklecjana w Palmyrze
- opinia, diagnoza, osąd
- skrajna deska z kloca
- przemówiła do Balaama
- pamiętnikarz Jan Chryzostom
- kraina z Nowym Targiem i Zakopanem
- czas, który nadejdzie
- robotnica w ulu
- rajskim nazywana strelicja
- pewność siebie, śmiałość
- zasłona w oknie umocowana na wałku
- odpowiedzialny za wlot mieszanki i wylot spalin
- co po pochyłej się stacza, to coraz gorsze
- część kwiatu kalafiora
- ćwiczenia ruchowe w takt muzyki
- Donatello lub Dunikowski
- rzemiosło polegające na uboju i sprzedaży mięsa
- tkanina błyszcząca po prawej stronie
- podręcznik ze zbiorem wykładów
- od 1 stycznia 1993 r. już nie z Czechem
- snucie przypuszczeń
- kwiatek z piosenki harcerskiej
- osad, muł
- spowiedzi, lekarska, wojskowa
- gumowa do weków
- i pyszałek, i dygnitarz
- poprzeczny łuk wzmacniający sklepienie

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-978". Do rozlosowania książki „Starsza pani znika" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 września 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-975" z nr. 35: *Wszyscy mamy maski.*
Nagrody otrzymują: Eugeniusz Dziadosz z Pielgrzymki, Barbara Iglicka z Ełku, Zbigniew Szałek z Warszawy.

eprasa.pl 1059d9d2a5

PENETRACJE

PROF. MARIA JANION, WYBITNA BADACZKA ROMANTYZMU

Romantyczny mit wojenny, heroiczny i martyrologiczny, trwa dalej w najlepsze, bez żadnego opamiętania. Jedną z rzeczy, które mnie wyjątkowo już denerwują, jest figura małego powstańca. To jest coś przerażającego. Dziecko przebrane za żołnierza z karabinem. Życie ludzkie, nie w postaci parę razy podzielonej komórki, ale w postaci prawdziwego dziecka, niespełna 10-letniego, przestaje być najwyższą wartością, kiedy indoktrynujemy takie dziecko, że nie ma na świecie nic wspanialszego niż udanie się na śmierć w powstaniu. Jestem tym załamana.

HENRYK MARTENKA, KOMENTATOR

Mikołaj Pawlak jest słabym cieniem Antoniego Macierewicza, który dowiódł po wielokroć, że prominentna figura partyjna może głosić najfantastyczniejsze dyrdymały. Pawlakowi daleko do banialuk Macierewicza o strąconym tupolewie w Smoleńsku, sprzedaży Rosji okrętów wojennych (po dolarze!), broni elektromagnetycznej i takich tam, ale widać, że Mikołaj chce się wykazać i dać się zapamiętać w centrali. Mikołaj nie ma umysłu kreatywnego, nie widzi daleko, mało przewiduje, ale chce dowieść swoim, że nie zrobili błędu, że nań postawili. To nic, że w oczach internauty jest człowiekiem, któremu odjechał peron. Macierewiczowi odjechał cały dworzec, wraz z górką rozrządową, a mimo to jest wiceprezesem partii rządzącej, ma wyznawców i żyje jak kleszcz na nasz koszt.

JOANNA SZCZEPKOWSKA, AKTORKA

W Polsce poglądy wyznaje się pakietami. Jesteśmy „my" i są „oni", zawsze jacyś „my" i zawsze jacyś „oni", w PRL tak było i teraz też. Tak się porobiło, że nie można wziąć jednej idei od „my", a drugiej od „oni". Od razu stajesz się wrogiem. Albo jesteś liberałem, albo konserwatystą. A przecież nikt nie ma licencji na prawdę, jej trzeba szukać przez rozmowę. Na to szukanie, na prawdziwą dyskusję, żadna ze stron się nie godzi. Każde zdanie może wywołać pożar. Ja okazałam się niewygodna, bo nigdy nie było pewne, co powiem, za czym stanę.

GRZEGORZ DAMIĘCKI, AKTOR

Po nieprzespanych nocach, schrypnięty i wściekły przystąpiłem kiedyś do próbnych zdjęć. Nie powiem, że było mi wszystko jedno, ale zwyczajnie nie miałem siły i wiary w sukces. A jednak dostałem tę rolę. Uprawiam zawód pełen paradoksów. Im dłużej zaklinałem telefon, tym uporczywiej milczał. Kiedy odpuściłem, zaczął dzwonić. Kamera zwykle prześlizguje się po twarzach bez doświadczenia, a sprzyja tym, które coś przeżyły, bo one potrafią więcej opowiedzieć.

Wszyscy muszą się zapoznać z zasadami bezpieczeństwa – Arabia Saudyjska.

FOT. AHMED YOSRI/REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

PROF. MARCIN KRÓL O OPOZYCJI

Mamy koniec pewnej grupy ludzi, którzy dzisiaj reprezentują opozycję. Ci ludzie są w zasadzie nie do uratowania.

ANDRZEJ STASIUK O STOSUNKU DO LUDU

Rządzący zawsze czują pogardę dla ludu. Niektórzy tylko lepiej ją skrywają. Tym większą, im mocniej musieli do ludu się umizgiwać.

DANIEL PASSENT O KRZYSZTOFIE VARDZE

Krytykiem jest bezlitosnym, sądy ma surowe, zgodne z zasadą, że pisarz musi być w jakimś sensie łajdakiem, który kradnie innym pieniądze, dewastuje dobre samopoczucie.

DOROTA MASŁOWSKA O INTERNECIE

Ludzie tworzą technologie, za którymi nie nadążają prawo i system moralny. Zło wydaje się bezkarne.

MAREK NIEDŹWIECKI O TRÓJCE

Ludzie odpowiedzialni za jej zniszczenie powinni odpowiadać za to przed sądem, tak jak się odpowiada za zniszczenie mienia.

KAROLINA GRUSZKA O WSPOMNIENIACH

Robię się coraz mniej sentymentalna. Wspomnienia są ważne, ale rzadko mnie rozczulają, nie tęsknię za przeszłością.

BEATA KOZIDRAK O WOLNOŚCI ARTYSTYCZNEJ

Mój były mąż decydował o wielu rzeczach albo mówił, że czegoś nie wypada mi zrobić.

KAZIK STASZEWSKI O ZDROWIU

Powszechna jest wiedza, że mam problemy ze słuchem. Głuchnę po prostu.

JOLANTA FRASZYŃSKA O GENACH

Dostałam w genach dziecięcą powierzchowność, energetyczną i migotliwą.

MARTA ŻMUDA-TRZEBIATOWSKA O ZAZDROŚCI

Gdy oglądam piękny film i widzę świetną kobiecą rolę, myślę: dlaczego nie zostałam zaproszona na kasting?

eprasa.pl 1059d9d2a5

Wołam ciebie ja, brzoza

Na przedmieściach Chicago na drzewach zaczęły się pojawiać telefony. Zjawisko dotyczy sąsiedztwa magazynów Amazona i należących do niego sklepów spożywczych Whole Foods, a wynika z desperacji kierowców walczących o zlecenia na błyskawiczne rozwożenie paczek i zamówień. Są one bowiem oferowane osobom, które zgodnie ze wskazaniami specjalnej aplikacji znajdują się najbliżej konkretnych punktów firmy. Prawdopodobnie ktoś ją rozpracował i stworzył niezgodne z regulaminem narzędzie wyłapujące zlecenia i przekazujące je konkretnym kierowcom. Możliwe, że za smartfonami udającymi liście stoi „amazonowa mafia", która pobiera prowizję od współpracujących z nią kurierów. Drzewiej nie było takich patologii!

Sławoj byłby dumny

W dwóch popularnych parkach w Tokio pojawiły się kolorowe, a co najciekawsze przezroczyste publiczne toalety. Uspokajamy: dzięki zastosowaniu „inteligentnego szkła" transparentne są jedynie te puste, co pozwala bez wchodzenia do środka sprawdzić, czy dana kabina jest wolna i czysta. Gdy do niej wkroczymy i zamkniemy zasuwkę, drzwi oraz ściany staną się matowe, zapewniając nam odpowiednią dawkę prywatności. Dodatkowym usprawnieniem przewidzianym przez autorów projektu, wśród których znalazł się znany architekt Shigeru Ban, jest to, że toaleta w nocy zaczyna świecić, dzięki czemu łatwiej ją zlokalizować. Aż chce się… zresztą nieważne co.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Manna? To już było

Nad jednym z głównych placów Tel Awiwu dron rozrzucił zawiniątka z marihuaną. Akcję zorganizowała grupa Zielony Dron, działająca na rzecz legalizacji konopi indyjskich. Wcześniej zapowiedziała, że „zioło będzie lecieć z nieba". Obecnie w Izraelu legalna jest wyłącznie tzw. marihuana medyczna, wykorzystywana m.in. jako środek przeciwbólowy; rekreacyjne używanie maryśki jest nielegalne, ale nie podlega karze. Spodziewamy się podobnych happeningów także w Polsce, zwłaszcza na placu Konopnickiej w Suwałkach lub Szydłowcu.

Inteligencja. Sztuczna inteligencja

Platforma Largo.ia przeanalizowała ogromną ilość danych i orzekła, że kolejnym odtwórcą roli Jamesa Bonda powinien być Henry Cavill, Richard Armitage lub Idris Elba. Algorytmy przekonują również, że jeśli producenci będą gotowi odejść od tradycji obsadzania w roli 007 aktorów z Wysp Brytyjskich, najlepszym wyborem będzie Karl Urban pochodzący z Nowej Zelandii. Z kolei w przypadku decyzji o powołaniu do życia żeńskiej wersji superagenta podobno najmądrzej postawić na amerykańską zawodniczkę mieszanych sztuk walki, Ginę Carano. Jakie były kryteria oceny? Otóż oprogramowanie Largo.ia na podstawie danych historycznych przewiduje reakcję publiczności oraz potencjalne przychody z danego projektu. Cóż, wstrząśnięci może nie jesteśmy, ale nieco zmieszani – na pewno.

Bo resztę dopłaca Matka (Ziemia)

Jeden z berlińskich dyskontów sieci Penny czasowo podaje ceny wybranych artykułów

eprasa.pl 1059d9d2a5

Tylko to, czego pragniesz, jest prawdziwe. Holenderska aktorka Lotte Verbeek i obsada „The Book Of Vision" na Lido przy okazji festiwalu w Wenecji i Zhang Guo, zaskakujący syna przed przedszkolem, we własnoręcznie wykonanym kostiumie autobota Bumblebee.

w dwóch wersjach: rynkowej oraz urealnionej o koszty środowiskowe, związane m.in. ze stosowaniem nawozów sztucznych i emisją gazów cieplarnianych. Oszacowali je naukowcy z Uniwersytetu w Augsburgu, według których np. litr mleka o przedłużonej trwałości powinien kosztować o 96 eurocentów więcej, a mleka ekologicznego – o 75 eurocentów. Inicjatywa, której częścią są wywiady z klientami i analiza sprzedaży oznaczonych artykułów, jest głosem firmy w debacie na temat zrównoważonego rozwoju w sektorze spożywczym oraz zachętą do wybierania asortymentu wege i eko. To także test, czy konsumenci są skłonni płacić więcej za jedzenie dobre dla… sumienia.

Bzzz, pac i bum

Podczas próby zgładzenia wyjątkowo irytującej muchy 80-latek z Parcoul-Chenaud we Francji wysadził swoje mieszkanie. Senior nie zdawał sobie sprawy, że posiadana przez niego butla z gazem jest nieszczelna, w związku z czym walka za pomocą elektrycznej packi musi doprowadzić do katastrofy. Na szczęście mężczyzna przeżył nieuchronną eksplozję, jednak z poparzoną ręką, doszczętnie zniszczoną kuchnią oraz uszkodzonym dachem; los muchy jak dotąd pozostaje nieznany.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA(2), PIĘKNI CHŁOPCY PRAWICY, TIZIANA FABI/AFP/EAST NEWS, JIADING PEOPLE'S GOVERNMENT/NEWSFLASH/EUROPICS/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD CONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 1059d9d2a5

Adam Trepczyński, Pingwin

Oleksy Kustovsky, Magnet

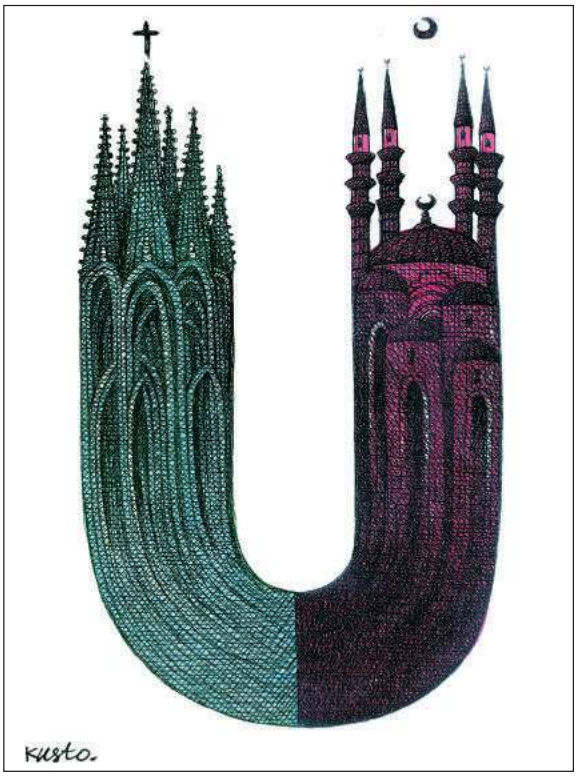

SATYRYKON
– Legnica 2020

Patronat PRZEGLĄDU

Karolina Gmiterek, Czuwanie

Ilya Katz, Niespodzianka

Międzynarodowa Wystawa SATYRYKON jest konkursem otwartym dla rysowników, grafików, malarzy, rzeźbiarzy, plakacistów i fotografików. Przez ponad miesiąc w Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego publiczność może oglądać prace artystów z całego świata nadesłane na 43. edycję legnickiej imprezy: rysunki, grafiki i zdjęcia wyłonione przez jury w kategoriach satyra i żart oraz ukazujące różne artystyczne interpretacje samotności, tegorocznego motywu przewodniego. Każda praca stanowi nową próbę jego zdefiniowania i skłania do przemyśleń.

Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11

od 15 września do 25 października

RYS. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1059d9d2a5

TEATR CAPITOL

A MI TO RYBKA!

PREMIERA WRZESIEŃ 2020

WRZESIEŃ NA WESOŁO

GRAMY BEZPIECZNIE

ANDRZEJ DESKUR JOANNA KORONIEWSKA PAWEŁ KOŚLIK ŁUKASZ NOWICKI

OLGA PASZKOWSKA WOJCIECH SOLARZ MICHALINA SOSNA DARIA WIDAWSKA

KUP BILET TEATR CAPITOL 2020 www.teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1059d9d2a5

Cinéfrance Studios przedstawia

Prawdziwych przyjaciół poznajesz, gdy świat leży u twoich stóp.

Vincent Cassel

Bérénice Bejo

Florence Foresti

François Damiens

małe szczęścia...

film Daniela Cohena

Scenariusz adaptacja dialogi Daniel Cohen we współpracy z Olivierem Dazatem

na podstawie sztuki Daniela Cohena „L'île flottante"

#CHODŹ DO KINA

w kinach od 18 września

www.galapagosfilms.pl

Dystrybucja w Polsce

Twój STYL PANI Przegląd FILMWEB WP

eprasa.pl 1059d9d2a5